NRLF-1
MAIN

P. S. SCHUTTIN
Book Binder
62 E. HURON ST., BUFFALO, N. Y.

5-17-IV [illegible]

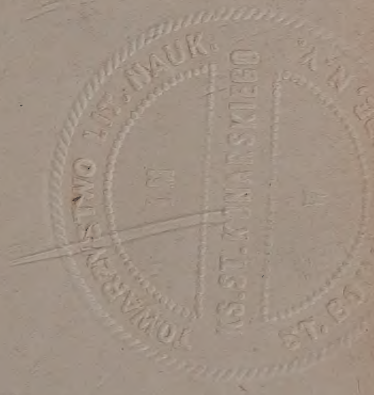

TEGOŻ AUTORA:

UGODOWCY.

KRÓLOBÓJCY.

ANARCHIŚCI.

NIHILIŚCI

Bruckner
#13

WIESŁAW SCLAVUS

FINIS POLONIAE

„POLSKO! LECZ CIEBIE BŁYSKOTKAMI ŁUDZĄ
„PAWIEM NARODÓW BYŁAŚ I PAPUGĄ;
„A TERAZ JESTEŚ SŁUŻEBNICĄ CUDZĄ..."
Słowacki

WYDANIE DRUGIE UZUPEŁNIONE

LWÓW 1908 • NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
BERNARDA POŁONIECKIEGO

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

TREŚĆ:

Str.

Wstęp 1

O samobójczej mogile.

O narodzie, który nigdy nie powstał. — Finis Poloniae. — Fałsze o Thermophylach. — Poczwórna wierność Polaków do ostatka. — Pokolenia Kainów i Piłatów. — Napoleonidzi. — O rewolucyi i zajęczych sercach. — Sto tysięcy złożyło broń — czemuż nie legli? — Rok 63. — Dwa różne dorobki. — O wielopolszczyźnie. — Ambicye bezdusznych. — Legiony miljonów śpią 7

Precz z poezyą.

Spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym. — O poetomanii. — Wallenrod i liczba 44. — Reduta Ordona i śmierć Sowińskiego. — Sceptycyzm i galicyjski patryotyzm. — Czy Bóg powierzył księciu Józefowi honor Polaków. — O Dąbrowskim. — Lokajstwo pisarzów. — Jeszcze o bohaterze lipskim. — Jarema Wiśniowiecki — wieszatiel. — Czapki z pawich piór. — Król na hotelu Lambert i adjutant literacki Kościuszki. — Halucynacye polskie o posłannictwie . . 35

Komunały narodowe.

Polacy nie splamili się królobójstwem. — Wątpliwa chluba. Zamachy w czasach porozbiorowych na Berga, Aleksandra II i księcia Konstantego. — Hryniewiecki, Padlewski i Czołgosz. — Spartanki nasze i Murawiew. — O żandarmach wieszających. — Przyszła Polska przedmurzem. — Dawne dzieje przedmurza

Str.
i obecny jego stosunek do mocarstw. — Od morza do morza. — Jedyny punkt wyjścia dla naszych haseł 51

Klątwy niewoli.

Nasze tchórzostwo. — Zaprzańcy. — Kłamane poświęcenia. — Fałszywość polska. — Ofiary patryotyzmu przed sądem. — Pomnik Katarzyny. — Inteligencya powiatowo-gubernialna. — O „polaczyszkach". — Patryotyzm nienawiści. — Maniactwo nędzarzów. — Gdzież chiński mur? — Zmarnowanie siedemdziesięciu lat pracy. — O Galicyi. — Patryotyzm twórczy 65

My i Europa.

Nasze dobre mniemanie o sobie. — Bywało inaczej. — Emigracya polityczna. — Jej wynaradawianie się. — Frankopolacy. — Czwarta Polska za Atlantykiem. — O nieznośnie trudnym języku. — Świat zabity deskami. — Nieco o czasopismach. — Widmo rozłamu w zaborach. — Nasze chluby. — Kopernik i Chopin. — — Czy znaczymy wiele w Europie przez sztukę lub przez literaturę. — Prawa na forum kultury ludzkiej. — Miłostki polskie dla Turków, Anglików, Węgrów, Szwedów i Japończyków. — Nasza szlachetność na krótką metę 83

Watykan i polskość.

Szaniec katolicyzmu. — Zorane i zasiane pole. — Polityka kuryi rzymskiej. — Leon XIII. — Nasze wyrzekania i gorycze. — Religja i narodowość. — Następstwa tolerancyi religijnej i jedyna nadzieja, że prawosławny Synod cios opóźni. — Nowy okólnik papieski. — Czyśmy gotowi? — Położenie zaboru rosyjskiego. — O tem, cośmy wiedzieli dawno a o czem teraz rozprawiać zaczynamy. — Polskość i katolicyzm. — Punkt wyjścia. — Przypomnienie skrupułów Maryi Teresy 115

Str.

Żydowskie bezdroża.

Cztery miliony sprzymierzeńców czy wrogów. — Polska tolerancya. — Czego od żydów żądamy i co im dać możemy. — Żydzi się łudzą. — O anarchizmie, komunizmie i socyalizmie żydowskim. — Rdzeń „czarnych sotni". — Bund i ogół żydowski. — Wrogowie polskości. — Z kimże nareszcie iść chcą. — Żądajmy odpowiedzi 133

Nasz socyalizm.

Jurne pisklę. — Zło i dobro. — Atteńczycy rodem z Beocyi. — O utopiach i hasłach zachodu. — Obrona klas pracujących. — Francya. — Międzynarodowość w życiu robotników. — Proletaryat. — O Polsce socyalistycznej. — Rodowód Atteńczyków. — Przegrana partya. Zubożenie robotników. — Socyalizm, jako pełnia teoryi. — Wycofane z użycia stare karabiny. — Oszczędność we Francyi. — Lichota polskich pracowników i próżniactwo. — Ambicye Herostratowych rycerzów 149

Dzieci czołem narodu.

Wypowiedzenie posłuszeństwa. — Potęga sztuby. — Łzy i skargi. — Rodzina i szkoła. — Strejk dzieci. — Uprzytomnienie blizkiej przeszłości. — Kto uświadamiał. — Wyższe zakłady naukowe. — Września i Lublin. — Szkoła bez praw. — Drożyzna i brak ofiarności. — Przykład o księciu. — O smarkateryi sztubackiej i niedowarzonej młodzieży 177

Polskie burżujstwo.

Czy neologizm? — Skądże burżujstwo? — Wiara w rubla. — Dążenie do bogactw. — Pokolenie przybyszów i neopolaków. — Różnica między Warszawą i Warszawą. — Ucieczka zagranicę. — Burżujstwo i socyalizm. Walka w Szwajcaryi. — Żółty program. — Drzwi otwarte. — Hajże wywalajmy drzwi!! . . 199

Str.

Taniec partyj.

Stronnictwa i naród. — Bezpartyjność. — Walka wszechpolaków z ugodowcami. — Przegrana i zwycięstwo bezwyznaniowców. — O ukrytym celu politycznym. — Atut z wyższości polskiej kultury. — Świadectwo historyi. — Arysto- i plutokracya. — Zawsze taż sama. — Garść ideowców w tłumie samolubów. — Ciążenie realistów ku socyalistom. — Kto bliższy. — — Wspólny punkt. — Stałość przekonań. — Gubernjalne ideały. — Nowe sklepiki. — Przeciętny pęcherz 217

Lud i Ludomanja.

Piękne hasła i zawsze tylko hasła. — Lud bez osłonek. — Kto doń trafia. — Monopoliści. — Sukmany, jako dekoracya zabaw. — Kwestya jednego wyrazu. — Urodzeni arystokraci. — Polska równość. — Czarodziejska konstytucya. — Demokracya. — Endecy w Galicyi. — Trzy prądy podaustryackie. — Wpływ kleru. — Mankietnicy. — Głód duszy 245

Panslawianizm wszechrosyjski.

Dawniej i wczoraj. — Groźba dyplomatyczna. — Ruch na daleki wschód. — Odwrót z pod Mukdenu do panslawianizmu. — Pozory federacyi. — Królestwo Boże na ziemi. — Nieco o Grecyi. — Słowiańskie rodzeństwo. — Credo slavisty. — Fałszywe tony. — Wspaniałomyślność wielkorosyjska i polska naiwność. — Pangermanizm i panslawizm 265

Point de Rêveries. — Siła przed prawem.

Dwie odprawy. — Kauzyperdstwo polityczne. — Błędne koło. — O polityce i dyplomacyi. — Przykład ostatniego turnieju. — Nasz spadek. — Precz z orłem. — Siła a prawo. — Polska racya fizyka. — Czem stać się winniśmy, a czem jesteśmy. — Bismark i Stirner. 283

Finis Poloniae 301

WSTĘP.

Finis Poloniae.

...aż spotkałem człeka przyjaznego, któremu na imię było Rumun. I otwarłem przed nim serce i wyciągnąłem ku niemu ręce i okazałem ślady łańcuchów niewoli i rozerwałem łachmany wygnańcze i okazałem rany i roztoczyłem przed nim obraz wczorajszej potęgi ziemi mej ojczystej i powiadałem o jej dzisiejszej niemocy i uciemiężeniu. A słowa moje brzmiały i skargą i bólem i żałością i goryczą.

Rumun słuchał mnie i współczuł, a gdym mu rzekł, iż dwadzieścia miljonów piersi żywych jęczy na hańbę ludzkości w okowach najezdzców, — człek ten przyjazny zdumiał się i zapytał, żali nie błądzę, żali nie potroiłem w uniesieniu liczby mych współbraci.

Poruszony zwątpieniem Rumuna, zakląłem się na świadectwo prawdzie.

Rumun zachmurzył się, wyraz współczucia znikł z jego oblicza.

— I jest was dwadzieścia miljonów?

— Tak, dwadzieścia miljonów jednego ludu, jednego zawołania, jednej krwie, jednej tęsknicy! — odpowiedziałem hardo.

— I wy — wy... nie macie...

— Oto już sto lat mija, jak targamy...

— I jest was dwadzieścia miljonów! I nie jesteście wolni!!...

— Tak, i oto dowód...

— Żeście niegodni! — rzekł zimno Rumun i odszedł.

— — — — — — — — — —

I krew nabiegła mi do oczu i chciałem rzucić się za potwarcą i chciałem wtłoczyć mu w gardło nikczemne wyrazy, lecz ochłonąłem, ileże wspomniałem na podłe pochodzenie Rumuna. Bo czyż godziło się mnie, synowi narodu tak dumnego, tak wielkiego, zważać na słowa jakiegoś wołocha-mieszańca, półcyganawłóczęgi? Bo czyż nie uchybiłbym imieniowi memu, gdybym ja, sarmata z sarmatów, od tysiąca lat złotemi głoskami na kartach dziejów ryty, uniósł się gniewem na parwenjusza historyi, dorobkiewicza niepodległości, a niedawno jeszcze nietylko bisurmańskiego poddańca, ale i dziadów moich mizernego sługę!?...

— — — — — — — — — — —

I uśmiechem pogardy zbyłem obelgę i ruszyłem w świat dalej...

A przecież niegodziwe słowa Rumuna brzmiały mi w uszach wciąż ponurem, nieskończonem echem, a przecież, niby złowrogie widmo, jawiło mi się oblicze onego człeka. I broniłem się nienawistnym przywidzeniom

i krzepiłem ducha mego sarmackiego krynicami ożywczych pieśni o ziemi mej i koiłem go wawrzynami praojców i hołubiłem proroctwami wieszczów i kunsztownymi wywodami statystów — daremnie. Słowa „żeście niegodni“ wpijały się w mózg i darły go.

I zdało mi się, że cygan-mieszaniec czary na mnie rzucił, a złem mnie opętał.

I poszedłem do starca-rodaka i wyznałem się. Starzec głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest i moim bólem — alem oto już ku mogile się pochylił, a nie śmię doń się przyznać... nie waż się i ty.

I poszedłem do męża-rodaka w pełni sił i wyznałem się. Mąż głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest i moim bólem — lecz oto nie mocen jestem doń się przyznać... milcz i ty.

I poszedłem do młodzieńca-rodaka i wyznałem się. Młodzieniec głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest mi przeczuciem, jest tem, co się we mnie poczyna... ale przyznam się doń wówczas dopiero, gdy wyrosnę na męża. Czekaj i ty, podczas daj, niech się łudzę jeszcze.

— — — — — — — — — — —

I nie ważyłem się, i milczałem, i czekałem; aż oto prysły ostatnie więzy woli, aż oto ból zerwał pęta i spływa i skargą, i żalem, i goryczą i nadzieją.

A imię bólu tego nie jest ani program, ani partya, ani religja, ani kasta, ani morał, ani polityka, ani literatura, ani ambicya, ani przesąd, ani podburzanie, ani gniew, ani nienawiść, ani zapalczywość, ani twórczość...

Ból ten wraca do ziemi, z której się począł. Ból ten nie jest cierpieniem jednego za miljony, lecz cierpieniem miljonów.

„Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
„W sercu, — gdzie nie trwa myśl ani godziny:
„Mówię — bom smutny — i sam pełen winy!“

NA SAMOBÓJCZEJ MOGILE.

O narodzie, który nigdy nie powstał. — Finis Poloniae. — Fałsze o Thermophylach. — Poczwórna wierność Polaków do ostatka. — Pokolenia Kainów i Piłatów. — Napoleonidzi. — O rewolucyi i zajęczych sercach. — Sto tysięcy złożyło broń — czemuż nie legli? — Rok 63. — Dwa różne dorobki. — O wielopolszczyźnie. — Ambicye bezdusznych. — Legiony miljonów śpią.

Sto dziesięć lat mija, gdy rozegrał się ostatni akt ponurej tragedyi upadku Rzeczypospolitej Polskiej i wykreślenia jej z szeregu państw europejskich.

Sto dziesięć lat mija, gdy, po maciejowickim rozgromie, po ostatnim błysku świetlanym w dniu majowej Konstytucyi, padło w gruzy dziedzictwo piastowe, padło cicho, bez łomotu, bez jęku...

Tak — bez jęku! Bo napróżno dziejopisowie nasi imionami prawych synów chcą ocalić rdzeń narodu od potępienia, napróżno szlachetne porywy garści usiłują podnieść do znaczenia rozpaczliwej walki całego ludu, daremnie usprawiedliwiają obojętność przewagą liczebną zaborców, daremnie rozpowiadają o podejściach dyplomacyi i zdradach, — tragedya upadku Rzeczypospolitej leżała i leżeć będzie zawsze w samolubstwie i apatyi jej obywateli.

Ani niefortunna wojna 1792 roku, ani rok 1793 z warszawską rewolucyą, wypędzaniem Rosyan i wieszaniem zdrajców, ani wojna Kościuszkowska 1794 r., ani dramatyzowanie bi-

twy maciejowickiej nic a nic bezecności współczesnych Polaków nie umniejsza.

A ten liczny stosunkowo poczet imion prawych synów Polski, które nam ostatnie lata panowania Stanisława Augusta przekazują, raczej potępieniem jest nowoczesnego narodu polskiego niż chlubą. Bo im więcej wykryjemy cnót, dzielności i wielkości w Rejtanach, Kilińskich, Puławskich, Głowackich, Kościuszkach czy Madalińskich, tem więcej hańby i potępienia dla tych, których nawet te cnoty, ta dzielność i wielkość bohaterów nie zdolną była dźwignąć, wyrwać sobkostwu, zwadzie i niedołęztwu.

Co ostatecznie podkopało byt polityczny narodu polskiego, o ile tu przyczynili się magnaci, pankowie, szlachta, czy królowie, ustrój Rzeczypospolitej wogóle, czy knowania ościennych mocarstw — to może być przedmiotem (i było już wielokrotnie) bardzo głębokich rozpraw. Rozprawy te wolno, w miarę lotności i fantazyi, wywodzić tak dobrze z bezdzietności ostatniego z Jagiellonów, jak i z przedwczesnej śmierci Batorego, tak dobrze z odrzucenia przez Władysława IV korony moskiewskiej, jak i z Sasów, tak dobrze z „familii“, jak i ze Stanisława Poniatowskiego wprost. Rozprawy takie mogą nie mieć końca tak samo, jak nie ma początku łańcuch, następujących po sobie, wypadków dziejowych.

Rozprawy takie mogą pouczyć, mogą być drogowskazem i przykładem, mogą być życiorysem pięknym i gorącym dla Rzeczypospolitej — lecz dla współczesnych pogrobowców mają znaczenie wtóre, ileże ich życie, ich bytowanie zaczyna się dopiero tam, gdzie wznosi się mogiła politycznej samodzielności Chrobrowego Królestwa, gdzie zaczyna się szumnie nazywana „walka o niepodległość".

U nas podotąd panuje wręcz odmienne przekonanie, a może upodobanie. Przy hańbiąco małej znajomości historyi ojczystej, na co w poszczególnych zaborach różne składają się i składały przyczyny aż do naszego własnego lenistwa włącznie, zawsze i uporczywie zwracamy oczy ku czasom hołdów pruskich, wypraw do Moskwy, tureckich potrzeb, Wierzynków, Zawiszów, Czarnieckich i Sobieskich. Z całą świadomością upijamy się literaturą piękna, apoteozującą rycerskość praojców, upijamy się tak zajadle, że, miast wzmacniać ducha, słabniemy, że, zapatrzeni w dal wieków, tracimy z oczu rzeczywistość. A dalej, w następstwie tego oszołomienia, dochodzimy do takiego stanu podniecenia, że nie jesteśmy zdolni czytać „Sejmu czteroletniego" Kalinki, że „Pamiętniki" Kitowicza przyprawiają nas o wstręt, że lada zimniejsze dzieło, sięgające do czasów rozbiorowych i porozbiorowych, przejmuje nas odrazą, że te tylko wielbimy,

które, bodaj kosztem prawdy, żywią naszą pychę.

I stąd, nasyciwszy się świtami racławickich zuchów i męzką postacią Naczelnika, odrazu radziśmy przejść do legionów, Somo-Sierry i Raszyna, ledwie tyle czasu znajdując, aby z całych sił zadać kłam pomawianiu Kościuszki o okrzyk maciejowicki „Finis Poloniae"...

Na wypełnienie zaś lat, dzielących Maciejowice od legionów i jakiegoś Raszyna, mamy w przecięciu piękny, a zgrozą przejmujący, obraz ukrzyżowania Polski...

Tymczasem Polska, w trzech czwartych częściach swego ludu, conajmniej nie troszczyła się o swój los,... i tak dalece, że, choć Kościuszko nie wołał, że jest „Finis Poloniae", — ten finis Poloniі był faktem dokonanym przez bierność zajechanego narodu.

Bo naród w r. 1794 nie powstał, zerwała się gromada zaledwie, jeżeli wziąć ogół ludności Rzeczypospolitej, i gromada po większej części z góry wątpiąca, niekarna i niefortunnie dowodzona. W tej gromadzie nie brakło zacnych, którzy z ochotą szli na śmierć, którzy bez wahania oddawali życie dla ojczyzny, ale cóż, oddać życie, to czasem mniej niż kropla w oceanie.

I ta gromada bądź wyginęła, bądź rozpierzchła się... bądź poszła na służbę do zaborców — tak.

Maciejowice nie były Thermophylami, w Częstochowie, w r. 1794, zabrakło Kordeckiego, a choćby i Puławskiego, obrona Warszawy nie miała nic wspólnego z obroną Zbaraża, a rzeź Pragi była w całem znaczeniu tego słowa pastwieniem się nad bezbronnymi. Lwów, Wilno, Kraków, Lublin, Grodno, Kalisz, Kielce, Płock ani próbowały opierać się nadto przemocy...

Naród polski spał — a tak spał mocno, iż przecież jeszcze w roku 1812, w zapadłym kącie Litwy, rozbitkowie polscy natrafili na zaścianek szlachecki, w którym ani słyszano nic, aby Stanisław August miał już nie panować!

Nowe rządy państw zaborczych zaczęły się szybko i przy wielkiej lojalności nowo-poddanych. Warszawa była stolicą Prus Nowowschodnich i niemczyła się z równym impetem jak i Galicya. Polskość kwitła najwięcej, a prawie jedynie, w granicach zaboru rosyjskiego i to nie dzięki żadnej szczególniejszej łaskawości Pawła I lub Aleksandra I, lecz siłą kultury silniejszej i płytkiej dzikości najezdzcy. Ale i ten rozkwit polskości, silny ponoć w kierunku naukowym, jako prąd polityczny był znów i tylko godzeniem się na szukanie Polski w „Peterburku".

Naród polski spał i ledwie mały jego ułomek reagował na zgon polityczny Rzeczypo-

spolitej. Ułomek ten miał dwie zwykłe odmiany — więc garść patryotów czystej wody, no i garść możnowładzców. Pierwsi rozpierzchli się po świecie szukać ratunku — drudzy rozpierzchli się po dworach szukać dla siebie wpływów. Pierwsi wrzeli pragnieniem wywołania powstania, znalezienia odsieczy, drugim szło tylko o nowe kości do ogryzania... (Dość tu zapamiętać, iż na 120 rodów hrabskich żyjących — 65 tytuły swe zdobyło w czasie od r. 1794 do 1806). Pierwsi doprowadzili do legjonów, do zwarcia się z Napoleonem, drudzy do ugruntowania zasady trójlojalizmu, a po nadciągnięciu Bonapartego, nieomal czwórlojalizmu.

Naród spał, spał nawet i wówczas, gdy zabiegi Dąbrowskiego i Wybickiego ziściły formacyę legjonów, gdy ziemia italska zabrzmiała pierwszymi zwycięztwami Kniaziewicza. Legjonistów poczytywano za warchołów, kompromitujących zabiegi Księcia Antoniego Radziwiłła w Berlinie, Czartoryskiego w Petersburgu, a Jabłonowskich w Wiedniu. Legjoniści nietylko nigdzie na ziemi polskiej nie zdołali znaleść żywszego poparcia i pomocy, lecz najczęściej spotykali się z naganą i potępieniem.

Tak trwało do roku 1806, to jest, do wkroczenia Napoleona do Polski, a dalej, do utworzenia Księstwa Warszawskiego.

Napoleon, według utartej formuły, miał

w tym razie zawieść Polaków, miał nieomal zdradzić ich sprawę!... Podczas, faktem jest niezbitym, iż zawód nadewszystko spotkał Napoleona, Polacy bowiem bynajmniej nie spieszyli się do szeregów, bynajmniej nie kwapili się ani z ofiarami, ani ze zbrojnem powstaniem. A jeżeli nawet drobny stosunkowo wykrawek Rzeczypospolitej objawił silniejszy ruch, to za to całe województwa, nietylko nie wierzyły Napoleonowi, ale aż zadość dzielnie walczyły pod sztandarami Rosyi, Prus i Austryi.

To niedołęstwo i strupieszałość zwało się w owych czasach „zmysłem politycznym"!... Polacy ówcześni najpierw żądali od Napoleona przyrzeczenia, zobowiązania, a dopiero obiecywali ruszenie się powszechne!... Polacy owocześni ani myśleli o tem, że nawet Bonaparte nie mocen jest odbudowywać państwa, które samo nie upomina się o swe prawa, które czynami nie dowodzi swej odrębności, które nie jest samo przez się siłą.

Napoleon nie ukrywał zresztą swych poglądów o Polakach, wierzył legjonom, cenił wysoce tych, którzy za jego szli orłami, ale i nie wahał się rzucić pamiętnych słów — „pokażcie, żeście godni być narodem!"

Napoleon zawiódł się, zawiódł się bardzo, bo z legjonistów miarę brał, bo ich gorącym słowom i zaklęciom uwierzył.

Naród polski spał. Księstwo Warszawskie,

miast rozstrzygnąć stanowczo wahanie się Polaków, jeszcze je spotęgowało. Napróżnoby tu koić tę smutną prawdę dziejami Księstwa Warszawskiego lub apoteozowaniem wierności Polaków Napoleonowi! Napróżno temu ostatniemu przypisywać błędy w stosunku do Polaków, lub wręcz pomawiać go o wyniszczenie i wyssanie, co najdzielniejszych, sił narodu polskiego!

Naród polski w tej samej mierze walczył za Napoleona, jak i przeciw niemu, naród polski, zarówno w osobach swych luminarzów, jak i w mrowiu ciemnego ludu dzielił się na dwa obozy.

Polacy raz po raz miażdżyli się na polach bitew i to nietylko jako jednostki, wciśnięte przemocą w szeregi obce, lecz i jako zwarte gromady. Toć na polu wagramskiem ułani polscy szarżowali na ułanów polskich i nie dość, że się mordowali, ale i lżyli i zdrajcami wzajem nazywali!...

Toć w r. 1806 możny pan z Wielkopolski, dobry zkądinąd obywatel (imienia jego przez wzgląd na prawnuków lepiej nie pamiętać), obatożył syna za to, że ten, miast do pruskich huzarów iść, do napoleońskich szwoleżerów się napierał.

Toć, w r. 1812, Wilno aż dygotało od przysiąg, składanych cesarzowi Aleksandrowi I., gotującemu się do walki z zalewem napo-

leońskim. Toć, jeżeli korpus piąty Poniatowskiego zadał nieraz nielada cios armii rosyjskiej, to Czaplic, Polak, umiał te ciosy pomścić na Napoleonie. Toć, jeżeli kmiecie, mieszczanie, żydzi i drobna szlachta litewska, żmujdzka i białorusińska ucierpiała mocno podczas przemarszu wielkiej armii, to, wzajem, rozbitkowie wielkiej armii, w odwrocie z pod Moskwy, byli przez tych samych kmieciów, mieszczan, żydów i drobną szlachtę łupieni, ograbiani i tępieni.

Napoleonowi Polacy nie ufali, a podobno najwięcej nie ufali samym sobie...

Kościuszko umywał ręce i ani słuchać chciał o powrocie do kraju, Czartoryszczyzna zawsze miała w odwodzie księcia Adama u boku Aleksandra I., Radziwiłł zawsze kupił klijentów polskich na dworze królewskiego swego szwagra, a książę generał ziem podolskich pasyami lubił swój mundur austryackiego feldmarszałka.

Te rzeczy w pełni oddać, znaczyłoby księgę całą napisać — niech starczy powyższe krótkie wskazanie na kilka przykładów.

Napoleon umarł — Polacy „wierni do ostatka“ (zarówno Francyi, Rosyi, Prusom jak i Austryi) zaczęli mierzyć dopiero ogrom poniesionej klęski. Napoleon nawet śród „wiernych mu do ostatka“ bladł. Świadomość zaślepienia polskiego, świadomość wykorzy-

stania Polaków dla swoich celów, świadomość należnej od Francyi wdzięczności wypłynęła na widownię wyobrażeń politycznych polskich i kuła jeden więcej bezsensowy frazes, na uciechę ciasnej pretensyomanii.

Napoleon nie miał żadnych szczerych intencyj dla Polaków — nie miał i mieć ich nie mógł i nie powinien. Uważał ich za żer dla armat i koniec. A przecież Polacy zawdzięczają Napoleonowi wiele i tak wiele, iż nawet ofiara stutysięcy poległych pod sztandarami Bonapartego ledwie zaważyć może na szali.

Rzeczpospolita padła bez jęku, padła tak, iż zdumiała wrogów, iż nawet nie obudziła współczucia śród obojętnych widzów, iż zagroziła swym synom piętnem hańby, iż współczesnym dziejopisom nie przywodziła innych wyrazów nad zdradę, kłótnie, pychę, gwałty, bezprawia, pijaństwo, pieniactwo i samolubstwo.

Rzeczpospolita padła tak, że nawet dla całej gromady sprawiedliwych nie szczędzono jej słów potępienia...

Mogiła Rzeczypospolitej wznosiła się gdzieś na wydmie samobójców, mogiła Rzeczypospolitej nawet nie miała praw do cmentarzyska wielkich państw, nawet do nagrobka. Mogile Rzeczypospolitej groziło zapomnienie.

Aż oto, za sprawą garści wygnańców, garści widm z rozpaczliwem maciejowickiem veto

wolnych niegdy obywateli na ustach, narodziły się legjony, napoleończycy.

Oni dopiero, za gwiazdą Bonapartego idąc bez upamiętania, stworzyli gruzom Troi Hektorów, oni dopiero miazgą krwawą swych ciał, wdrożyli ludom poszanowanie dla Polski, oni, podejmując okrzyki o wyzwoleniu ludów, przypomnieli i tych, co pod Waszyngtonem umierali za wolność, oni dali z siebie pokolenie bohaterów, oni gniazda Piłatów ojczyzny zdołali tu i ówdzie przeistaczać w gniazda orle, oni mogiłę Rzeczypospolitej oczyścili z chwastów, oni złożyli świadectwo, iż na ziemi sarmackiej nie wszystko zbutwiało, zgniło, zczezło.

Sprawili to napoleończycy, sprawili przez Napoleona, przez zwarcie się z nim.

Bo i jakżeż straszną byłaby nasza historya porozbiorowa, gdybyśmy nie mieli tych tysięcy zapaleńców, obłąkańców, męczenników napoleońskich! Jakżeż mizernem byłoby nasze imię, gdyby odebrać mu echa Alp i Pirenejów, Rzymu i Saragossy, Palerma i San Dominga, Paryża i Moskwy, Wagramu i Lipska, Madrytu i Raszyna!

Wszak pod hasłem Napoleona zaczęło się nasze pierwsze, szczersze demokratyzowanie, wszak z Napoleonem razem osobista zasługa dźwiga się dopiero ponad przywilej kasty, a szlachectwo własnych czynów wypiera tych,

których stać tylko na summitowanie się czynami swoich dziadów.

Lecz, pominąwszy wtóre korzyści, osiągnięte z tego „opętania“ napoleońskiego, należy zapamiętać, iż największą i najpotężniejszą była korzyść moralna i tak drogocenną była ta korzyść, iż imię Napoleona winno być rytem złotemi głoskami we wszystkich żywych sercach ludu polskiego. A korzyść ta moralna nietylko dlatego była drogocenną, iż dogodziła ambicyi, iż okazała światu pewną znaczną summę rycerskości ducha, ale i dlatego, iż nieufającemu samemu sobie narodowi, narodowi, który zaczynał wierzyć, iż tylko przez zlanie się z jednem lub dwoma zaborczemi mocarstwami, może dojść do siakiego takiego znośnego bytu, iż temu narodowi objawiła powrót do niepodległości, wskazała mu jasno cel i wytknęła drogę. Ale ten naród spał, spał dalej. Ten naród ani myślał brać wzoru z zajadłej walki Hiszpanów, ten naród, razem z wolną połacią swej ziemi, był sobie magazynem wojskowym, etapem przemarszowym.

Napoleon poniósł klęskę w r. 1812 — a no, tedy Warszawa się zmartwiła i, jako wierna sojuszniczka, wyprawiła swych wojaków do Krakowa i, dalej, do Zittau i pod Lipsk, no, a podczas sama przyglądała się nadciągającym w pościgu wojskom rosyjskim.

Ach, bo wprawdzie próchno puławskie,

w osobie księcią generała ziem podolskich, zdjęło mundur austryackiego feldmarszałka i przyjęło na się przewodnictwo konfederacyi — ale akt konfederacyi pozostał tylko wspomnieniem jednej więcej pustej fety.

Naród razem z luminarzami swymi ani myślał korzystać ze sposobności i zbroić się tak, jak był powinien i mógł. Klęska Napoleona poruszyła go, ale przecież nie tak, by się porwał na nogi, by ościenią zdolen był się stać, by dowiódł, iż jest mocen być przedmurzem Europy.

Naród ten wysłał wszak w odmęt bitewny tysiące dzielnych i myślał w nich mieć zbawicieli, którzy powinni byli okupić wolność miljonom! Zresztą, naród polski miał po większej części albo słabe poczucie swej jaźni albo jadem przewrotności przygłuszone.

A napoleończycy?! Napoleończycy byli tylko nielicznymi kłosami na zachwaszczonej roli. Ich zapał, ich poświęcenie, ich hart nie zdołał wzniecić pożaru w zatęchłem i pleśnią okrytem rumowisku. Napoleończycy nie zdołali „złączyć się z narodem“, bo naród od sojuszu stronił.

Stąd daremnie czasy napoleońskie są wskazywane na czele, tak zwanej, stuletniej walki „narodu polskiego“, — bo naród polski nie walczył, lecz tylko jego mała cząstka. Naród polski śród burzy europejskiej odegrał równie

bierną rolę, targanego zawieruchą, ludu, jak i pierwsze z brzega księstewko niemieckie. Naród polski nie powstał.

Chwała legjonom napoleońskim i nieśmiertelność — ale z tej chwały i nieśmiertelności nic, krom potępienia, dla miljonów.

Żadne najuczeńsze wywody, zdolne wyprowadzić rodowód tej apatyi i bierności Polaków, nie zaprzeczą faktu, że naród polski spał.

Żadne najkunsztowniejsze racye, wyświetlające, dlaczego w kmieciu, mieszczaninie, żydzie, magnacie, lub szlachcicu brakło tego lub innego poczucia obywatelskiego — nie zaprzeczą faktu, że naród polski nie powstał.

Naród polski nie powstał w czasach napoleońskich i nie powstał w r. 1830, bo znów, w drobnym swym odłamie, zdobył się ledwie na r e w o l u c y ę.

Wojna roku 1830—31 słusznie ochrzczoną została mianem r e w o l u c y i, boć w całym przebiegu swoim nie zdołała wznieść się do stopnia powstania.

Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, czy i o ile wybuch listopadowy był nierozwagą, czy dzielnym odruchem uciśnionych, nie tu miejsce roztrząsać błędy taktyczne dowódzców ani wykazywać niedostatki poszczególnych kierowników, czy sięgać do plątaniny dyplomatycznej współczesnych czasów. Ku temu nie brak szeroko pojętych dzieł, aby się

dziejami rewolucyi roku trzydziestego nasycić. Kto był istotnym bohaterem, a kto podszywanym, kto niedołęgą, a kto zdrajcą, o tem historya orzekła, a jeżeli ten i ów wątpi o kimś lub o czemś, ten słuchać nie chce.

Lecz czyż z tych błędów, niefortunnych planów, braku talentów u wodzów można orzec, iż naród polski nie powstał? Bezwarunkowo tak, nietylko można, ale i trzeba.

Ani Królestwo kongresowe, ani Litwa, ani Podole, ani Wołyń, ani Żmujdź (Galicya i Księstwo Poznańskie, z natury swej przynależności innej, branem tu bezpośrednio pod uwagę być nie powinno) bynajmniej nie pałała ową żądzą dobycia się z niewoli, bynajmniej nie wierzyła i od samego początku w sprawę, wcale nie przesadzała ofiarnością, ani myślała o odrodzeniu, a raczej, w najoptymistyczniejszem przekonaniu, spodziewała się interwencyi Europy, a nawet pogodzenia się i z Mikołajem i z Wielkim księciem Konstantym. Ten nastrój nareszcie był tylko odbiciem tych samych poglądów, które niezręcznie kryli prowodyrowie, a to począwszy od Chłopickiego, a skończywszy na Adamie Czartoryskim.

Młódź wywołała rewolucyę i wywołała z taką brawurą, iż w pierwszych dniach listopadowych zdawało się, że i naród się ocknie.

Lecz młódź, po nocy listopadowej, miast dalej iść, miast dalej wieść rozpoczęto dzieło,

obejrzała się po za siebie ku tym, którzy, choć zasłużeni ojczyźnie, byli już tylko skołatanymi, ociężałymi duchami.

I cóż, impet młodzi osadziła w miejscu rachuba i nibyto rozum polityczny mężów, którym się zdało, że na nich po raz wtóry przyszedł czas posłannictwa. Rewolucyę zaczęli kontynuować statyści tak, że, miast podsycić ogień, zgasili go, zagrzebali w kłótniach, sporach i cudacznych planach politycznych, a gdy sprawa chyliła się do upadku, umywali ręce.

Starczy zapamiętać, że prześwietna „Rada Administracyjna", szukając dla się argumentu legalności, działanie swe rozpoczęła w imieniu króla Mikołaja I. przeciwko Mikołajowi I., cesarzowi — starczy zapamiętać, że Chłopicki objął dyktaturę nietylko pod tem hasłem ale i dla „ujęcia wryzę rozpasanego żołnierstwa"...

Ten przykład, z góry idący, udzielił się narodowi, zdemoralizował nawet wojsko i to wojsko podobno zaprawione do karności, mające w szeregach swych i dobrych patryotów i znakomitych żołnierzy i wytrawnych oficerów.

Rewolucya! Rok trzydziesty pierwszy!... Tak, bitwa Grochowska, słynna Olszynka, odwrót Rosyan, bitwy pod Wronowem i Lubartowem i tuż za nią Ostrołęka, a dalej, pogrom. Czy wycięcie w pień Polaków, czy jakaś batalja

genialna?! Nie, pogrom, bo kłótnie, swary, niedołęstwo, lenistwo i pycha i zajęcze serca u steru.

Komu wola z otchłani roku trzydziestego pierwszego ratować czystych i prawych, niechże czyni — ale i niech pamięta, że sto tysięcy ludzi złożyło broń, że całe korpusy polskie wyszły z granic Królestwa kongresowego i poddały się bądź Austryi, bądź Prusom, niech pamięta, że żołnierz Polski nie zawsze miał na swem czele Sowińskich i Kickich, że nawet brakło mu tyle siły, aby porachunek wziąć z tych, którzy go zdrowego i całego i zbrojnego do złożenia broni przywiedli.

Raz jeszcze i najmocniej zapamiętać trzeba, że za granice zaboru rosyjskiego wyszło kilkadziesiąt tysięcy zdrowego, zbrojnego, ani głodnego, ani wyczerpanego żołnierza, złożyło broń i zaczęło obnosić po świecie swój ból emigracyjny. A jeżeli przy uprzytomnieniu sobie tej prawdy wyrwie się komu okrzyk: „czemuż nie legli, czemuż raczej nie dali się wyrżnąć w pień!“ — ten niech zważy, iż żołnierz rewolucyi wyszedł z narodu, który spał, który o powstaniu szczerze nie myślał, którego serce nie uderzyło pełnią żądzy wyzwolenia. Żołnierz rewolucyi nie był, jak to bywa, lawą bijącą z głębi wrzącego wulkanu, a ciągle odżywianą ognistym strumieniem, lecz żołnierz rewolucyi był sobie samemu skrą i popieliskiem. Żołnierz rewolucyi był jeno tym czuwającym

a gotowym do boju rycerzem, złudzonym, wśród snu, dźwiękiem urojonej pobudki, rycerzem, który zerwał się, za miecz porwał, aż, wytrzeźwiony głuszą grobową nocy, znów do snu się układł.

Naród polski w roku trzydziestym spał. Żołnierz rzucił karabin i został dziadem.

Piękny, oślepiająco jasny i gwiaździsty błysk listopadowej rewolucyi, był tylko fajerwerkiem, był tą błyskawicą, która, gasnąc, noc czyni mroczniejszą, ciemniejszą.

Szczęśliwy ten, komu postać Lelewela nie przywodzi na myśl niedołęgi, najzacniejszego móla bibliotecznego, najpoczciwszego uczonego ale i najszkodliwszego podczas rewolucyi działacza, szczęśliwy ten, komu obcem jest imię Maurycego Mochnackiego, kto nie pamięta, że temu prawemu synowi Polski lud warszawski stawiał szubienice za to, że chciał ratować sprawę, że nie mógł znieść wykrętów ugodowych Rady Administracyjnej.

Szczęśliwy ten, kogo stać na rozentuzjazmowanie się kilkunastu czy kilkudziesięciu epizodami lub postaciami, kto dla Grochowa, Olszynki, Sowińskiego, Platerówny, zdobycia arsenału zapomni narodowi bierności, zwali cały ciężar niepowodzeń na taktykę, brak wodzów, błędy Chłopickich, powolność Radziwiłłów, słabostki Skrzyneckich czy poprostu niegodziwość Krukowieckich!

Tak, zawołanie harde „umrzem lub zwyciężym“, wróciło do pieśni. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wywędrowało na emigracyę — zabór rosyjski zaś jęknął, pod gniotem silniej zaciskanych łańcuchów.

I rzecz dziwna i osobliwa, rewolucya roku trzydziestego, w przeciwieństwie do powstania roku 1863, śród współczesnych, zjednała sobie nietylko większą zasługę, ale i stała się tem, co zwolennicy Wielopolskiego, radzi przedkładać niby dowód, iż rewolucya miała wojsko gotowe, środki a zatem i widoki realne — powstanie zaś było ruchawką zapaleńców, którzy niczego więcej, krom niedoli, ziemi ojczystej nie przysporzyli i przysporzyć nie mogli.

I rzecz dziwna, mówiąc o rewolucyi, wspominając ostatnie dni polskiego wojska, idziemy tak daleko, że nam taki Adam Czartoryski, ex-minister rosyjski, pan, krojący na władcę, urasta na męczennika sprawy, że Chłopickiego widzimy tylko w cylindrze i szaraczkowym surducie pod gradem kul Olszynki, że przebaczamy dziadom wszystkie winy — i przeciwnie, zbliżając się do powstania roku 1863, w najlepszym wypadku, gotowiśmy mówić o nierozwadze i nierozsądku.

I rzecz dziwna, rewolucya wydaje nam się najpowszedniej czemś legalnem, czemś, co powinno się było stać, w odróżnieniu od po-

wstania, któremu lepiej byłoby się nigdy nie narodzić.

Tymczasem rzecz dla spokojnego sądu, przedstawia się inaczej.

Rewolucya roku 1830 była najpierw rewolucyą wojskową, a dalej usiłowała stać się powstaniem narodu. Jako główne chmury, które poprzedziły burzę, dziejopisowie zawsze przytaczają chryje dyscyplinarno-wojskowe, a dopiero dalej zatargi o konstytucyę. Słowa „naród", „lud", zjawiają się wówczas na ustach wodzów, generałów i naczelników rządu, gdy już nie czas na uświadamianie, na wzywanie ochotnika, lecz pora ruszać w pole. Duch pojednania się z Mikołajem, bodaj tylko pod pozorami jakiegoś ustępstwa, tkwił już, gdy w pierwszych dniach powstania pozwolono oddalić się księciu Konstantemu razem z gwardyą.

Dorobek moralny z rewolucyi był ujemnym bezwzględnie, podkopał wiarę we własne siły i to we własną armię, podniósł urok potęgi rosyjskiej, przygnębił zacne serca ogromem niedołęstwa tych, co do władzy się darli, uprawnił tchórzliwych do upominania, że nawet i z wojskiem nie poradzi; nieprzyjaciołom dodał odwagi i stanowczości, a ponieważ sprowadził rzecz do miana rewolucyi i nie wykazał nieomal zupełnie owych rozpraw na śmierć z całą ludnością, przeto i sympatye europejskie nie zdobyły się nawet na przy-

pomnienie postanowień kongresu wiedeńskiego.

Powstanie roku 1863 miało zgoła inny charakter, miało nieskończenie gorsze warunki i widoków powodzenia wcale. Lecz powstanie szło z narodu, powstanie miało na swem czele, może nie znakomitych wodzów ale i nie takich, którzy w rewolucyi znaleźli się dlatego, że ich przedtem spotkała niełaska Konstantego. Powstanie było krwawym protestem, odruchem konwulsyjnym może, ale szczerym, serdecznym, młodzieńczym. Powstanie było porywem tem piękniejszym, bo beznadziejnym.

Powstanie po raz pierwszy zdołało przeniknąć kraj myślą, że trzeba iść a nie wyglądać tego dobra, które rzemieślnicy polityczni przysporzą. Powstanie bólem przejęło ziemię polską, ale i wszczepiło w nią prawdę, że wszystko to, co nie zdołało zwiędnąć w sobkostwie i oportunizmie, że wszystko to, co wre życiem, co jest w narodzie jutrem, musi pożądać słońca, nie dać się ugiąć do lokajstwa, że żaden naród nie może istnieć bez haseł prawych, bez wytkniętych dróg prostych.

Fakty, iż powstanie roku 1863 było porywaniem się muchy na słonia, iż nie posiadało zadość ani broni, ani pieniędzy, ani żołnierzy, ani oficerów, iż było marzycielstwem, spotęgowały jeno wpływ moralny, bo ogromem niedoli targnęły narodem.

Prawda, naród i tym razem nie powstał, walka spoczęła znów na barkach garstki zapaleńców, lecz naród spojrzał w siebie.

I wpływ moralny powstania, mimo wszelkie przeciwsądy, był wielkim i nie dlatego, aby, według utartego komunału, hekatomby męczenników były warunkiem odkupienia, lecz że przyspieszył ewolucyę, skrócił znakomicie proces urabiania się duszy polskiej, przeorał krwią zapuszczoną niwę patryotyzmu.

Te prawdy pozornie tylko bywają zaćmiewane wystawianiem złotych czasów, które byłyby rozkwitły, gdyby nie powstanie. Rząd rosyjski tyle krzywd i ciosów niezasłużonych umiał zadawać i zadawał swoim własnym, rdzennie rosyjskim, obywatelom, tyle razy tumanił i oszukiwał nietylko Polaków, ale i swoich obywateli, iż nagłemu podmuchowi zefiru przyjaźni ufać nie było można.

Wielopolski! Wielopolski wierzył niezawodnie w cesarza, pragnął niezawodnie dobra, ale był tym nieszczęśliwym chirurgiem, który rozwija bandaże, rozkłada kojące leki, lecz ma rękę tak ciężką, iż ledwie tknie lancetem rany, już ją pogłębi, zakrwawi. Wielopolski był pyszałkiem i bufonem — starczy jednego z tych przymiotów, aby rozwiązać zagadkę, dlaczego tak mało zjednał sobie zwolenników. Wielopolski chciał tym samym batem rosyjskim polszczyć i reformować kraj, którym

Paszkiewicze go rusyfikowali. Naród zaś nadewszystko sromał się bata.

Sprawa Wielopolskiego, to już czterdziestoletni potok żółci, płynący między jego zwolennikami i przeciwnikami. Drugie pokolenie popowstaniowców dorasta, czas, aby wysechł.

Napoleonida, trzydziesty rok i sześćdziesiąty trzeci, to są główne etapy tego, co zwiemy stuletnią walką narodu. Dlaczego „narodu"? Kto tu uzurpuje czyje imię, czy naród podszywa się sam pod czyny jednej swej cząstki, czy ta cząstka przybiera miano narodu — odrzec trudno. Komunał się utarł i stał się prawomocnym. Całe pokolenia bezdusznych i głuchych rade są wypominać, że i one, (boć naród) przez dziadów lub ojców swoich kiedyś i o coś walczyły, całe połacie ziemi polskiej, które dziesiątki lat w letargu trwały, również do chwały walczących prowincyj się przypisują, każdy, bez względu na barwy stronnictwa, szuka paranteli z niedawnymi „warchołami", każdy rad dowodzić, iż ktoś z jego rodziny ucierpiał dla rewolucyi, powstania czy napoleonidy — jeno nie słychać nigdzie o tych, co na niedoli ziemi ojczystej porobili fortuny.

I nie byłoby nic złego w tej niewinnej ambicyi, w tym tłumnym, choć tak spóźnionym, akcesie do imion męczenników, gdyby z ko-

munału tego nie brano wskazań politycznych, gdyby z wyników tej walki stuletniej nie czerpano pesymizmu, nie wyciągano racyj, że, jeżeli naród, w tak pomyślnych warunkach, jak czasy napoleońskie lub rewolucya, przy takiem desperactwie, jak rok 1863, jeno sobie samemu mocniej powróz na szyi zacisnął, to tem samem złożył dowód swej bezsilności i o samoistnym odruchu marzyć nie powinien.

I ten pogląd na niemoc naszą narodową jest zgubnym i nie przez to, iżby Polacy powinni gotować się do zbrojnego powstania, przeć do krwawej rozprawy — nie — lecz jest zgubnym nawet na drodze ich legalnej obrony, bo ich onieśmiela, bo ich gnębi, zręcznie odwracanymi, frazesami politycznymi, bo mgłami zasnuwa obrachunek własnych sił.

Naród polski winien rzec sobie samemu tę prawdę, iż on, jako całość, jako miljony, nigdy i ani razu nie zdobył się na żaden protest przeciwko śmierci politycznej Rzeczpospolitej, iż on, wbrew wszystkim dotychczasowym twierdzeniom, zawsze był w stosunku do zaborców biernym, lojalnym i potulnym, że był zawsze na hasła gromad i gromadek swych głuchym, a, w najkrytyczniejszych chwilach napięcia wypadków, ani zimnym, ale i ani gorącym.

Naród polski, szczycąc się imionami swych

bohaterów, podtrzymując Znicze sławy swych nielicznych bojowników i rycerzy, winien pamiętać, że on sam, jako miljony, jest siłą niezmierzoną jeszcze bo ani razu nie powołaną, że legjony jego miljonów śpią od wieków, śpią jeszcze, — przytem wyrzekawiają się ostatnie, gdziekolwiek istnieją. Wstydzą się swego imienia, języka, obyczajów — wyrzekają się tego i to z pośpiechem. Z religijności — mieco rutyny zostało — ogólnie biorąc, więcej nic. „Bydła i jest papugą narodów....

PRECZ Z POEZYĄ.

Spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym. — O poetomanii. — Wallenrod i liczba 44. — Reduta Ordona i śmierć Sowińskiego. — Sceptycyzm i galicyjski patryotyzm. — Czy Bóg powierzył księciu Józefowi honor Polaków. — O Dąbrowskim. — Lokajstwo pisarzów. — Jeszcze o bohaterze lipskim. — Jarema Wiśniowiecki — wieszatiel. — Czapki z pawich piór. — Król na hotelu Lambert i adjutant literacki Kościuszki. — Halucynacye polskie o posłannictwie.

Wiek żelazny naszego życia politycznego zeszedł się z wiekiem złotym naszej literatury pięknej. To spotkanie musiało wycisnąć niezatarte piętno na literaturze, musiało zwrócić twórczość ku utraconej ojczyźnie, musiało twórczość przepoić bólem i rozpaczą wiernych jej synów, musiało twórczość napełnić echami haseł, którymi czujni i dzielni chcieli śpiące legjony budzić. To spotkanie musiało zaciągnąć, co gorętsze pióra, pod sztandary partyj, musiało chłonąć, co tęższe, siły pisarskie i podporządkowywać je pewnym dążeniom, planom, celom, racyom stanu, musiało zamieniać je w narzędzia ataków i środki obrony.

I to parcie było i jest szlachetnem. I to spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym rozpłomieniło talenty twórcze, dało im wieszcze loty, zaklęło na spiż ich duchową puściznę i takimi klejnotami narodowymi wystroiło polską literaturę, o jakich żaden naród roić nie może.

I ta literatura piękna była krynicą, była ukojeniem, ochłodą dla spieczonych warg,

ogniskiem dla zziębniętych serc, otuchą dla wątpiących dusz, była błogosławieństwem i manną.

I ta chciwość mózgów polskich, zwrócona ku pieśniom, hymnom, eposom i elegiom była zacną, podniosłą i zdrową dotąd, dopóki nie stała się poetomanją, histeryą, oszołomieniem, dopóki mózgi polskie odróżniały poezyę od historyi, twórczość literacką od kroniki, fantazyę artysty od dokumentu, światło dnia od bengalskiego ognia inscenizatora, dopóki mózgi polskie nie zaczęły w utworach poetyckich szukać proroctw, programów politycznych, wizerunków przeszłości, dowodów prawdy, dopóki, nie zasmakowawszy w wytwornej a kunsztownej strawie, nie pogardziły powszednim chlebem trzeźwego sądu.

I stało się, że to, co winno być pokrzepieniem, zamieniło się w mocny a odurzający napój.

Poezya wszystkimi porami wcisnęła się do naszej jaźni narodowej, wyrobiła w nas przywidzenia, oplątała wizyami, zaćmiła w nas jasność wzroku, przytłumiła czujność, rozełkała, pouczyła mieć pretensyę nietylko do całego świata, ale i do Boga.

Nie dość tego, poezya, jako dar twórczy, jako moc tworzenia pojęć, obrazów duszy ludzkiej, wydarzeń itd. nie ma ani obowiązku, ani potrzeby zdawać porachunku ze swego

tworzywa, idzie za natchnieniem, za porywem, za pięknem, sieje błękitami, stroi się w chmury, zawodzi czy piorunami ciska, w tem jej, nieograniczona wola i władza. Wolno było Szyllerowi mieć Maryę Stuart za męczennicę, wolno było Słowackiemu mieć ją za zbrodniarkę no, i wolno każdemu z nowożytnych poetów urobić z niej nową postać, nie podobną zgoła ani do Maryi Stuart Słowackiego, ani Szyllera. Lecz czyż którakolwiek z tych dwóch, czy trzech różnych Maryj Stuart może mieć wagę tam, gdzie rzecz zachodzi o powzięcie zdecydowanego zdania o Maryi Stuart historycznej, prawdziwej?! Zapewne nie, ale u nas, tak.

Myśmy w poetomanii potrafili dojść do zenitu. Dla nas wiersz, utwór dramatyczny, powieść znaczy więcej niż dzieło szperackie, niż głębia prawdy historycznej, niż wiedza.

Ta poetomanja nie uszanowała u nas nawet wieszcza tak potężnego, jak Mickiewicz. Liczba 44 i Konrad Wallenrod, toć tajemnica i zbawiciel, toć tomy przepastnych hypotez, toć powódź spodziewań. Wallenrod żył, był, istniał!! Prawda, istniał i tak jeszcze, że na ośmdziesiąt ośm lat przed śmiercią (umarł wszak w roku 1394) już zdążył nauczyć się od Maurów ballady i Krzyżakom rozpowiedzieć o Almanzorze, choć Granada upadła, sromotnie poddana, dopiero w r. 1492.

Ta poetomanja sprawiła, że gdy Mickiewicz

napisał piękny wiersz p. t. „Reduta Ordona“, według którego Ordon wysadza w powietrze redutę (r. 1831 bitwa warszawska) i znajduje chwalebną śmierć, to wiersz ten stał się prawem. Nic tu nie pomogło świadectwo, „patrona szańców“ Ordona, który cały i zdrów, w trzydzieści lat po swej poetyckiej śmierci, zdumiewał się przed Mierosławskim, że żyje... Nic tu nie znaczy, iż kroniki wysadzenie reduty przypisują bądź bohaterstwu porucznika Nowosielskiego, bądź nieostrożności kanoniera Nakruta. Mickiewicz napisał piękny wiersz, tedy Ordon jest „patronem szańców“, a żaden Nowosielski, ani Nakrut dla nas istnieć nie może.

Czyżby z tej pomyłki mógł wynikać dla naszego wieszcza jakiś zarzut — żaden, bo, w zdrowem rozumieniu, gdyby cały ten epizod nie dotyczył Warszawy i był zgoła wytworem fantazyi, to ani jeden liść lauru Mickiewiczowi by nie odpadł, bo piękne dzieło poetyckie pięknemby zostało.

Analogicznym wypadkiem jest śmierć generała Sowińskiego w tejże bitwie warszawskiej pod wolskim kościołem. Goszczyński śmierć Sowińskiego, rzekomo zarąbanego na ołtarzu, uwiecznił wierszem. Któż go nie zna, kogóż nie nauczyła go matka!... Tymczasem zacnej pamięci generał poległ na bastyonie i ani mniej mężnie, tylko że nie w kościele.

Legenda atoli znalazła, krom Goszczyńskiego, jeszcze innych żarliwych poetów grozy i niedoli walczących Polaków i zadokumentowaną została przez Straszewicza i Chodźkę i uwieńczoną rysunkiem, przeznaczonym dla Francuzów. Aż nareszcie, w ostatnich czasach, wywołała całą burzę sporów, rozstrzygniętych przez oddzielną monografię p. Mieczysława Świtkowskiego.

I możeby ostatecznie spór o legendę przycichł, gdyby legendzie nie przybył nowy dokument, w dziele malarskiem p. Wojciecha Kossaka. Artyście przypadło tło legendy, dał kompozycyę, poetomanii przybył więc dokument.

Ta poetomanja nie byłaby może i aż tak szkodliwą, by tak drobne jej usterki ważyć, gdyby te, drobne z pozoru, usterki nie kryły groźnego jadu. Boć w rezultacie człowiek ufający, wierzący i w „patrona szańców“ i w zarąbanie Sowińskiego na ołtarzu, jeszcze nic nie traci na cnotach obywatelskich, może nawet mieć je spotęgowane, — lecz cóż się stanie z tym samym człowiekiem, gdy otrząśnie się z poetomanii? Czyż nie musi opanować go rozczarowanie, czyż nie zacznie wątpić i o prawdziwych, niezaprzeczonych faktach i wypadkach. Czyż żołnierz tak prawy, jak Sowiński, zasługuje na strojenie go w wymyślone ramy, czyż może owo przenoszenie zgonu

z bastyonu na ołtarz ma służyć do zohydzenia „moskali“? — wszak, gdy idzie o kościół, mamy po temu bliższe Kroże. Czyż nareszcie społeczeństwo nie postrzega, iż, pod bokiem poetomanii, zaczyna urastać druga ostateczność, sceptycyzm i drwina z uczuć i pamiątek narodowych, że ten sceptycyzm i ta drwina, choć ma swe inne źródła, znajduje w tej poetomanii podporę i argumenty.

Ogół polski juści, w stosunku do swej ojczystej historyi, w trudnem znajduje się położeniu, bo, jako młodzież, czerpał ją i czerpie jeszcze z jednej strony z rozmyślnie i ze złą wolą fałszowanych podręczników (jak rozmaici Iłowajscy), z ust ludzi zdeprawowanych celem politycznym, albo z poetomanii, z powierzchowności, z przesady i urojenia. Galicya podobno w tym kierunku w najpomyślniejszych znajduje się warunkach, ale też i Galicya odznacza się sceptycyzmem i wstrzemięźliwością. A jeżeli Galicya z powodzeniem inauguruje rozmaite obchody i uroczystości, to baczniejszy obserwator z łatwością przekonać się może, że, po za gromadką, ogół zachowuje przystojność sługi w świątyni Jowisza, tego sługi, znającego się wybornie na maszynie, udającej odgłosy olimpijskich gromów. W najopłakańszych warunkach jest Kongresówka i ziemie zaboru rosyjskiego, bo tu właśnie poetomanja trwa i trwa tak, że prze-

cież młodzież, która wskutek strejku szkolnego zjechała do Krakowa na egzamina, została odepchniętą, odpaloną i to mimo całej dobrej woli i łagodności examinatorów... Poszło o elementarną znajomość historyi Polski.

Już my to wogóle dziejów naszych nie lubimy, a raczej lubimy w nich tylko to, co mówi o naszej chwale, potędze czy bohaterstwie naszych przodków. W tym kierunku nie różnimy się od innych narodów, ale różnimy się tem, że nasze zahamowane życie polityczne, ten prąd czyni jednostronnym, że tracimy równowagę poglądu, że mamy z góry powziętą nienawiść do wszystkich, co nas leczyć usiłują, a miłość do tych, co w nas złudy hodują.

Zaślepienie nasze jest tak wielkie, że nawet nie chcemy zrozumieć, jak wielką krzywdę wyrządzamy naszym bohaterom narodowym.

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam!“ — Co to jest?! — Frazes, apoteozujący, wkładany w usta księcia Józefa Poniatowskiego w chwili śmiertelnego skoku w nurty Elstery. — Frazes piękny, gdyby nie był o wiele bezsensowniejszym od sławetnego „Finis Poloniae“.

Najpierw Bóg honoru Polaków księciu Józefowi nie powierzał, bo gdyby (w rozumieniu mistycznem) obrał sobie księcia Józefa na

strażnika honoru Polaków, to by conajmniej nie pozwolił mu gnuśnieć przez lat dziesięć i przysłuchiwać się obojętnie odgłosom rozpaczliwego szamotania się legjonów. No, a powtóre, książę Józef, mimo tragicznej swej śmierci, honoru Polaków Panu Bogu nie oddawał, bo rozbitkowie lipscy w całości go zachowali, mieli go przez cały ciąg kampanii roku 1814 i z tymże samym honorem do kraju powrócili.

Już to wogóle w Polsce nie dość jest na męża ze spiżu urość, nie dość dokonać czynów niepożytej mocy, trzeba jeszcze mieć i szczęście i trzeba, jeszcze za życia, posiąść psiarnię, któraby hymn nadmogilny zawyć w porę umiała, któraby suggestjonowała poezyę czy wprost do niej trafiła.

Przykładem tu Henryk Dąbrowski! Daremnie ten jedyny wódz, jedyny żołnierz nieugięty, jedyny z tych, co nie sławy, nie zaszczytów, nie wpływów szukali, lecz swobód dla ziemi swej, dwadzieścia trzy lat strawił na nieustannych zapasach, daremnie przez dwadzieścia trzy lat, ani myślał Cyncynata udawać lub sromać się narażenia na szwank swej ambicyi, daremnie z talentami wodza, cnotami obywatela łączył czystość obyczajów, przymioty dobrego syna, męża i ojca, — daremnie zdobył miłość żołnierzów, daremnie

potężnymi błyskami przez lata całe rozświetlał mroki, — daremnie!

Ach tak! Dąbrowski dostał się do piosenki!...

Lecz dostał się i trwa w niej tak i wymawianym bywa tak, jakby zaszczyt ten zawdzięczał rymowi, jakby lada dzień nazwisko Dąbrowski zmienić mógł jakiś Sosnowski lub Lipowski!...

Poetomanja nasza, idealizująca księcia Józefa, skwapliwie zapominająca Naczelnikowi i usunięcie się od udziału wszelkiego w napoleonidzie i pamiętne listy do Aleksandra I i to pokładanie wiary we wspaniałomyślności „Peterburka", — o Dąbrowskim milczy, a raczej tylko tam go sławi, gdzie wódz legjonów zasłonić się nie da nawet fantazyi.

Kościuszko, książę Józef, ba, i mniejsi od nich żołnierze, mniejszej szarży bohaterowie mają nietylko pomniki, portrety, złote księgi, królewskie groby, kopce, a na każdym kroku życia polskiego widome znaki swej chwały, — gdy, z drugiej strony, Dąbrowski, a za nim tłum może dzielniejszych od sławionych, ginie w zapomnieniu.

Krzywda, która się dzieje tym drogim cieniom znów tylko z poetomanii płynie...

Tak! I z poetomanii, graniczącej z lokajstwem.

Patrzcież, ile wysiłku zrobiła banda, ży-

wiona obiadami czwartkowymi, aby z tego, co chciał być królem, choćby na czapce ziemi, zrobić człeka dobrych chęci! Patrzcież, ile trudu, ile papieru zużyto, aby samoluba, płatnego kochanka imperatorowej, komedyanta, rozpustnika i tchórza bodaj pokazać, jako krzewiciela nauk i sztuk!... Patrzcież dalej, że upadek Stanisława Augusta był upadkiem całej „familii“ i że stąd talenty księcia Józefa były ratunkiem, deską zbawienia dla wielu z tych, co najpierw chcieli korony i władzy dla siebie, a potem już i Polski od morza do morza.

Patrzcież tedy i słuchajcie, a pojmiecie, dlaczego książę Józef jest wam równie drogim i pod Dubienką, i przy szturmie Warszawy, i pod Raszynem, i pod Możajskiem i pod Lipskiem, jako i przy partyi putyfona, i jako ojciec rozmaitych bękartów, uwodziciel dziewczyn, amfitryon dziesięcioletnich pijatyk na mogile Rzeczypospolitej, jako pustak i hulaka, — pojmiecie, dlaczego ten rys charakteru, przez który Poniatowski dźwiga się, budzi, przeistacza, wraca, niby syn marnotrawny w progi haseł ojczyzny, jest tak słabo uwydatnionym, tak zatartym!

Ten przykład dlatego godzien był wyróżnienia, iż znamionuje, jak poetomanja nasza nie uszanuje prawdy w najwyrazistszych postaciach.

I jeszcze raz podkreślić tu trzeba, iż nie

ma tu winy poetów — lecz wina tu społeczeństwa.

Sienkiewiczowi wolno było na kryształ przetopić Jaremę Wiśniowieckiego, wolno było tchnąć weń ducha i okazać go żywym i potężnym — ale społeczeństwo polskie, chyląc głowę przed wspaniałą postacią powieściową, winno pamiętać, że dla Jaremów ma w słownictwie swej walki przymiotnik „wieszatiel", że Wiśniowiecki był zawsze takim wieszatielem i siewcą buntów Kozaczyzny.

Juści nie trzeba chyba i wspominać, że poetomanja nasza kocha się w symbolach i proroctwach, że nietylko poezyę przeciwstawia prawdzie, ale i sama szuka w niej złud.

„Dziady" Mickiewicza, „Nieboska komedya", toć już całe dla nas pacta conventa. Szczęsnemu Potockiemu zapominamy chętnie Targowicę, bo jest już Wacławem w „Maryi".

Co kroku, choć przy całej dobrej woli twórców, szukamy w kompozycyach ich wróżb, przepowiedni, prognostyków, mistycyzmu, urojenia, wyglądamy chwili napojenia konia tureckiego w Wiśle. A już „czapka z pawich piór" wprowadza nas w ekstazę i mroczy wokół wszystko, premierę teatralną zamienia w dzień przełomu, podnosi do znaczenia wypadku dziejowego.

I gdybyż nareszcie na znakomitych talentach poetomanja nasza się ograniczała, gdybyż

piśmiennictwo nasze wolne było od miernot, złej woli, słabej uczciwości i pychy! Gdybyż szczerość rozróżniano od fałszu, zapalczywość od wyrachowania, gdybyż wymarło pokolenie oszustów artystycznych, gdybyż talent pamiętał o potrzebie ciągłego krzepienia swej wiedzy!

Sięgnijcież do naszych zabytków niedawnej przeszłości, rozejrzyjcie się w tem, co się zwie mecenasostwem, popieraniem sztuk, kupieniem sił duchowych — a obaczycie, że ta cnota była często kupowaniem sobie nieśmiertelności, chęcią wyprania w literaturze zaszarganego imienia, lub załatwienia przez najemnika osobistego rachunku.

Ważycież się przypuszczać, aby taki książę Adam Czartoryski, minister i rosyjski mąż stanu, pełnomocnik, który, w imieniu Rosyi, podpisał przymierze z Anglią, przyjaciel cesarza Aleksandra I i wierny towarzysz w dniach klęsk (1812 roku) i w dniach tryumfów (1814), dygnitarz, senator, wojewoda, naczelnik rządu narodowego w r. 1831 dlatego został prostym żołnierzem w korpusie Ramorina (w dniu 16 sierpnia), aby już w dniu 17 września, pod osłoną tegoż korpusu, uciec do Austryi, aby przytem, co się dało, z majątku ze sobą zabrać?!... No, więc nie znacie do głębi „króla polskiego z hotelu Lambert“, nie macie wyobrażenia o jego wielkich zamysłach, planach i intencyach. Nie znacie tego, co panował emi-

gracyi. A więc czytajcie Niemcewicza. Od Niemcewicza dowiecie się o Czartoryskim, a gdyby naodwrót, podobało się wam poznać z kolei bliżej Niemcewicza (adjutanta Kościuszki, adjutanta wątpliwej wojskowo wartości, który adjutanctwo swoje brał tak po literacku, że w wigilię bitwy Maciejowickiej „zabawiał Naczelnika odczytywaniem starych gazet"), no, w takim razie, przeczytajcie sobie dzieło księcia Adama o Niemcewiczu! Jeżeli zaś wam to, co pisze Niemcewicz o Czartoryskim, a Czartoryski o Niemcewiczu, wystarczy na zapomnienie, że książę Adam, przez lat dwadzieścia, był wiernym sługą Peterburka, że został nim z powodu... iż w roku 1795 wysłano go jako z a k ł a d n i k a... że już w r. 1796 był rosyjskim kamerjunkrem i marszałkiem dworu księżnej Heleny, to i tem lepiej dla nas! W słowach tych nie ma satyry ani chęci ujmowania Czartoryskiemu któregokolwiek z przymiotów, tylko pragnienie zaprzeczenia Czartoryskiemu i prawa do męczeństwa i samego męczeństwa. Czartoryski prowadził wielką grę, w Peterburku szukał czegoś więcej niż teki ministra, spotkał go zawód — rewolucya zdawała mu się drogą do urzeczywistnienia ambicyj, przyłączył się do niej i poświęcił dla niej tyle, co ryzykować gotów każdy najuboższy pretendent do najuboższego tronu. Na emigracyi świadczył ludziom, ale, świadcząc,

świadczył samemu sobie, bo stwarzał wokół siebie pozory tego nimbu, którego mu los odmówił.

A teraz, cóż rzec o lwiej części naszego malarstwa historycznego, o tych kompozycyach pięknych, dziełach sztuki, ale mających często słaby związek z prawdą, a raczej, co rzec o tej manii szukania prawdy w twórczości? A jeszcze, cóż rzec o egzaltacyi, która w nas wmawia, że my, Polacy, mamy na świecie jakieś wszechludzkie posłannictwo, że my czemuś wogóle przodujemy i dokonamy czegoś, co z posad ziemię ruszy!! Ta egzaltacya pod piórem poety może być i szlachetną i wielką i wzniosłą, — lecz taż sama egzaltacya, jako wyznanie wiary narodowej, i w naszych opłakanych warunkach bytu politycznego, jest samobójczą. Ta egzaltacya jest jak haszysz, daje nam opiumowe rozkosze wizyj, ale i jest trucizną. Poi nas bowiem przeświadczeniem, że i bez naszego natężenia, na odgłos trąb, mury opadną, słońce zatrzyma się, a my pójdziemy jakąś drogą wiecznochwały, pójdziemy jako naród wybrany przed wszystkimi narodami. — Dokąd?

KOMUNAŁY NARODOWE.

Polacy nie splamili się królobójstwem. — Wątpliwa chluba. Zamachy w czasach porozbiorowych na Berga, Aleksandra II i księcia Konstantego. — Hryniewiecki, Padlewski i Czołgosz. — Spartanki nasze i Murawiew. — O żandarmach wieszających. — Przyszła Polska przedmurzem. — Dawne dzieje przedmurza i obecny jego stosunek do mocarstw. — Od morza do morza. — Jedyny punkt wyjścia dla naszych haseł.

Przekleństwem naszej trzeźwości politycznej są komunały, powtarzane z całą bezmyślnością zarówno przez statystów, jak i zaściankowiczów naszego życia. Właściwością tych komunałów jest to, że, raz i w porę może wygłoszone, trwają, choć przeżyły się, zjełczały na bezsensy, trwają w naszem pojęciu na stanowisku wielmożnych argumentów.

Komunałów tych jest ilość wielka — aby ocenić ich szkodliwość, starczy rozważyć najpopularniejsze i najwięcej przez nas ulubione.

„Polacy nigdy nie splamili się królobójstwem", głosimy przy zdarzonej okazyi, szukając w tej okoliczności wywyższenia się nad ludami, które ścięły Karola I, Ludwika XVI, czy nie zdołały uchronić od skrytobójstwa Carnotów, Lincolnów, Aleksandrów i Humbertów.

Polacy istotnie „nie splamili się" królobójstwem za czasów Rzeczypospolitej, bo znajdowali się w tem położeniu szczęśliwem, iż rozprawiać się z królami nie potrzebowali, gdyż w zamierzchłych czasach mieli na zawo-

łanie myszy do zjadania Popielów, a w późniejszych, zanim wyraz majestatu królewskiego stracił urok pomazaństwa, oligarchiczny ustrój miał około 40 tysięcy rodzin królewskich w zapasie, a faktycznych królewiąt całe dziesiątki. Lud polski spał, spał jak i wszędzie zresztą, stanu trzeciego nie było, a raczej składał się on z żywiołów obcych: żydów i niemców, szlachta zaś, jeżeli nie zawsze mocną była, wedle upodobania, oprzeć się wydaniu jakiegoś królewskiego rozporządzenia, to za to zawsze miała dość humoru i fantazyi, aby i podatków nie zapłacić i z gardłowych spraw sobie dworować, a w ostateczności patrona w magnacie sobie znaleźć, który i królowi jegomości zęby umiał pokazać. Faktycznie więc nie było komu do królobójstwa się uciekać — magnaci rządzili, szlachta miała przywileje, o jakich zachodowi się nie śniło, a lud trwał w ciemności i ani śmiał roić, aby, choć i na tamtym świecie, z herbowymi się zrównać.

Tak, Polacy nie popełnili „królobójstwa“ — nie popełnili go z braku pobudek i fatalnej racyi stanu. Właściwie mieli raz podobny zamiar i to zamiar, który i dziś jeszcze budzi w Polakach żal, że się nie udał...

Pamiętne porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów barskich i uwolnienie króla przez zdradę Jaszczołta bynajmniej ani pierwszemu współczucia, ani drugiemu zasługi

nawet u potomności nie przysporzyło. Porwanie to, według zapewnień, nie miało na celu królobójstwa — niezawodnie, boć gdy Ludwika XVI osadzano w Temple, to nie dlatego, aby go zgilotynować.

Czy i w czasach porozbiorowych równie wielką zachowaliśmy wstrzemięźliwość? — bezwarunkowo że tak. Czy z tej wstrzemięźliwości powinniśmy się cieszyć lub nią chełpić — rzecz wątpliwa.

Dzieje porozbiorowe, zaczynając od legendowej opowieści o żołnierzu, który, stojąc na warcie w pałacu Wielkiego księcia Konstantego, ma dokonać zamachu na znienawidzonym satrapie a w krytycznej chwili strzałem dopiersnym odbiera sobie życie, zapisują kilka usiłowań królobójczych. Więc, strzał do drugiego księcia Konstantego (Mikołajewicza) w Warszawie, w teatrze, — więc zamach na hrabiego Berga w Warszawie (pamiętny zburzeniem i rabunkiem pałacu Andrzeja Zamoyskiego), więc zamach na Aleksandra II, podczas pobytu tegoż w Paryżu, zamach dokonany przez Berezowskiego, to faktycznie wszystko. Ogólną charakterystyką tych zamachów na przedstawicieli władzy jest niepewna ręka, a całym rezultatem chybianie, bo wszystkie z pomienionych „ofiar“ wyszły cało i zdrowo.

Jednakże, poza tymi zamachami, były jeszcze trzy udane: Hryniewieckiego na Ale-

ksandra II, Padlewskiego na generała Seliwestrowa i Czołgosza na Mac-Kinleya. Ale te trzy zabójstwa polityczne, juści tylko ślepi albo żli mogą łączyć z polskością - boć Hryniewiecki działał na równi z Rysakowem, Żelabowem i całą gromadą rosyjskich socyal-rewolucyonistów i dla rosyjskiej socyal-rewolucyi; Padlewski, jako socyalista rosyjski, załatwiał obrachunek socyalistów rosyjskich, a Czołgosz do swego mordu, popełnionego na Mac-Kinleyu, nic polskiego, prócz imienia, nie wniósł.

Dalej, możemy sobie z całym spokojem przyznać, że nie dokonaliśmy nawet symbolicznych „królobójstw" na przedstawicielach przemocy i na tej, która nam się najwięcej dała we znaki. Wszak ci, do powstaniowego Trepowa dopiero Wiera Zasulicz strzelała i w Petersburgu i nie za Warszawę, wszak ci, pamiętne twarzobicie Apuchtina było dziełem studenta Żukowskiego, Rosyanina!

Wybitniejszych odruchów czynnego protestu przeciwko znienawidzonym nie posiadamy zupełnie w naszych dziejach porozbiorowych. Nasze kobiety-polki mało były Spartankami, nie wydały z siebie ani Wiery Zasulicz, ani Karoliny Corday.

Czytając ponure, okropne dzieje panowania Murawiewa-wieszatiela na Litwie, serce zamiera ze zgrozy. Żony, matki i córki tarzają

się we łzach u nóg barbarzyńcy, żebrząc o łaskę dla skazańca. Murawiew, miast słów przebaczenia, bluzga obelgami, kopie nogami nieszczęsne, pluje im w oczy!... Ukochany syn, mąż, ojciec musi zginąć. Dla kobiet tych zgon ukochanego człowieka, jedynego opiekuna, podpory, nadziei, równa się śmierci! Te nieszczęsne nie mają już nic, nic zgoła do stracenia. Czytasz i mrużysz oczy — otwierasz oczy, Murawiew cały i zdrów idzie dalej! Czy podpisywać wyroki śmierci? Ach, nie o nich myślisz, boć rozumiesz, że na to jego takie drakońskie pojęcie, że przecież dwieście lat cywilizacyi spóźnionej ma swoją nieubłaganą logikę — lecz Murawiew idzie dalej hańbić, plwać, znęcać się i poniewierać...

Karoliny Corday nie mieliśmy. Rozmaici Hurkowie, Klingenbergowie (krożańscy) Czertkowowie, aż do małych kundli włącznie, aż do „bab“ w rodzaju Maryi Andrejewny, robili co chcieli, nie mając bodaj tyle respektu dla nas, ile ma najsprawniejszy bartnik dla swych pszczół w chwili, gdy im plastry miodu wygarnia!

Niezawodnie, wszystko to razem może być zaliczonem do cnót chrześcijańskich, ale może być wziętem i za brak determinacyi, brak odruchów. Odruchy takie mogą bezwątpienia przyczynić niedoli, mogą mieć wprost gnębiące następstwa, lecz brak tych odruchów także

niedoli nie poprawia, ani żadną intencyą uplanowaną wytłumaczonym być nie może.

Z czego więc się tu cieszyć, czem się chełpić!? Ostatnie wypadki, rozgrywające się pod zaborem rosyjskim, nie mogą być brane pod uwagę. Boć są to wybuchy niezupełnie naszego pochodzenia, niezupełnie naszej a zupełnie obcej nam energii socyalistyczno-żydowskiej. Zresztą umilkną one równie raptownie, jak wybuchnęły. Ład i potulność wrócą a z niemi i komunał o królobójstwie i rumieniec wstydu, że w roku 1863 mieliśmy żandarmów wieszających! Ach, wszak tak, zwolennicy biernego nastawiania pleców na baty, a Piłaci wszelkich spraw narodowych przebaczyliby wiele nierozwadze i lekkomyślności roku 1863, gdyby nie żandarmi-wieszający. A z tego wniosek, iż tych ostatnich mieliśmy za mało, w stosunku do szpiegów i Murawiewów.

„Odbudowanie państwa polskiego, jako przedmurza Europy, leży w interesie ludów zachodnio-europejskich“ — oto komunał drugi, już szerzej pomyślany, a krojący raz po raz na argument polityczny, na który usiłujemy złapać tego lub owego monarchę, a bodaj dyplomatę. Komunał o „przedmurzu“ zresztą stosujemy nietylko do zachodu, ale i do wschodu... bo, przy danej sposobności, potrafimy już i Rosyę pouczać o korzyściach, któreby dla niej

wykwitły z posiadania na kresach szańca polskiego! Na poparcie tego argumentu o „przedmurzu“ wypominamy rolę, którą odegrała Rzeczpospolita w zakusach tatarskich hord i tureckich wypraw.

Komunał ten jest groźnym, bo prawdopodobnym, bo łudzącym nas samych słusznością swej racyi stanu, a więc niszczącym w nas niewyrozumowane nadzieje i osłabiającym energię. Po cóż bowiem zabiegać, po cóż wysilać się i troszczyć, gdy, prosty interes państw ościennych i zaborczych, musi doprowadzić do przyznania nam politycznej niezawisłości!...

Rzeczpospolita była przedmurzem, broniącem Europę przed zachłannością półksiężyca? Była, lecz nie przez szczególniejszą swoją cnotę, lecz z potrzeby. Nawałnica mahometańska groziła wszak najpierw Rzeczypospolitej. Rzeczpospolita broniła siebie, swoich granic. Podobno i „pole chwały“ odsieczy wiedeńskiej łączyło z sąsiedzką pomocą i cel własny, bo, chorągiew padyszacha, na murach Wiednia zatknięta, mogła tem dzielniej, mimo pozorów sojuszu, zwrócić się ku Warszawie i Krakowowi. Jeżeli zaś Rzeczpospolita w następstwie nigdy nie umiała wyzyskać stosunku przyjaznego do Turcyi i potrafiła zezwolić na upadek chanów krymskich, to w tem nie cnota jej ale błąd polityczny, bodaj jeden z tych, za które własną trzeba było zapłacić zgubą.

Rzeczpospolita dalej, jako przedmurze, tyle dokazała, że wyhodowała cesarstwo rosyjskie i to bynajmniej nie ze swej ku Iwanom groźnym, Piotrom i Elżbietom amicycyi. Rzeczpospolita zezwoliła na upadek republikańskich państw Nowgorodu i Pskowa, Rzeczpospolita, jako rzekoma strażniczka cywilizacyi, nie protestowała przeciwko mordom, sprawianym przez Piotra I obywatelom, występującym przeciwko samowładztwu.

Jeżeliby jednak, w szeregu wieków, dało się odnaleźć sporą garść wypadków, zdolnych uzasadnić wartość przedmurza polskiego, to dla obecnych warunków cywilizacyjnych i układu politycznego argument o przedmurzu jest wycofanym z obiegu banknotem.

Wszak, przy dzisiejszych środkach komunikacyi i narzędziach walki, moglibyśmy wówczas mieć znaczenie czyjegoś przedmurza, gdybyśmy ziemię naszą zamienili w jakąś bajecznie obronną i militarnie zahartowaną i czujną fortecę, zdolną do wdrożenia poszanowania czy to Rosyi czy to Niemcom. Wszak tak? Lecz teraz, jaką gwarancyę może mieć Rosya czy Niemcy (jeżeli jedno z tych mocarstw chciałoby z nas mieć swoje przedmurze), że, w krytycznej chwili, nasza własna, a więc słuszna korzyść nie skłoni nas do sprzymierzenia się z państwem, którego sile mieliśmy drogę zagrodzić? Juści żadną. Przeto nie

dziwmy się, iż państwa zaborcze, ryzykując nawet posiadanie na swych kresach ludności sobie niechętnej, wolą na naszej ziemi własne trzymać załogi.

A czy może przedmurze dało by się osiągnąć przez jakąś przymusową neutralność odbudowanéj Polski? Także nie. Bo, najpierw, rozgraniczenie pasem neutralnym, wobec środków komunikacyi, sprowadziłoby opóźnienie akcyi zaczepnej, naprzykład, między Rosyą i Niemcami zaledwie do kilkunastu godzin, a powtóre, mimo neutralności, nie powstrzymało by to nas zapewne od przechylenia się bądź na lewo, bądź na prawo. A nakoniec, gdy idzie o stworzenie z nas terenu walki, to jesteśmy nim faktycznie i dzisiaj. Ziemie polskie, w razie wojny bądź niemiecko-rosyjskiej, bądź rosyjsko-austryackiej, muszą służyć za pole rozpraw, a Warszawa, Wilno, Poznań, Kraków i Lwów muszą pójść na pierwszy ogień i to przed Wiedniem, Berlinem, Petersburgiem lub Moskwą.

Komunał o przedmurzu używanym jeszcze bywa przez nas w stosunku do Francyi, dla której Rzeczpospolita polska mogłaby być pożądanym sprzymierzeńcem za plecami państwa niemieckiego! Być może, ale znów pod warunkiem, że, w dalszym ciągu, Polacy mieliby równego stracha dla pleców rosyjskich,

lub zawarli ze swemi plecami rosyjskiemi święte przymierze.

Godząc się jednak na postulat, że Francya mogłaby zyskać w ten lub ów sposób na odbudowaniu Polski, to jeszcze nie zdołamy dowieść, aby ta korzyść zrównoważyła potrzebne ku temu ofiary, ba, i może ofiary daremne.

Mieliśmy aż nadto dowodów, aby się przekonać, że dyplomacya francuska, przy zdarzonej chwili, dawała posłuch naszym deklaracyom, że gotowała się do kategorycznych wystąpień, ale... pod warunkiem, iż nasze wysiłki uwieńczone będą powodzeniem. Powodzenia nie było, więc Francya tasowała rozdane karty i przedmurza szukała w Petersburgu. Taki zwrot uważaliśmy i uważamy za zdradę nieomal, mamy dlań w pogotowiu całe zapasy gromkich zarzutów i wyrzutów, ale taki zwrot zwie się tylko dobrze zrozumianym własnym interesem politycznym.

Mimo te prawdy, komunał o przedmurzu polskiem trwa. Cui bono? Czy istotnie możemy przypuścić, aby na ten wytarty trojak skusiła się jakaś dyplomacya? Czy też tak dalece bronimy się trzeźwości, że z dobrą wiarą „przedmurze“ zaliczamy do racyi i atutów politycznych?!

„Chcemy Polski od morza do morza“ — oto komunał trzeci, już nieco zdyskredytowany i coraz rzadziej używany za hasło dą-

żności polskich, lecz jeszcze nadto częsty, aby o nim wspomnąć.

Chcielibyśmy Polski od morza do morza? Chcielibyśmy wrócić do granic, przypuśćmy, z przed roku 1772. Na jakiej zasadzie? Na zasadzie tego, że te a te obszary stanowiły posiadłości Rzeczypospolitej — zgoda. Jaki będzie nasz stosunek do ziem litewskich, małoruskich, rusińskich, białorusińskich itd. Damy im najrozleglejszą autonomię, zgodzimy się na jakąś unię osobistą?...

Dobrze, a jeżeli pomimo to, bądź Litwini, bądź Białorusini zażądają niepodległości?! Jeżeli pogardzą i braterstwem z nami i naszą kulturą i naszą opieką? Będziemyż produkowali „obrusitielej", będziemyż zakładali instytucye w rodzaju hakaty? Chyba, że nie! Jeden punkt wyjścia — pójść za przykładem Szwecyi i zrezygnować ze wszystkich ziem, mających uroszczenia norwegskie.

Krótko mówiąc, tak czy owak, jedynie możemy prawować się o Polskę etnograficzną p l u s te ziemie, które są sztucznie nawodnionymi stawami i p l u s jeszcze te ziemie, które, choć etnograficznie nie polskie, do nas dobrowolnie przystaną.

Wszelki inny punkt wyjścia dla naszych żądań jest niebezpiecznym i zaprzeczającym wszelkim naszym pretensyom do niepodległości. Bo, albo te gromadki naszych bojowni-

ków, które od stu lat po całym świecie roznoszą zawołania o wolności, są apostołami tęsknot i spodziewań narodu polskiego — albo my nie mamy z nimi nic wspólnego. Albo istotnie Polacy szli i za Waszyngtonem i za Garibaldim i za Kosztutem — albo skłamali zawołanie „za waszą i naszą wolność". Albo rzeczywiście sprawa polska jest sprawą umoralnienia polityki europejskiej, albo jest łzami wilka, osadzonego w klatce.

Z chwilą, gdybyśmy dowodzić zaczęli naszych praw historycznych i politycznych do ziem i ludów, które bądź wolałyby ciążyć do innego państwa, bądź zachować by chciały pełną swoją niezawisłość, sami musielibyśmy zejść do tych samych otchłani, z których usiłujemy się dobyć.

KLĄTWY NIEWOLI.

Nasze tchórzostwo. — Zaprzańcy. — Kłamane poświęcenia. — Fałszywość polska. — Ofiary patryotyzmu przed sądem. — Pomnik Katarzyny. — Etyka przewrotności. — Urzędnicy i profesorowie Polacy. — Inteligencya powiatowo-gubernialna. — O „polaczyszkach“. — Patryotyzm nienawiści. — Maniactwo nędzarzów. — Gdzież chiński mur? — Zmarnowanie siedmdziesięciu lat pracy. — O Galicyi. — Patryotyzm twórczy.

Trzy mamy domy niewoli, — trzy domy różne, i co do wewnętrznej budowy, i co do ilości wydzielonego nam w nich powietrza i światła, i co do warunków naszego powszedniego w nich bytowania.

Wspólną cechą tych domów jest oczywiście to, cośmy nadewszystko w nie przynieśli — więc tchórzostwo. Czyje?! Juści nasze i zupełnie polskie.

To tchórzostwo, dzięki pomienionym różnicom domów niewoli, rozmaitym podlegało stopniowaniom, aż bądź wzmogło się, bądź zmniejszyło w poszczególnych zaborach — trwa atoli i nie ginęło nigdy. Najmniej posiada go Wielkie Księstwo Poznańskie, najwięcej zabór rosyjski.

Gdzie szukać owego tchórzostwa?! Szukać nie trzeba, dość obejrzeć się wokół, aby o nie się potknąć na każdym szczeblu, na każdym stopniu życia polskiego.

Boimy się cienia własnego, boimy widma, boimy urojenia, boimy tego, czego bać się jest hańbą!

Czyście kiedy podróżowali? Czyście nie słyszeli nigdy „Polaczków“, którzy już od Terespola zaczynają mówić po rosyjsku, a którzy znów w Aleksandrowie, albo o parę kilometrów na północ od Krakowa wpadają w tempo niemiecczyzny? Czyście kiedy byli świadkami jak „patryota“, chcąc wdrożyć dla siebie poszanowanie organu policyjno-administracyjnego, zapewniał czystą moskiewszczyzną, że ma taki i taki „czyn“ i że z takiej i takiej pochodzi gubernii?! Czyście nie byli nigdy proszeni przez „Polaczka“ z dobrej rodziny a oficera, aby mówić z nim na ulicy po niemiecku, gdyż język polski uchybia jego cesarsko-królewskiemu stanowisku!? Czyście ani razu od kochanego krewniaka nie odebrali rady, aby we Francyi podać się za Rosyanina, bo to zapewnia ułatwienia?!... Czyście nigdy nie słyszeli we Lwowie zdania, że Warszawa leży w „Rossyi“ i że w „Rossyi“ Polakowi jest lepiej?!... Czyście, mieszkając w Warszawie, nigdy nie odebrali listu od patryoty z nadpisem rosyjskim „Варшава Россія“, choć przecież rząd rosyjski żadnych po temu nie wydał obostrzeń?!... Czyście istotnie zawsze zaznaczali swoją narodowość, czyście dla świętego spokoju, nie poglądali obojętnie, jak wam jakiś intendent hotelowy pisał „Austryak“, „Rosyanin“, „Niemiec“? Czyście nigdy nie widzieli „zacnych“ obywateli z orderowemi wstą-

żeczkami? Czyście doprawdy ani razu nie byli świadkami spajania „moskali", fetowania rozmaitych dyrektorów i naczelników, a więc i miodopłynnych wynurzeń lojalnych poddanych?!... Czyście istotnie nie poglądali na tych „męczenników", którzy, raz i przypadkiem odwiedzeni przez żandarmską rewizyę, chodzą odtąd w aureoli cierpienia dla ojczyzny?!

Toć wam się wydają znów drobiazgi?! Lecz czyż nie z drobiazgów składa się nasze krecie, podziemne życie?!... Czyż my, wobec ludów wolnych, mamy coś nad te drobiazgi!?

Tchórzostwo jest naszą klątwą i było klątwą naszych ojców, od których zresztą my wogóle lepsi jesteśmy, a nie gorsi.

Tchórzostwo żywi w nas te, niczem nieusprawiedliwione, nadzieje, że ktoś dla nas coś zrobi, tchórzostwo bowiem nie pozwala nam śmiało spojrzeć w oczy prawdzie.

Tchórzostwo nasze pragniemy usprawiedliwiać terrorem białym, którego nam państwa zaborcze nie szczędzą. Lecz jest to kłamstwo. Ci, którzy ulegli lub ulegają przemocy terroru rządowego, nie mają nic wspólnego z tchórzliwym i samolubnym ogółem. Żaden z zaborczych rządów nie posiada nadprzyrodzonych sił, które zdolne byłyby sięgać aż do serc, aż do mózgów, aż do dusz polskich. Tchórzostwo zaś nasze jest właśnie tem, tak głęboko sięgającem, tchórzostwem.

A nie idzie tu nawet o żadne odruchy gwałtowne ani o żadną odwagę rewolucyjną — jeno o to proste, Piotrowe zaprzaństwo, na które, w życiu narodów, nie masz innego sądu nad potępienie.

Tchórzostwo wnieśliśmy sami do domów niewoli — tu zaś wyciągnął ku nam ramiona fałsz i kłamstwo.

Fałsz i kłamstwo oto dorobek i niewoli i tchórzostwa.

Okłamujemy nadewszystko samych siebie, bo wmawiamy w siebie, że ponosimy ofiary wielkie dla ojczyzny, że jesteśmy wciąż narodem, stojącym na świeczniku ludów, że czynimy więcej nad możność, że poświęcamy się nawet wówczas, gdy poświęcenie przynosi nam zyski.

Tak — u nas poświęcają się wszyscy dla ojczyzny!! Profesor literatury polskiej cierpiał dla kraju, bo miał z a k a z a n e komplety uczniów (na czem zarabiał po 30 i 40 rubli za godzinę, gdy wykład i czas wart był dwa ruble); — szynkarz nazwał swą wódkę „Kontuszówką", ozdobił ją znakiem kosy i po cichu dawał do zrozumienia, iż jest prawie kosynierem; — pisarz kleił bajkę i, kazawszy sobie za nią słono zapłacić, miał się za bojownika ludu; panek, z miłości do kraju, marzył, aby jego córka została frejliną dworu; bodaj i Wisła płynęła i płynie nie dlatego, że

musi być ujściem źródeł i dopływów, ale z poświęcenia dla ojczyzny...

Okłamujemy jednak nietylko samych siebie, ale i wszystkich, z którymi los nas kojarzy. Ba, lecz gdybyż nas stać było na jakieś zręczniejsze, wytrwalsze kłamstwo, mogłoby ono dać nam bodaj zdolności polityczne! Cechą naszego kłamstwa jest zawsze ciasnota piwniczna niewoli i naiwność żakowska. Wziąć na się mandat delegacki, a w następstwie obełgać i wyborców i potentata, do którego było się delegowanym, toć u nas chleb powszedni. Przyozdobić się podobizną orła polskiego, a następnie, w razie sprawy z władzą, zaprzysiądz, iż nie jest to żaden orzeł, ale najniewinniejszy kogut, toć szczyt zmysłu rozumnego patryoty. W iluż to procesach politycznych oskarżeni, miast śmiało i dzielnie odpowiedzieć, — uczyniłem to i to, ponieważ, jako Polak, muszę to a to kochać, a to znów zwalczać, — osłaniają się dziwacznymi kłamstwami a zapierają publicznie inkryminowanych uczuć patryotycznych!! Te kłamstwa rzadko zdolne są uniewinnić oskarżonego i stąd nowa okazya do nowych kłamstw... Zwolennicy skazanego uderzają w gromy oburzenia na ciężkie skazanie człowieka, który w rezultacie nic a nic nie zawinił... bo, naprzykład, dobrał się do tajnego memoryału Imeretyńskiego i obwieścił go światu razem

z dopiskami cesarza! Ta druga serya kłamstw ma znów niby na celu jakąś zmianę doli dla skazanego, lecz, miast tej upragnionej zmiany, rzecz sprowadza do tego, że śmiały czyn blednie, że człowiek tęgi schodzi na miernotę, wyprzysięgającą się swych przekonań.

W naszem społeczeństwie fałsz stał się czemś uprawnionem, usprawiedliwionem.

Rząd zaciska rzemień i w tym celu ogłasza jakąś odpowiednią uroczystość, dajmy na to, poświęcenie pomnika Katarzyny II w Wilnie, czy obchód odnowienia zamku krzyżackiego w Malborgu. Na uroczystość wezwani są luminarze polscy — sprawa drażliwa — więc mniej skłonni do pokory nie stawiają się, motywując swoją nieobecność chorobą! A przecież, prosta uczciwość nakazywała by lojalnie i szczerze wyznać, że poczuwanie się do polskości nie może ścierpieć łączenia się w hołdzie dla Katarzyny II. Tymczasem skłamanie choroby, spędzanie winy na ból palca już w szkółce elementarnej nie ma waloru. Rząd odnośny wie, co o tem sądzić. Akt protestu zaś schodzi do zera.

Bywa również inaczej. Zajęcze serca nie są w stanie zdobyć się nawet na taką opozycyę i stają pod pomnikiem Katarzyny II... A potem, brak odwagi cywilnej starają się osłonić frazeologją... o jakimś politycznym podkładzie.

Tymczasem jedynym podkładem jest tu tchórzostwo i fałsz.

Kłanianie się w oczy satrapom, łganie rozmaitych „uczuć" — a znów przeklinanie za plecami tych, do ręki których cisnęliśmy się na prześcigi, oto etyka polska w domach niewoli.

A tej etyki przewrotnej, niegodnej, następstwa są straszne! Bo i jakież mieć może zaufanie lud prosty do swych panów i przewodników, gdy widzi ich wciąż lawirujących, wciąż łgających!!

A czyście może nigdy nie mieli do czynienia z urzędnikami Polakami?! Czyście nigdy nie zetknęli się z przedstawicielami władzy-Polakami?! Czyż trzeba wam przypominać, że Polak urzędnik rosyjski, austryacki lub niemiecki, to często poprostu nieszczęście! Czy nie próbowaliście nigdy zapoznać się z imionami tych, którzy, naprzykład w Tryeście, niemczą ludność miejscową?! Czyście ani razu nie zetknęli się z urzędnikiem policyi Polakiem, z celnikiem, z fiskusem jakimś!?

Dowodów i dowodów wam trzeba!?

Więc postawmy krzyż na licznem, a rozrosłem mocno pokoleniu zaprzańców — nie mówmy o tych, którzy przestali czuć i myśleć po polsku — mówmy o tych, którzy się za dobrych Polaków uważają.

Byliście w szkole rosyjskiej?!... Pamiętacie

apuchtinadę? Pamiętacie łapowników takich i pijaków, jak Kacaurow, Iliin, Wiedieniapin, Pietrow, Stefanowicz, Szczebalskij, Sokołow, etc. etc. etc.? A pamiętacież tych nielicznych „cierpiących“ Polaków-nauczycielów i profesorów!? Czyż wielu z nich naprawdę „nie brało“? Czyż nie oni to głównie byli postrachem w nieskończonej swej pedantaryi? Czyż nie oni to, nawet poza szkołą, baczyli na język rosyjski, czyż nie oni najgorliwiej pracowali nad załapaniem ucznia! A w uniwersytecie warszawskim? Iluż było tych prawdziwych Polaków a iluż między Polakami takich, którzy niczego, krom pensyi i urzędu, nie mieli na celu!

Czyż nigdy nie przychodziło wam na myśl, że z nauczycielem Rosyaninem, jeżeli nie słowem, to szklanką lub sakiewką można dojść do porozumienia, z nauczycielem zaś Polakiem często nawet łzami jego własnej żony nie poradzi. Były wyjątki? Były, lecz na to bodaj jedynie, aby stwierdzić istnienie reguły i reguły takiej, żeć podobno nie kończyła się ona tam, gdzie zaczynała się suknia duchownego!!

Zaiste, rządy zaborcze zbyt mało zajmują się tą psychologją tchórzostwa polskiego, inaczej ani by się ważyły rugować urzędników-Polaków.

Znacież wy życie miast gubernialnych i po-

wiatowych polskich?! Czyście nigdy nie zaglądali do polsko-rosyjskich resurs, nie wnikali w tajniki życia rozmaitych lekarzów, naczelników, „mecenasów“, itp. inteligentów-Polaków? Czyście nie zastanawiali się nad ich stosunkiem do kolegów czy zwierzchników Rosyan?! Czyż doprawdy roicie sobie, że każdy burmistrz Polak gardzi łapówkami?!... Czyż doprawdy roicie sobie, że te pijatyki i karciarstwo inteligentów-Polaków w gronie Rosyan, było nieodzownym warunkiem utrzymania się na stanowisku, że ten brak godności i lokajstwo, wobec zwierzchników Rosyan, da się wytłumaczyć potrzebą pamiętania o chlebie!

Tak — tak, gotowiście rzec, iż inne postępowanie wiodłoby do rewolucyi, do więzienia, do dymisyi! Nieprawda! — Doprowadziłoby jeno do tego, że wyraz p o l a c z y s z k a znikłby nareszcie.

Daremnie usiłujemy wyraz p o l a c z y s z k a podporządkować jakiemuś objawowi prześladowania! Daremnie zamykamy uszy na głos sumienia, które mówi nam, że p o l a c z y s z k a znaczy układność i obłuda, udana dobroduszność i bezczelna potulność, fałsz i ukrywana nienawiść.

P o l a c z y s z k a! Więc tylko dosadniejsze, bardziej jaskrawe znaczenie tego, co się zwie na Litwie „koroniarz“. Bardziej szczera, choć

zamknięta w sobie, dusza litewska, tem mianem znaczy zbytnią gładkość polską.

A nie jest to u Litwinów żadna prowincyonalistyczna invidia, jeno stwierdzenie raczej faktu, że fałsz staje się nieodłącznym rysem naszego charakteru, rysem, znamionującym nietylko sposób postępowania jednostek, ale i całych gromad.

Drugim, nie mniej zabójczym dla nas, dorobkiem niewoli, jest nienawiść, nienawiść ukrywana, trawiąca nasze siły duchowe, a pozornie tylko podsycająca uczucia patryotyczne.

Zły to patryotyzm, który żywi się nienawiścią, który miłość ku ziemi ojczystej czerpie nie z krynicy uczuć zacnych, który się poi żółcią zaznawanych krzywd, który, miast być świadomym ruchem muskułów, staje się skurczem konwulsyjnym.

A przecież taki właśnie konwulsyjny patryotyzm jest u nas najpowszedniejszym. Wszak ci większość Polaków nie dlatego miłuje swoją ziemię, aby ta miłość była naturalną potrzebą ich serca, lecz miłuje ją dlatego, że nienawidzi ciemięzców, że w miłości tej szuka pomsty dla swych krzywd.

I ten patryotyzm rozprasza nas, trawi nasze siły żywotne w walce o drobiazgi, tumani nas, podnosi do potęgi jakąś nikłą zdobycz na rzecz polskości, skupia naszą uwagę na błahostkach i zaćmiewa szersze pola działalności.

I ten patryotyzm wszczepia w nas chorobliwe przeświadczenie o naszem męczeństwie, i ten patryotyzm przesłania nas mrokami od myśli o rozumnej i natężonej pracy, i ten patryotyzm czyni z nas żebraków, dziadów, Łazarzów, potrząsających łachmanami, okazujących światu swe rany i radujących się, że miłosierne psy rany ich liżą niekiedy.

I ten patryotyzm nasz czyni, że nasza pycha jest w istocie pychą maniaka-nędzarza, który w swem charłackiem życiu — szczyci się potwornością swoich wrzodów, który ani myje się, ani strzyże, daje porastać na sobie brudowi, byle nic ze swego okropnego wyglądu nie stracić. Maniak-nędzarz jest jak nasz patryotyzm — życie nie dało mu być słońcem, życie radeby go mieć teraz gwiazdą — maniak nędzarz, nie mogąc być słońcem, wszystko czyni, aby być jego plamą.

I ludy głuchną na nasze skargi i utyskiwania, i ludy, nawet rzucając nam słowo jałmużny, odwracając od nas głowę niby przechodzień, który zna wskroś modłę kaleki-żebraka.

I ten konwulsyjny patryotyzm zasklepia nas w krecich norach, przetwarza nas w najzacofańsze środowisko, ubezwładnia wobec pierwszego lepszego sofizmatu o ludzkości, bo zamienia nas w nieobwałowane niziny, które lada wylew rzeki przeistacza w trzęsawiska i błota.

Patrzcież — od czasów „odnowiciela“ Polski, od czasów listopadowej rewolucyi, przez lat siedmdziesiąt, trwała praca nad zohydzeniem wszystkiego, co rosyjskie, co moskiewskie! Przez siedmdziesiąt lat, zabory austryacki i pruski z emigracyą pospołu wytężały siły, aby otchłań niezmierzoną wykopać między tem, co jest rosyjskie, a tem co polskie!

Patrzcież na owoce tych wysiłków!...

Poznańskie z dnia na dzień radeby wpaść w takt hymnu Boże caria chrani, Galicya, przesyciwszy się autonomią, spogląda na Królestwo, niby handlujący głodem wróbel na spasionego w klatce kanarka, a równocześnie zabór rosyjski bije się w piersi i zaprzysięga swą nierozdzielność polityczną z państwem rosyjskiem!

Nie w tem teraz rzecz, czy ten zwrot jest usprawiedliwionym, pożytecznym obecnie, lecz w tem, iż siedmdziesiąt lat pracy nienawiści doprowadziło w rezultacie do zera, że drżeć trzeba, aby rozmaite ekonomiczne racye i „budzące się poczucie rosyjskiej sprawiedliwości“ niestało się drugim krańcem naszego patryotyzmu...

Patrzcież, przez lat siedmdziesiąt, budowano mur chiński, aby raz na zawsze odgrodzić Polskę od Rosyi, przez lat siedmdziesiąt tam, gdzie kończyły się na wschodzie wedety polskich kresów, tam już była dla nas dzicz,

tam była noc, niemająca nic wspólnego z wiecznotrwałem światłem zachodu. I cóż się stało dzisiaj? Mur chiński, z cegieł nienawiści zbudowany, padł, a ognik wschodu urósł nam na łunę, która już nie łuną jest dla nas, lecz całą zorzą północną! I jak przedtem wszystko, co rosyjskie, musiało być dla nas podłem, nikczemnem, niegodziwem, tak dziś nawet to, co w Rosyi i z Rosyi jest istotnie podłem, nikczemnem i niegodziwem, wydaje nam się nie rosyjskiem.

Patrzcież na widome owoce nienawiści!

Na wschodzie budowaliśmy mur chiński, a na zachodzie zapomnieliśmy o słupach granicznych. Gdyby tam z kolei hakata nie rozwinęła swych wrogich haseł — poznańskie wyzbyłoby się do reszty sarmackiej jaźni.

Patrzcież na zabór austryacki! Czyż nie widzicie, że ten właśnie zabór, mimo wszelkie patryotyczne kopce, pomniki, uroczystości, pochody i konfederatki, orły białe i polskie napisy, stał się już nieomal rdzennie austryacką prowincyą? Czyż nie wyczuwacie, jak mimo pozory i deklamacye, pulsuje na każdym kroku życia galicyjskiego, coś więcej niż lojalizm i coś więcej niż realna polityka i coś więcej niż umiłowanie gwiazdek na kołnierzu i hofrackich tytułów!?

A pomnicież, iż przed rokiem siedmdziesiątym, przed czasami Bismarcka, poznańskie

było przepojone temi samemi uczuciami, co dzisiejsza Galicya.

Czyżby stąd płynęła śmieszna racya o bacie, o knucie, jako jedynie dzielnych wychowawcach polskiego patryotyzmu? — Nie! Stąd jedynie racya, że nienawiść zaślepia nas, że gdy poprzednio całe siły obrony wytężała w stronę Rosyi, tak dziś radaby je w przeciwną zwrócić stronę!...

Ach, może tak nie jest?! Może nie staramy się uwierzyć dziwacznemu wymysłowi, iż, tylko dzięki woli i wpływom dyplomatów i cesarzów niemieckich, Rosya wogóle, a Polacy w szczególności dotąd nie dostali autonomii!? Wszak ten bezsens ma obecnie mir u nas powszechny. Wszak my, wielcy republikanie (oligarchiczni), gotowiśmy dowodzić, że wogóle kiedykolwiek jakiś władca dał lub da z dobrej i nieprzymuszonej woli swemu ludowi jakieś ustawy liberalne, że konstytucyę naród rosyjski otrzymał na kolendę za grzeczne sprawowanie, że władcy, bez przemocy i zawisłego nad nimi miecza, mogą zrezygnować z samowładztwa.

Patrzcież na dorobek patryotyzmu nienawiści. Jeszcze dwadzieścia lat temu, człowiek, wołający po polsku „precz z ojczyzną“, „precz z Polską“, byłby uznanym za szaleńca, za desperata-samobójcę! — A dziś? — Dziś taki

człowiek zwie się przedstawicielem partyi i to partyi, na argumenty której nie umiemy odpowiedzieć, nie jesteśmy często zdolni odpowiedzieć! Nie jesteśmy zdolni, boć patryotyzm nasz jest ogarkiem syczącym wobec pochodni tamtych!

Nic tu nie tłumaczą nas, ani niewola, ani ucisk, ani bezwładność społeczna, bo i poza niemi, jeszcze dla chcących było zadość pola do siewu i orki. Dowodem ci, co wołają „precz z Polską"!

Gdzie i jak! Weźcież bodaj piętnastolecie Królestwa kongresowego na przestrzeni jego, względnie wielkiej, autonomii w latach od roku 1815—1830.

Rozpatrzcież się w tem, co Królestwo kongresowe zdziałało dla wytępienia analfabetyzmu, co uczyniło dla ludu, co wartemi były naprawdę doniosłe jego reformy! Przekonajcie się, ile tam zmitrężono czasu, ile stracono sposobności ku wzmożeniu się i odrodzeniu!

A zwróćcie oczy na Galicyę, na tę Galicyę, o której mówi się wszak, że uczyniła wiele, że nie jest zgoła podobną do swego pierwowzoru z przed lat pięćdziesięciu! I zastanówcie się, czy, po latach pięćdziesięciu, Galicya doszła istotnie do tego punktu, do którego dojść była już powinna!

Pomińcie sobie bodaj sprawę analfabetyzmu, uwierzcie, iż Galicya już uczyniła wszystko,

co należało, aby tę niemoc zadławić — a zważcie dwa pytania, czemu to pięćdziesięciolecie pracy, miast zabliźnić rany rusińskie, rozjątrzyło je i czemu kraj ubogi i w przemysł i w żywioł robotniczo-fabryczny wpadł w tak silny paroksyzm socyalizmu. A odpowiedź na te pytania będzie jedna — iż patryotyzm nasz podotąd był ledwie obronnym, że tam nawet, gdzie mógł lub może być twórczym i atakującym, marnieje, murszeje i nie ogarnia dość wielkich kręgów, że całe masy wydaje na żer prądom obcym.

Prawda, ta zaledwie obronność naszego patryotyzmu wynika z klątwy niewoli — aleć i ta niewola nie była nigdy aż tak potężną, aby już żadna praca twórczego patryotyzmu nie mogła się rozwijać! Obliczcie szeregi tych, którzy, mimo gniotu zaborczych rządów, urośli na międzynarodowych bojowników, którzy, mimo opieki duchowieństwa, wyszli na mankietników, obliczcie, no separatystów, Litwinów i Rusinów, a przekonacie się, ile ziemi, dzięki twórczej pracy innych, ubyło nam może nazawsze!

MY I EUROPA.

Nasze dobre mniemanie o sobie. — Bywało inaczej. — Emigracya polityczna. — Jej wynaradawianie się. — Frankopolacy. — Czwarta Polska za Atlantykiem. — O nieznośnie trudnym języku. — Świat zabity deskami. — Nieco o czasopismach. — Widmo rozłamu w zaborach. — Nasze chluby. — Kopernik i Chopin. — Czy znaczymy wiele w Europie przez sztukę lub przez literaturę. — Prawa na forum kultury ludzkiej. — Miłostki polskie dla Turków, Anglików, Węgrów, Szwedów i Japończyków. — Nasza szlachetność na krótką metę.

Przeciętny Polak nie ma zgoła wyobrażenia o stosunku Europy do Polaków. Dzięki poczciwemu usiłowaniu dziennikarstwa polskiego, które z benedyktyńską wytrwałością w każdym zakamarku świata radeby wykryć ślad polskiego pochodzenia, znak odbicia polskiej myśli, polskiej pracy, polskiej zasługi, przeciętny Polak nabiera wyobrażenia, iż w Europie, iż, na szerokim świecie, dwudziestomilionowy naród aż nadto dzielnie znaczy swą jażń. Ale, gdy ten sam przeciętny Polak wychyli się poza zaborcze kordony, gdy dosięgnie środowiska, gdzie ustaje przypuszczenie rozmyślnego zwalczania polskiego imienia, wówczas, z bólem i gniewem, postrzega, że imię jego mówi niekiedy mniej niż Irlandczyk, niż Katalończyk, niż pospolity separatysta prowincyonalny.

Tak-tak! Europa nie zna naszej geografii, nie zna naszej historyi, w czem podobno tylko dorównywa nam, i nie ma wyobrażenia często nawet o tem, co istotnie zasługiwałoby na uznanie. Europa wogóle nami się nie zajmuje

i nie poświęca nam bodaj tyle uwagi, co ma dla Bułgarów, Serbów, Węgrów, Czechów, a choćby i Żydów.

Możnaby tu odrzec, iż brak samodzielności politycznej, brak reprezentacyi urzędowej, brak ambasadorów, posłów i konsulów, obok przeciwdziałania... ambasadorów, posłów i konsulów, przyczynia się ku temu... Tak-tak, prawda, ale niezupełna, ale nie całkowita. Nie mają wszak jeszcze za granicą przedstawicieli swoich politycznych Węgrzy, nie mają ich Czesi!... Bułgarzy zaś i Serbowie, choć mają posłów, choć sami przez się, jako oś bałkańskich sporów, stanowią żywotny materyał, lecz za to nie posiadają nic zgoła do wyładowania, do okazania na rynkach kultury...

Niegdy, póki jeszcze sprawa polska ważyła się na szali, póki od strony Wisły szły echa zamętów, póki emigracya polska nie zfrancuziała, nie znikła, nie znudziła swą monotonią, i w Europie zajmowano się nami, — dziś, mimo całej dobrej woli naszej, aby każdą igłę europejskiej filopolskości na widły przerobić, — zbliżyliśmy się do punktu, na którym naród, rozdarty na części, już przeistacza się dla Europy w trzy różne szczepy odmiennej barwy.

My łudzimy się podotąd, że trzy odmienne ustroje polityczno-społeczne, którym podlegamy, nie wywierają dość silnego wpływu, aby zdolne były nas rozczłonkować duchowo,

kulturalnie! Łudzimy się wciąż, że granice, dzielące nas, są tylko linjami idealnemi, niewładnemi oznaczyć, gdzie zaczyna się poznańczyk, a gdzie kończy galicyanin! Ani nam podobno w głowie trwożyć się, iż dwaj Polacy, z dwóch różnych zaborów, coraz mniej mają trosk wspólnych, że coraz mniej się rozumieją, choć mówią jednym językiem, że w różne strony ciążą, że, choć gotowi szukać rozradowania w myśli o przyszłem zlaniu się w polityczną całość, jednak, podczas, zaczynają mieć dążenia wprost sprzeczne. Nam się zdaje, że nietylko kropla wody, padająca wciąż, ale bodaj i rylec kamienia nie wyżłobi. Nam starczy w życiu nie uczuwać ruchu ziemi, aby wierzyć, iż stoi w miejscu. Nam się zdaje, że ewolucya da się uchwycić, zanim niezatartego nie zakarbuje znamienia!

I z dnia na dzień, jako naród dwudziestomiljonowy, nikniemy i z dnia na dzień schodzimy ku miejscu, że, jak dziś, każde państwo nieomal ma już swoich żydów, tak, w przyszłości, każde państwo będzie miało swoich Polaków, swoją bolączkę wiecznie ropiejącą, wiecznie rozmazaną, wiecznie mającą pretensyę o jakiś przestarzały, dawno przegrany, proces.

Europa nami się nie zajmuje wcale. Nawet w obrębie państw, do których należymy politycznie, interesowanie się nami redukuje

do miarodajnych stolic i do najbliższych nam ziem granicznych.

Czyżby Europa, a z nią cały świat cywilizowany żywił ku nam szczególniejszą obojętność, — bynajmniej, — aż zbyt wielką odznaczał się ku nam sympatyą — dziś ostygł i stygnie tylko proporcyonalnie do naszego własnego wyziębienia.

Żaden podobno naród nie przedsiębrał tak gromadnych emigracyj politycznych, żaden naród nie osłabiał się tylokrotnie a dobrowolnie, żaden się tak systematycznie nie wycieńczał, jak polski.

Od Konfederacyi barskiej począwszy a na ostatnich zamieszkach w Kongresówce skończywszy, raz po raz, po za granice Polski, wyciągają rzesze ludzi silnych, energicznych, uświadomionych politycznie, wyruszają dziesiątki rodzin zamożnych, czujących nibyto po obywatelsku, myślących patryotycznie, bo, rzekomo dla tego patryotycznego wielce światopoglądu „nie mogących „wytrzymać“ w przygnębionym, apatycznym kraju.

Od Konfederacyi barskiej począwszy, mężowie skompromitowani politycznie, szukają schroniska na obcej ziemi, na obcej ziemi próbują pracować dalej dla sprawy, na obcej ziemi zakładają polskie kolonje, polskie wyspy, polskie przytuliska, polskie komitety polityczne, polskie placówki a wedety.

I juści, gdy kraj opuszcza jakiś wódz, dla którego nie masz zapomnienia u zaborczego rządu, jakiś duch twórczy, którego lot potrzebuje szerszej przestrzeni, jakiś mąż, który istotnie zdolen jest wielką grę polityczną prowadzić, wówczas emigracya takiej jednostki jest nie tylko uzasadnioną, lecz i pożyteczną, bo zachowującą ojczyźnie taką jednostkę, bo chroniącą ją od prześladowań a więc i bezczynności.

Lecz, im więcej usprawiedliwienia, uzasadnienia przyznamy ruchowi emigracyjnemu takich wybitnych jednostek, tem większe potępienie musi spływać dla gromad, próbujących nową ojczyznę budować za górami, tem większe wyrzuty muszą spotkać tych, którzy porzucili kraj ze strachu przed odpowiedzialnością; którzy porzucili go dla mrzonki politycznej!

Emigracya polska! — Ba, można by tu rzec, że przecież miała niegdy swój głos i wpływ, że przecież zdobyła sobie nielada kartę zarówno w Paryżu, jak i w Konstantynopolu, zarówno w Rzymie, jak w Cuneo... lub Waszyngtonie. Można by tu rzec, iż pracowała chwilami, iż, gdzie mogła, zabiegała o rozstawienie imienia polskiego!... Lecz za to, gdy przychodzi orzec, na czem ta emigracya skończyła lub na czem kończy zawsze, wówczas

dopiero widzi się nikłość i marność dorobku emigracyjnego, wobec poniesionej straty...

Toć nie będzie przesady powiedzieć, iż, od czasu Konfederacyi barskiej, wyemigrowało dla celów politycznych pół miljona Polaków, pół miljona kwiatu sił męzkich, pół miljona zwartych w gorącem umiłowaniu ziemi swej bojowników. No i powiedzmy, że z tego pół miljona zginęło na polach bitew za cudzą wolność sto tysięcy (choć to liczba za wielka), no i szukajmy tych 400.000 mężów, szukajmy ich rodzin, szukajmy ich śladów!... Czyli znajdziemy bodaj 1.000 takich ognisk, założonych przez Polaków, gdzieby przetrwała narodowość, gdzieby syn lub wnuk chciał pamiętać, kim był jego dziad a nieraz ojciec!?

Spójrzmy na Paryż, na to niegdy środowisko polskiej emigracyi, na ten niegdy potężny płomień polskiego życia.

Dlaczegóż dogasa, czemuż maleje z dnia na dzień? Czy może synowie i wnukowie emigrantów wrócili do kraju? — Nie. — Dogasa, maleje, bo synowie i wnukowie żołnierzów z pod Olszynki grochowskiej i Ostrołęki wynarodowili się, bo sfrancuzieli tak, że, choć ich polska szkoła Batignolska wychowała, Cimochowski został „Cimem“ a Krzyżanowski wolał nazwać się „Lacroix“... bo wsiąkli w społeczeństwo francuskie, bo taki jest koniec każdej emigracyi a zwłaszcza takiej, która zmie-

rza ku krajom kulturalnym, większych zażywającym swobód.

Ileż bo rodzin polskich w Paryżu zachowało swą narodowość?! Ilość tak nikła, tak mizerna, że znów żałować przychodzi, że żołnierze roku 1831 nie legli, że, gotując się do bohaterskiej śmierci za ojczyznę, poszli użyźniać cudzą rolę, zapładniać obce kobiety!

Bo i któż z rodzin emigranckich polskich pozostał w Paryżu!? A no kilka gromadek jakichś wyjątkowo mocnych i kilka gromadek takich, które dla tego jeszcze się nie zlały ze społeczeństwem francuskiem, że z „polskości“ swej żyją, że ta „polskość“ daje im autorytet taki, jakiego u Francuzów by nie mieli! — A po za tem, nic, pustka, głusza, przekręcane na francuskie brzmienie nazwiska i nawet wspomnienia o polskiem pochodzeniu!

Ach, tak, nasza prasa z całą gorliwością wyławia nam co dnia rozmaite nazwiska polskie i cieszy się, że mamy polskich „colonelów“, „commandantów“, „konsulów“ i tym podobnych luminarzów nawet we Francyi — a tymczasem ci panowie luminarze bywają serdecznie zmartwieni, że noszą tak bardzo cudzoziemskie nazwiska i czynią, co mogą, byle je zniwelować na modłę romańską. Ach tak, my potrafimy, bez ceremonii, zagarnąć sobie do rzeźby polskiej takiego laureta, jak Landowski i ani myślimy liczyć się z tem, że

monsieur „Landouki“ ma się tylko za Francuza.

Czyżby więc należało kamieniem rzucić na to pokolenie „frankopolaków“, czy należałoby ich w czambuł wykląć i potępić?! Bynajmniej! Bo to, co się dzieje z potomkami emigrantów polskich we Francyi, dzieje się zawsze i wszędzie z każdą emigracyą. My, Polacy zaś, nie tylko nie jesteśmy oporniejszymi dla wynarodowienia, lecz jesteśmy słabszymi od każdego innego, mającego wolność polityczną narodu. Jesteśmy słabszymi dla tego, że na obczyźnie nie posiadamy takiej opieki państwowej, jaką ma, naprzykład, Niemiec lub Anglik i dlatego, że zachowanie naszej jaźni narodowej nie tylko nie leży w interesie żadnego państwa, lecz wprost w interesie państw leży zniweczenie jej.

My jesteśmy tylko tam silni, tylko tam nie zdobyci, gdzie dosięga nas prześladowanie, gdzie wynarodowienie zmierza ku nam z wyciągniętą pięścią. Po za granicami zaś prześladowań, jesteśmy tak spragnionymi oddechu swobód, tak chciwymi praw człowieka, że, kto nam rękę poda, kto nie odtrąci, kto nami bodaj nie poniewiera, ku temu garniemy się, z tym zawieramy dozgonne przymierze i poddajemy, bez oporu, jaźń narodową naszą na zamalgamowanie.

Emigracya polska polityczna! Wyssała na-

ród, wywiozła z ojczyzny miljony dobytku, pozbawiała go sporadycznie najżywotniejszych sił, apoteozowała samolubną myśl ratowania samego siebie bodaj kosztem ojczyzny, łudziła urojeniem o nowych legjonach, które wrócą do ojczyzny a w istocie propagowała zasadę wydawania na łaskę i niełaskę zaborcy starców, kobiet i dzieci.

Emigracya polska polityczna! Każdy jej członek był patryotą, był Polakiem, ba i takim patryotą i takim Polakiem... że aż na palcach liczyć tych, którzy nauczyli dzieci swe po polsku, których wnukowie nie zaparli się polskiego pochodzenia!!...

Emigracya polska polityczna! Niezawodnie wydała i garstkę dzielnych obywateli, wywierała wpływ, dała ziemi ojczystej Ligę Narodową, dała uczciwą a zacną organizacyę Skarbu Narodowego, dała wygnańcom dziesiątek pożytecznych a mocnych instytucyj, ale, obocześnie, ileż wytworzyła miernot, których patryotyzm jest przemysłem, których polskość jest tylko zarobkowaniem, których działalność tylko szkodę sprawie wyrządza!

Po ojcu emigrancie wziął imię, wziął niby to patryotyzm a że, choć na ziemi włoskiej czy francuskiej urodzony, stanowiska sobie nie zdobył i paryasem został, przeto za Polaka się ma, choć ani skrawka Polski w życiu nie oglądał, choć ledwie o języku ojczystym

ma pojęcie. I taki przewodzić chce często i taki bruździ organizacyom zagranicznym polskim i taki, nie znając kraju, rozprawia o jego potrzebach i taki za luminarza się ma i pretenduje do zasługi, choć mu już własne sfrancuziały dzieci!

Emigracya polska polityczna! — Tyle niegdy ognisk polskich założono i cóż? — popieliska jeno zostały, żuzle w rodzaju tej biednej polskiej wioski pod Konstantynopolem, w rodzaju tego herbu polskiego, widniejącego ponad bramą domu szkolnego na bulwarze Montparnaskim w Paryżu, gdzie niegdy polski język się rozlegał.

Ba a czyż inna dola czeka emigracyę amerykańską, emigracyę ekonomiczną, emigracyę dla chleba? Czyż lud, wyciągający za ocean, sam przez się nie jest słabszym patryotycznie od emigrantów politycznych?

Komu wola roić, komu wola łudzić się a kołysać przeświadczeniem, że hen, za Atlantykiem, czwartą budujemy Polskę, że tam wytworzymy plemię polskich obywateli, że tam ostaniemy się zalewowi anglosasów, że tam nie stopimy się — ten niech czyni, lecz kto zważy rzecz bez uprzedzeń, bez uniesień, ten, choć radować się będzie zabiegliwości zacnej polsko-amerykańskich stowarzyszeń ale i smucić jutrem polskich wychodźców. Ci, niezawodnie, mogą przetrwać w jednem pokoleniu,

mogą jeszcze czuć po polsku w drugiem, przy żarliwej akcyi, i w trzeciem mogą jeszcze do polskości się przypisywać, — lecz w czwartem zginą bezpowrotnie, mimo całą polsko-amerykańskich instytucyj żywotność.

Jedynym środkiem ocalenia dwumiljonowego wychodźtwa jest, aby emigranci wracali, aby, wzmógłszy się na siłach, nauczywszy, zbogaciwszy, śpieszyli do ojczyzny wzmacniać szeregi pożytecznych obywateli!

Ale ten jedyny środek jest podobno niezi̇szczalnym, — tacy Polacy, jak Jerzmanowski, będą zawsze białymi krukami!

Emigracya! Tak, emigracya polityczna polska miewała czasy świetne, świetne pod względem sił i środków. Paryż aż się trząsł, Bawarya roztwierała przed Polakami wrota naścieżaj, Anglja z emigracją wymieniała noty, Turcya raz po raz ku niej zwracała oczy. Huku i hałasu było coniemiara.

I trzeba przyznać, że emigracya krzątała się w lepszych a dzielniejszych swych jednostkach, że przysporzyła i chluby i pożytku i szczerej myśli... ale... równocześnie, dała się gościnnym ziemiom aż nadto we znaki przez tych, co w wygnańczej torbie wynieśli z ojczyzny i warcholstwo, i złe instynkty i liche nałogi. Tych ostatnich było mało, lecz było aż za wiele, aby zgasić to, co emigracya wniosła w obce kraje dobrego.

Dla nas juści zostaje zawsze dorobek emigracyi polskiej — dorobek obfity niezawodnie, lecz ubogi tam, gdzie rzecz idzie o zaznajomienie Europy z Polakami, o wyłożenie jej naszej historyi, naszych zasobów kulturalnych i ekonomicznych.

Emigracya polska wydała mnóstwo pamiętników, broszur (w obcych językach), mnóstwo ognistych przepisów na dobre powstania i przewodników na wściekłe rewolucye, duży zapas traktatów politycznych, — ale cała polska emigracya nie zdobyła się na to, aby dać cudzoziemcom bodaj jedno dzieło, spokojnie i przedmiotowo wykładające, czem ta Polska jest. Stąd rezultat prosty, że bądź Francuz, bądź Anglik, pałający najpoczciwszą chęcią pisania o Polakach, znajduje tylko epizody wojskowe, wygrażanie zaborcom, utwory poetyckie i wir racyj politycznych, westchnień i skarg. Stąd Francuz lub Anglik, rad nie rad, musi sięgać do tych języków, w których nie masz dla nas miejsca na sąd bezstronny. Stąd Francuz lub Anglik wcale nie znajduje ostróg dla swej chęci, stąd błądzi, wyrabia sobie fałszywy sąd, a wreszcie gubi się w tem, co polskie, a co nie polskie...

Harda myśl gotowa podpowiedzieć zdanie, że obowiązkiem czy Francuza czy Anglika jest docierać do dwudziestomiljonowego ludu wprost...

Ba! Lecz w tem sęk, że i Anglik i Francuz, ani rusz nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy siódmym liczebnie narodem w Europie, a właściwie szóstym, bo Hiszpania w dwudziestomiljonowym ludzie ma kilkanaście wybitnych narzeczy, kilka separatyzmów, ma Katalończyków. No i w tem jeszcze sęk, że polski język jest trudnym i nie międzynarodowym, jest i tak bardzo trudnym, że nasi przodkowie woleli mówić i pisać po łacinie...

Nie krzewiliśmy nigdy naszego języka, nie żądaliśmy od lenników, aby nam hołdy i adresy po polsku sztukowali, — nic przeto dziwnego, że język nasz ma tak rzadkich uczniów za granicą.

Z drugiej strony, jeżeli i potrafilibyśmy znaleść argument na dowiedzenie, iż nieświadomość polskich spraw jest dla tych a tych ludów smutnem testimonium pauper-tatis, to wzajem, cóż my naprawdę wiemy o Bożym świecie, cóż my zkolei wiemy o narodzie, którego językiem mówi 135 miljonów ludzi, o współczesnej Anglii lub Hiszpanii, naprzykład!? Wiemy akurat tyle, co nam powiedzą czasopisma niemieckie, a nadewszystko berlińskie, więcej to, co nam sentyment podpowie.

Boć my nie jesteśmy ani środkiem Europy, ani zachodem, ani jej wschodem, lecz światem zabitym deskami naszego krótkowidztwa.

Cała nasza pseudo-europejskość polega na tem, że czerpiemy nasz światopogląd z niemieckiego alembika, że rzadziej zaglądamy do francuskiego, a coraz częściej do rosyjskiego.

Wszak ci przykładem najdzielniejszym może być machina polskiego dziennikarstwa. Wszak bez blattów, zeitungów i press dziennikarstwo to nie miałoby o czem pisać, nie miałoby bodaj ćwierci swych żywotnych spraw, nie miałoby i nie dlatego, iż te blatty, zeitungi i pressy bywają barometrem urzędowym dla rzeczy polskich, lecz dlatego, iż nie wiedziałoby poprostu, co się w Europie i na świecie dzieje!

Przeciętne czasopismo polskie, z mikroskopem w ręku szukać wyjątków, żywi się tylko dystylatem niemieckim, z małą domieszką francuskiego. Dziennik angielski, włoski, hiszpański, turecki, a już szwedzki, norwegski, to już w redakcyi polskiego czasopisma biały kruk, z którym przeciętny redaktor nie umie sobie dać rady!

Nie dość tego, nawet blizkie nam ziemie, wprost ku nam ciążące, mające z nami ilość nieprzebraną stycznych punktów, — zawsze oglądamy przez dalekowidze Wiednia i Berlina! Przykładem Węgry! Przykładem ościenna Rumunia! Przykładem Czechy! Któreż czasopismo polskie czerpie w tych ziemiach bezpośrednie wiadomości i drogowskazy — żadne.

Bo, że o Czechach słyszymy więcej, to nie polska zasługa, lecz czeska, boć wszak to Czesi piszą po polsku sami o sobie, snać rozumiejąc w tem pożytek. I Czesi wiedzą sto razy więcej o nas, niż my o Czechach. I stąd powstaje taki dorobek, że gdy Galicya wylewa ku Czechom potoki żółci o Cieszyn, Królestwo nic się na tem nie zna, i że Czech dla Królewiaków hołubi braterskie sympatye, dla Galicyan zaś miewa akty politycznego zbliżania się z zezem ku Rusinom.

Czasopisma polskie mają swych korespondentów... w Berlinie no i w Wiedniu... bo już licho które w Petersburgu... A zresztą, zdobywają się na zamieszczanie bądź literackich, bądź dyletanckich i bardzo amatorskich korespondencyj, zależnych nie od tego, co byłoby pożytkiem i potrzebą, lecz od tego, gdzie jakiego Polaka, mogącego czy lubiącego coś napisać, los zapędzi.

Niezawodnie, dziennikarstwo polskie nie ma subwencyj rządowych, nie ma zagranicą współdziałania i pomocy rządów, nie ma niekiedy bezpośredniego interesu ani w Algeciras, ani w Portsmuth, ani w Kopenhadze, ani w Hadze, lecz dziennikarstwo ma daleko większe zadanie i dalej sięgające cele, niż którekolwiek z dziennikarstw europejskich, ma bowiem obowiązek zewnętrznej reprezentacyi

narodu, ma obowiązek zaznaczania co kroku obecności dwudziestomiljonowego ludu.

Dziennikarstwo polskie tłumaczy to swoje zasklepienie brakiem środków — ale i dziennikarstwo nie nawołuje ku temu, aby uczynić z tej prawdy rzecz wagi doniosłej, aby bodaj wspólnemi siłami obsadzić placówkami ogniska ruchów społecznych i politycznych cywilizowanego świata! Zadanie, ciężkie dla jednego czasopisma, byłoby łatwem dla pięciu czy dwudziestu.

Lecz w naszym światku zabitym deskami jest i smutniejszy fakt do zanotowania, bo obojętność wzajemna zaborów nawet dla rdzennie polskich środowisk. Kordony, cenzury itd. wpłynęły i wpływają na to, ale... ileż to lat Wilno było miastem, o którem w Warszawie pisało się rzadko, a w Poznańskiem lub Galicyi wcale! Któreż to polskie czasopismo, nawet z galicyjskich, a więc nieścieśnionych, obejmowało całokształt polskich stosunków, ile razy na rok wymieniało bodaj nazwy Żytomierz, Brześć, Radom, Kowno, Mińsk, Kijów! Ileż razy, bez jakiejś katastrofy, awantury, nieszczęścia czy skandalu zaglądało na Białoruś, na Wołyń, a bodaj do Ozorkowa, Zgierza czy Dąbrowy górniczej?! Czy obecnie stosunki tak wiele zmieniły się na lepsze?! Czyż tłumaczenie, że czasopismo każde ma obowiązek zadawalniania upodobań swego koła czytel-

ników, wyklucza zadanie spajania i zlewania tego, co losy rozdzieliły?...

Wytknięcie tych błędów dziennikarstwu polskiemu służy ku temu, aby ocenić tem lepiej stosunek Europy do nas.

My Europy potrzebujemy, a nie dążymy do bezpośredniego z nią zetknięcia, cóż tedy dziwnego, że Europa, która znów faktycznie może się obyć bez nas znakomicie, nie próbuje wcale nam się naprzykrzać, ani nami się zajmować. Nam przecież, nawet do informowania się o stosunkach rosyjskich, wystarczały do niedawna w Galicyi i Poznańskiem niemieckie informacye (Królestwo miało usta zamknięte, a Galicya i Poznańskie nie posiadało ani korespondentów w Rosyi, ani ludzi, mogących referować prasę rosyjską). Cóż tedy dziwnego, że dla Europy źródłem złego i dobrego dla wszystkiego, co polskie, źródłem godnem zaufania jest zawsze czasopismo niemieckie, a w ostatnich czasach, i rosyjskie.

Jak my na tem pośrednictwie wychodzimy, toć co dnia możemy sprawdzić i sprawdzamy, bo oburzamy się na ignorancyę, na nieuctwo, na zaślepienie cudzoziemców, z całym światem gotowiśmy iść na noże o to... że nasza własna ignorancya, własne nieuctwo i zaślepienie wydaje plon coraz obfitszy.

My i Europa! Ach, wszak raz po raz powtarzamy, iż przez płody naszej sztuki, naszej

literatury, aż nadto dzielnie znaczymy naszą obecność! iż naród, który wydał Koperników, Chopinów, Mickiewiczów, Matejków, itd. itd. zadość stwierdził i stwierdza swą jaźń!...

Ten frazes pięknie brzmi, ale zbliska...

Coś przed półtora rokiem ukazała się broszura, napisana w języku polskim przez jakiegoś, bardzo nienawidzącego nas, Prusaka, który podjął zadanie pouczenia prostaczków polskich o wielkości niemieckiej i mizeractwie polskiem.

Broszura ta, mimo swej gadzinowej przędzy, doprawdy zawierała kilka dla mas polskich znamiennych uwag, może humorystycznych aż, lecz ciekawych, jak o tem, że nigdy Polak nie był papieżem a Niemiec był...

Ta broszura bardzo niepięknie obeszła się z naszymi słońcami, a już bezwzględnie przywłaszczyła sobie Kopernika. I Kopernik rzeczywiście jest podotąd spornym... jest spornym dlatego, że alembik niemiecki głosi o jego niemieckości, protest polski zaś sięga na krótką metę... Dla dorobku zaś cywilizacyi powszechnej narodowość Kopernika jest rzeczą podrzędną.

Drugą wielkością naszą, niestety również sporną, jest Chopin! — Chopin!?... ależ tak, nasz Szopen. — Spór o Chopina jest burzą, która wisi w powietrzu, a która zerwie się natychmiast, gdy spróbujemy Francuzom dowodzić polskości Chopina!! Dotąd byliśmy de-

likatni, dotąd wcale nie mamy za złe francuskim encyklopedyom, że o całej polskości Chopina piszą „née près de Varsowie"... Dotąd byliśmy tak bardzo delikatni, że gdyśmy przed laty czterema stawiali Chopinowi pomnik w Paryżu (w ogrodzie Luksemburgskim), to, krom roku urodzenia i śmierci, nie próbowaliśmy dodać słów „kompozytor-Polak"... bo na ten dodatek Francya by nie zezwoliła... Zresztą Francya zaczyna coraz więcej być zazdrosną o Chopina... Oto w roku ubiegłym, nie zważając na pomnik w ogrodzie Luksemburgskim, wystawiła Chopinowi w Paryżu drugi pomnik... w parku Monceau i tym razem za własne pieniądze. Jules Claretie raz poraz wygłasza swe konferencye o Chopinie, ani myśląc o jego polskości... a nowy „nieśmiertelny" Barrès w swych patryotycznych westchnieniach o Lotaryngii wspomina, że ona wydała ojca Chopina!

Francya jest dotąd uprzejmą, lecz spróbujmy, no zażądać zwłok Chopina dla polskiego Panteonu, spróbujmy dowieść, iż mieć ojca Francuza, a potem żyć i umrzeć we Francyi, to nie dość, aby być Francuzem. Spróbujmy odwołać się na cały głos do charakteru polskiego chopinowskiej twórczości, a zobaczymy, jakie działa wytoczą Francuzi! Zwycięstwo nasze będzie wymagało wiele zachodu i nigdy nie będzie zupełnem... Nie będzie zu-

pełnem i dlatego, iż my podotąd jesteśmy za bardzo arbitralni w stosunku do imion ludzi, którzy dobywają się ponad poziom... Więc Nietzsche jest dla nas Polakiem, choć pisał po niemiecku, a czuł po międzynarodowemu, więc Polakiem jest jakiś basza turecki, gubernator, zdaje się, w Smyrnie, choć się urodził i wychował na ziemi tureckiej, Polakiem jest książe Radolin, choć być nim nie chce, Polakami są dla nas ciągle ci wszyscy, którzy wynarodowili się od dawna i nic, krom nazwiska, wspólnego z polskością nie mają i mieć nie chcą.

Jest to i nieznośnem i dokuczliwem, lecz bezwątpienia ani Kopernik, ani Chopin na moc Piotrowinową się nie zdobędą i świadectwa o swej przynależności polskiej nie złożą a więc wysuwanie ich na czoło naszych mężów nie jest bynajmniej dokumentem bezspornej zasługi czystej krwi sarmackiej.

Po za temi dwoma imionami, mamy polską sztukę, — mamy ducha potężnego, Matejkę. A dalej mamy wiele sław, które nie zawsze mogą strzymać w tempie sławom innych ludów, albo mamy sławy, które, rozwinąwszy skrzydła do lotu, unikają akcentowania swej narodowości... i wolą wierzyć, iż sztuka nie ma związku z polityką, że nie jest sztuką czystą, gdy krępuje się względami narodowościowymi.

I artystom naszym dziwić się nie podobna. Kraj biedny, kraj gruboskóry nawet w plutokratycznej sferze, kraj analfabetów nie przedstawia pola dla szerszych zapałów. Nawet szowinistyczne gloriae artystów polskich bywają i ciężkim i niepokupnym towarem. Stąd emigracya i stąd szukanie mecenasów po świecie. A ponieważ nie każdemu udaje się trafić tak, aby pożytek własny pogodzić z sympatyami polskiemi, ponieważ nie masz drugiego cesarza Franciszka Józefa, a więc i miejsca dla drugiego Ajdukiewicza, przeto trzeba wędrować gdzieindziej, zatykać uszy, opatrywać swe nazwiska w „von“ i jeździć ad limina apostolorum do Petersburga i, broń Boże, nie zwracać uwagi na dopisek rosyjski, niemiecki, francuski...

Stąd, choć ziemie polskie wyrzucają na rynek wszechświatowy sporą gromadę artystów dużej miary, to jednak słaby z tego profit dla znaczenia polskiej jaźni, gdyż artyści ci często jedynie wówczas są bardzo skrupulatnymi Polakami, gdy ich błądząca łódź zawadzi o wykrawek polskiej ziemi.

Bo zresztą są to międzynarodowcy najpierw, a potem, w miarę potrzeby, tak dobrze Rosyanie, jak i Francuzi. Wyjątki? — Niezawodnie wyjątki i tu znaleść można.

Kto ciekaw zaś wyjątków, niech bodaj przejrzy sobie pierwszy z brzega katalog pa-

ryskiego salonu. W katalogu tym, zawierającym dokładną listę artystów nagrodzonych w Paryżu, znajdzie mnóstwo ciekawych szczegółów, szczegółów tem godniejszych zastanowienia, że podanych każdorazowo osobiście przez danego artystę... innych bowiem katalog nie umieszcza. A jeżeli kogo uderzy wprost liczba niepojęta zaprzańców, zaprzańców, pośród tych nawet, co wyłącznie polskie uprawiają tematy — niechże ten zdobędzie się na pobłażliwy uśmiech... że to dla chleba wygodniej tym panom do narodowości niemieckiej, austryackiej, rosyjskiej lub francuskiej się przyznawać.

Emigracya artystów polskich ma nadto i drugą, może nieodzowną, może korzystną bardzo dla talentów, konsekwencyę, lecz konsekwencyę amalgamującą, boć wyciskającą na dziełach piętno kosmopolityzmu, bo podporządkowującą je pod sztandary obce, bo zacierającą indywidualność.

Dla sztuki stąd niezawodnie zysk wielki, wszak piękno winno sobie samemu starczyć za jaźń, za hasło i za wyznanie, wszak tam, gdzie piękno stąpi, tam nikną sekciarskie różnice. Ale im dźwięczniej, im głębiej sięgniemy do wyrażenia podniosłości i niezależności sztuki, tem silniejszy znajdziemy argument dla faktu, iż przez sztukę nie znaczymy w Europie, iż, mimo sporego zastępu poważnych

talentów, sztuka europejska w żadnym prądzie, kierunku, czy zwrocie nie poniosłaby klęski, gdyby zabrakło jej sarmatów.

Czy lepiej dzieje się z naszymi wirtuozami, muzykami i śpiewakami?! Czy jeden Paderewski ma przez swe obywatelskie zalety uratować tych, którzy, w wędrówce po świecie szerokim, skłonni są do kompromisów?! Czy doprawdy mamy prawo potępiać Sembrich-Kochańską za to, że śpiewała po niemiecku, wymawiać Reszkom petersburgskie sukcesy, lub też, czy mamy prawo mniemać, iż nasi śpiewacy i wirtuozi, nie mając za plecami siły i współdziałania wolnego politycznie ludu, mogą nie lawirować, potrafią wszczynać spory o narzucaną im przynależność narodową, prostować błędy czy w popisach swych manifestować swój patryotyzm!?

A więc może nasza literatura pracuje w dwójnasób? Może ona właśnie jest tą wielką wyrazicielką naszej mocy? — Jest nią, ale ani wielką, ani taką, którąby na rynku wszechświatowym wywarła taki wpływ, który jej nasza ambicya przyznaje.

Literatura nasza, w swym najpełniejszym rozkwicie, jest dziecięciem niewoli, jest pogrobowcem. Literatura nasza, przepojona bólem, tęsknotą i wiarą w przyszłość, zahartowana w ogniu porywów, kojąca rany, krzepiąca, wystawiająca niegodziwość przemocy,

obrazująca minione lata wolności, wskrzeszająca Piastów i Jagiellonów, jest potężną, jest polską, lecz tak bardzo polską, że zasklepioną w cierpieniach własnych, że dla obcych niezrozumiałą w najtęższych łomotach, że dla obcych stronniczą, monotonną, obojętną.

Nasza literatura nie mogła i nie może roić jeszcze o wyruszeniu tam, kędy już nie polskie, nie rodzone, lecz ogólno-ludzkie brzmią hejnały, boć dach własnego domu na głowę się wali. Nasza literatura miała i ma potemu siły, aby się wzbić ku ogólno-ludzkim ideałom i zdradzała i objawiała je sporadycznie, ale że język jej musi być najpierw i tylko zrozumiałym dla ojczystej ziemi, przeto o niej tylko pamięta, w jej łańcuchach trwa.

A tam, na forum kultury ludzkiej, obowiązują prawa odwieczne i nieubłagane.

Tam, nie pytają nikogo, co zacz ani zkąd przychodzi, lecz pytają, co wnosi swego, własnego i czy wnosi do skarbnicy powszechnej coś takiego, co by karmem i dobrem było równie dla Polaków, jak i Rosyan, Niemców, Włochów i wszystkich poszczególnych cywilizowanych, czy cywilizujących się ludów.

Tam dość pisać tak, jak Byron i lepiej od Byrona, tak, jak Dante i lepiej od Dantego, tak, jak Goethe, i lepiej od Goethego, tam dość jest mieć mistrza... aby już zejść do wtórego rzędu, aby stanąć poza murami świątyni Apollina.

Tam, na forum kultury ludzkiej, nie masz miejsca dla pieśni gminnej, dla dzieła patryotycznego, bo tam ojczyźnie na imię „ludzkość".

Literatura polska, do pewnego stopnia, idzie przed narodem, ale nie może odeń odstawać, naród zaś polski, targając kratami własnego więzienia, walcząc o najprostsze, zasadnicze prawa, nie zdolen jest zdążać na równi z ludźmi wolnymi, bo i rzeka nie zdolną jest, bez zerwania grobli, zalać równiny.

I stąd literatura polska tam tylko jest wyczuwaną najlepiej i tam docenianą, gdzie w tworzywie swem jest najmniej polską, najmniej sarmacką. I stąd dla obcych „Pan Tadeusz" jest nadewszystko „skrzącą się satyrą" i stąd dla obcych najdroższe, najświętsze imiona polskich wieszczów i pisarzów maleją, giną.

Wiele by można rzec o tem błędnem kole, na przebywanie w którem skazaną jest nasza literatura, wiele można by rzec i o tem, że to właśnie błędne koło jest naszą mocą i tężyzną, — aleć zawsze rezultat ten, że tam, gdzie się zaczyna forum kultury wszechświatowej, gdzie ustają nasze zapasy o niepodległość, tam polska literatura chodzi na szarym końcu Szekspirów, Cerwantesów i Szyllerów, a ledwie zdąża śladami Ibsenów, Hauptmannów, Nietzschów, Verlaine'ów, D'Annunziów, Hamsun Knutów, Dostojewskich i Maupassantów.

Dzielniejszym więc i wymowniejszym rze-

cznikiem o naszej jaźni byłaby nauka polska, ale tej znów nie mamy ani na wywóz, ani zadość dla samych siebie. I w tem mało jest naszej własnej winy i w tem klątwa niewoli i ubezwładnienia — aleć to nie umniejsza faktu, iż na polu wiedzy, nauk ścisłych nie wiele, lub nic zgoła nie mamy do powiedzenia światu.

Gdybyż atoli w tych smutnych warunkach, miast pychy domowej, wewnętrznej, stać nas było na ambicyę reprezentacyjną, gdybyśmy umieli bodaj miną sztukować, a spożytkowywać ten nasz dorobek, który, jeżeli nas nie wieńczy laurami, toć, zważywszy na trudne warunki, dowieść może naszej użyteczności, naszej chęci! — Gdzie tam! Z roku na rok, w różnych zakątkach i ogniskach świata, odbywają się zjazdy, kongresy, wiece i narady o charakterze międzynarodowym, ogólnoludzkim. Na wiecach tych i kongresach dobywają się przedstawiciele nietylko możnych i wolnych ludów, ale i ludów ubogich i tak, jak my, skutych — o nas jeno nie słychać. Dlaczego, dlatego, iż my udajemy się na nie bez dość gruntownego przygotowania, że my nie organizujemy odpowiednio uzbrojonych misyj, że my „boimy się". A jeżeli zdarzy nam się raz lub dwa wystąpić godnie, jak, naprzykład, na kongresie historycznym, w Rzymie, to za to przez dziesiątki kongresów zachowujemy się tak, jakbyśmy w żadnym dziale zbio-

rowej pracy ludzkiej nie mieli nic a nic do powiedzenia.

A przeszkodą ku temu jest podobno nietylko brak czujności, ale i nasze sym- i antypatye... Antypatye osobliwe i sympatye, wcale nie harmonizujące z gromkiemi wezwaniami, które łączymy z naszemi skargami na ucisk, z naszymi wywodami o przemocy.

Więc Turcya, państwo zacofania, nadużycia władzy i ciemnoty posiada w nas rzetelnych przyjaciół, boć Turcya jedna dotąd nie podpisała rozbioru Polski, boć Turcya dotąd ma porachunki z Rosyą. Więc nic nam do rzezi armeńskich, nic do prześladowania bałkańskich słowian, nic do złych i niegodziwych rządów, nic do młodoturków — sułtan ma dla nas urok, sułtan jest dla nas tym oryentalnym, bajecznym kalifem kalifów, który ocknie się, rozwinie chorągiew proroka, runie na Europę i, napoiwszy konia w Wiśle, dynastyę uznaniem polskich Osmanów założy!

Więc Anglja, ciemiężycielka Irlandyi, przez swe sprzeczne interesy z Niemcami i z Rosyą, wyciągającą zaborcze pazury ku Tybetowi, ma znów nimb u nas, nimb, motywowany wielkiem uznaniem dla angielskiej kultury.

Prawda, kultura Anglii jest godną hołdu, lecz i ten hołd nie usprawiedliwi dziwnego stanowiska naszego wobec Burów...

Wszak Burowie nie mieli w nas przyjaciół,

wszak guerilla ich, czy wojna cała, zajmowała nas o tyle, o ile pouczała o możliwości stawienia czoła wielkiemu mocarstwu, wszak, w końcu, irytowała myślą, że Anglja traci powagę w Europie! Wszak, gdy przyszła chwila przystąpienia bądź do filoburskich zapałów, bądź do jawnego oświadczenia się za Anglją, — myśmy zdobyli się na melancholijny wykręt i sympatye angielskie upozorowaliśmy hakatą!... Myśmy nie zdobyli się bodaj na przecięcie sprawy odpowiedzią, że w Transwaalu zarówno Burowie, jak i Anglicy, są na ziemi Zulusów zaborcami i łupieżcami, a potem, może i cywilizatorami.

Więc węgierszczenie słowian i to słowian najbliższych nam językowo nie zajmuje nas, więc, w chwili rozdziału Szwecyi i Norwegii, sympatye nasze były po stronie szwedzkiej, więc nietylko zwycięstwo Japonii uradowało nas, ale i pogrzebanie przez tą ostatnią Korei zdało nam się smutnym, ale konsekwentnym i słusznym aktem, więc, sprawa marokańska nie jest dla nas kłótnią wilczych apetytów o nowego barana, dotąd wolnego i całego, lecz kwestyą, dowodzącą, że Francya, połknąwszy Algier, ma większe „prawo“ do Marokka niż Niemcy, które krztuszą się kawałkiem ziemi polskiej!

Tak — tak! Ideały, piękne słowa o poszanowaniu praw ludów, o moralności w poli-

tyce lubimy mieć dla siebie, dla siebie chcemy ocknienia się szlachetności i wspaniałomyślności silniejszych — dla innych brak nam niekiedy filozoficznej uwagi o życiu, które żywi się śmiercią.

WATYKAN I POLSKOŚĆ.

Szaniec katolicyzmu. — Zorane i zasiane pole. — Polityka kuryi rzymskiej. — Leon XIII. — Nasze wyrzekania i gorycze. — Religja i narodowość. — Następstwa tolerancyi religijnej i jedyna nadzieja, że prawosławny Synod cios opóźni. — Nowy okólnik papieski. — Czyśmy gotowi? — Położenie zaboru rosyjskiego. — O tem, cośmy wiedzieli dawno, a o czem teraz rozprawiać zaczynamy. — Polskość i katolicyzm. — Punkt wyjścia. — Przypomnienie skrupułów Maryi Teresy.

Aż nadto długo łudziliśmy się przeświadczeniem, że religja katolicka będzie niezdobytym szańcem, poza którym polskość zawsze pozostanie niedosięgłą dla wynaradawiających zakusów.

Dziś stanęliśmy na przełomie, doczekaliśmy się chwili, gdy coprędzej trzeba zwijać front i pewniejszego schroniska szukać, nie dla naszych wierzeń, lecz dla naszej polskości.

I temu zwrotowi wypadków dziwić się nie powinniśmy a raczej powinniśmy się dziwić, iż przyszedł tak późno, iż tak długo nieopatrzność zaborców pozwoliła nam, pod płaszczem religii, przemycać patryotyzm.

I tego zwrotu naszego nie należy rozumieć, abyśmy powinni czy mieli stać się gorszymi, mniej żarliwymi czy mniej nieszczerymi katolikami, — nie, jeno trzeba go poczytać za prąd orzeźwiający, za prąd, który, przy naszej dobrej woli, zdolen jest i uszlachetnić naszą wiarę i wzmocnić naszą polskość i oszczędzić nam zawodów i żalów.

Tak, żalów, wielkich żalów, które, mimo

pozorów ciszy, wrą w nas, burzą to, czego burzyć nie powinny.

Watykan politykował, politykuje i politykować będzie długo jeszcze. Watykan dla swej polityki musi szukać ościeni, dla swych celów i zadań musi szukać nowych obszarów. My dla Watykanu jesteśmy oddawna i zoranem i zasianem i plonującem polem. Radość stąd dla Watykanu, ale radość jego większa wówczas, gdy obszar swych zbożnych niw może powiększyć, gdy, chwastem inowierstwa porosłą, rolę może swemu władaniu powrócić.

Na tem opierała się, opiera i opierać będzie polityka Watykanu. Dopokąd my stanowiliśmy siłę polityczną, jednostkę państwową, potąd Watykan mógł akkomodować swe zadania do naszych lub wpływać i podporządkowywać nasze swoim. Dziś Watykan, mimo chęci sprzyjania nam i współdziałania, musi i pod wodę polską płynąć i łączyć się z naszymi ciemiężycielami.

Co tu długo rozwodzić się. Leon XIII wszelkich sił dokładał, aby monarchia rosyjska zapomniała o encyklikach Piusa IX, encyklikach tak stanowczo i gorąco mówiących do Polaków. Leon XIII, za pierwszym znakiem do pojednania ze strony Niemiec, rozwarł ramiona, Leon XIII nie wahał się szukać w protestanckim Berlinie sprzymierzeńca przeciw krnąbrnej ale katolickiej Francyi, Leon XIII

nie szczędził napomnień Polakom o poszanowaniu władzy, Leon XIII, o tyle aprobował wojowniczość katolicyzmu polskiego, o ile rząd rosyjski, o ile synod prawosławny nie przyznawał Watykanowi prawa drzwi otwartych dla propagandy.

Ta działalność Leona XIII, z punktu widzenia katolickiego, była i słuszną i sprawiedliwą. I ta działalność, może w łagodniejszych barwach, boć zwrot odpowiedni już dokonanym został, zdaje się mieć potwierdzenie i u zasiadającego dziś na stolicy Apostolskiej, Piusa X.

Powiedzmy i przyznajmy się szczerze, iż prąd obecnej polityki Watykanu jest nam nie miłym, bolesnym ale i, powiedzmy sobie zarazem szczerze, że, jako katolicy i łacinnicy, nie mamy ani prawa, ani punktu oparcia dla domagania się wspierania przez kościół naszych narodowych postulatów. Boć, jeżeli istotnie jesteśmy tak wiernymi wyznawcami wiary katolickiej, to trwać i garnąć się do niej powinniśmy, choćby nam kazano spowiadać się po niemiecku, uczyć religii po rosyjsku a śpiewać na procesyach po chińsku!... Tej zasadzie wszak dał wyraz i Rzym i ksiądz kardynał Kopp i tej zasady stara się trzymać wyższe duchowieństwo polskie i aż nadto wyraźnie tę zasadę akcentuje.

A my?! My, miast rozewrzeć oczy, miast

zgłębić doniosłość chwili — wyrzekamy, pomawiamy tych a tych biskupów o zdradę, pomstujemy na zakazanie klerowi odprawiania patryotycznych nabożeństw i hymnów, należenia do „Straży“ poznańskiej i t. d. i t. d. I te nasze wyrzekania posuwamy aż tak daleko, że niewolimy dostojników kościelnych do pozorowania swych postępków, do obwijania w bawełnę tego, co właśnie najoczywiściej powinno być zaznaczanem! — My, ani rusz, nie chcemy pojąć, że, niezależnie od serc polskich, bijących pod sutannami, — dla duchownego, dla przewodnika religijnego, — religja idzie przed narodowością, przed patryotyzmem a dobro kościoła przed dobrem poszczególnej połaci ziemi. Kościół rad pamiętać o każdym ze swych wyznawców ale kościół ma swoje zadania, dalej idące niż patryotyzm jednego ludu. I dlatego czas wielki przekonać się i przejrzeć i nie żądać tego od Watykanu, czego on, jako głowa kościoła, dać nam nie może i nie da. Z tego nie wypływa, abyśmy mieli mniej dzielnie strzedz polskości w naszych praktykach religijnych, lecz abyśmy umieli spokojnie i mężnie przetrzymać i powitać niechybne następstwo tolerancyi religijnej w Rosyi...

Boć ta upragniona przez nas tolerancya, to ocalenie dla nas dwustu tysięcy dusz unickich, czujących i wierzących po polsku i ka-

tolicku, będzie miało i ciąg dalszy i ani dla polskości naszej miły ani zdrowy. Wszak ci Watykan ma obowiązek obecnie coprędzej wykorzystać tolerancyę i coprędzej rozwinąć propagandę na ziemiach rosyjskich. Wszak ci Watykan ma obowiązek domagać się, aby język rosyjski był jaknajszybciej wprowadzonym do kościołów katolickich w głębi Rosyi i na kresach polskich. Wszak ci Watykan musi odebrać kościołom katolickim charakter wysp polskich, musi je zrusyfikować dla Rosyan-katolików. I ten postępek Watykanu będzie logicznym i na taki postępek Watykanu winniśmy być przygotowani. Winniśmy być przygotowani, że gdy dotąd kościół katolicki był, na dalekich placówkach polskich, strażnicą nietylko religii ale i narodowości, w przyszłości nie będzie narodowości naszej strzegł a może ją chłonąć, bo może jej nie uwzględniać. Watykan, w myśl zadania o nawracaniu i jednaniu kościołowi wiernych, wytęży siły, aby najenergiczniej dowieść, że jest dalekim od wspierania separatystycznych prądów w państwie rosyjskiem, że szuka wyznawców, że stoi lojalnie obok władz politycznych.

Jeżeli zaś to nie nastąpi, jeżeli nie padnie taki z tolerancyi religijnej cios dla polskości, to jedynie dzięki wdaniu się Synodu prawosławnego, to jedynie, dzięki temu, że tolerancya, wobec prawosławia, zejdzie na frazes, to

jedynie, dzięki wyjątkowym prawom ochronnym, jakiemi prawosławie otoczy Rosyan, a ręce Watykanowi skuje. Rzecz więc może pójść w odwłokę, cios może się opóźnić, lecz nie odwrócić. Rosya jest wschodem Europy, drzwiami do Azyi! Rosyę dla katolicyzmu zawojować, toć znaczy podwoić świetność puścizny Piotrowej.

Te słowa ostrzegawcze ani roiły o tak szybkiem a smutnem potwierdzeniu, bo zaledwie pierwsze wydanie niniejszej książki poszło w świat, już oto pojawił się okólnik papieski o „kościołach katolickich w Rossyi". Okólnik ten, wydany za podpisem Metternicha rzymskiego, kardynała Merry del Val, znosi przyznawaną dotąd wyłączność języka polskiego w kościołach katolickich na terytorium państwa Rossyjskiego, zezwala nie tylko na język rossyjski ale i zbroi wprost rząd w prawo posługiwania się tym językiem, jakim włada większość ludności...

Okolicznością wielce charakterystyczną jest, że okólnik pomieniony został ukuty w Rzymie z rezydentem rosyjskim, bez porozumienia się i wiedzy polskich biskupów, — no i że sprowadził cały szereg „objaśnień" uspokajających... że nam, Polakom, nic nie grozi, boć „wątpliwości" rozstrzygać będzie Stolica Święta, no a stosować okólnik będą biskupi.

Czy to objaśnienie i tym razem uśpi naszą

czujność narodową, czy historya zniesienia unii nie pouczy nas, że i pośród duchownych nie brak sprzedawczyków? Czy nareszcie bodaj nie zrozumiemy tego, że okólnik ten jest wstępem do szerszej ugody z Rossyą, że jest pierwszym strzałem propagandy śród prawosławia a więc i pierwszym krokiem, zmierzającym ku odebraniu nam wszystkich, a głównie za polskie pieniądze pobudowanych, w głębi Rossyi, kościołów i zamienienie ich na świątynie dla nawróconych na katolicyzm Rosyan? Czy nareszcie nie postrzeżemy niebezpieczeństwa, zawisłego nad wszystkimi kolonjami polskiemi w Rosyi, dla których kościół katolicki był jedynem zogniskowaniem, jedyną ościenią polskości? Czy i dalej nie będziemy widzieli obosieczności tolerancyi religijnej i to obosieczności tem groźniejszej, że z jednej strony i zmierzającej wprost do odpolszczenia kościoła katolickiego w granicach państwa rosyjskiego no i, nie wyrzekającej się pogromów à la Kroże, jak ostatnio w Zelwie?

Czyśmy nakoniec w zaborze rosyjskim gotowi i już dostatecznie zahartowani, aby stawić czoło temu niewątpliwemu niebezpieczeństwu, stawić tak, jak to czyni Poznańskie, jak bodaj, do pewnego stopnia, czyni Galicya?! Niestety, w zaborze rosyjskim, jesteśmy pod tym względem najsłabsi, w zaborze rosyjskim pięćdziesiąt procent ludu polskiego wyznanie

utożsamnia z religją, pięćdziesiąt procent ludu polskiego ani wyobrazić by sobie nie umiało księdza-Niemca, czy księdza-Rosyanina, bo ksiądz nie polski jest dlań i nie katolickim. Ta naiwność ludu polskiego jest obecnie i dobrą i serdeczną, ale tej naiwności dość wychylić się w Poznańskie, dość wywędrować za chlebem do Westfalii czy Prus, aby bądź zginęła dla narodowości, bądź wpadła w odszczepieństwo.

Tak, Poznańskie z tem zagadnieniem najdzielniej daje sobie i da radę. Poznańskie, już i bez współdziałania swego kleru, potrafi pamiętać o zachowaniu, należnem słudze Kościoła, i o odporności, należnej hakatyście, wystrojonemu w suknię duchowną.

Poznańskie umie już oddziaływać i na kler i na Watykan. Toć jeno ślepi, jeno zamroczeni hakatyści upatrują, iż strejk szkolny z powodu niemieckiej nauki religii wywołało duchowieństwo! Tylko tacy nie widzą, że duchowieństwo poznańskie, jeno przyparte do muru, poszło za odruchem ludu, że Watykan, wobec groźnej postawy Poznańczyków, musiał zrezygnować ze swej uprzejmości dla Berlina, że wogóle na ziemi Wielkopolskiej nie było podotąd żadnej agitacyi, żadnej akcyi uświadamiającej a jeno trwał, trwa duch sarmacki, że ten duch wiedzie kmieciów, że ten duch unosi się ponad kolebką Piastów.

Z mniejszym wysiłkiem energii toż samo zagadnienie rozstrzyga i Galicya, która przestaje się dziwić temu, że kler grecko-katolicki jest gniazdem niezgody polsko-rusińskiej, że kler grecko-katolicki ciąży i nawołuje ku moskalofilom, żeć to kler grecko-katolicki wydał całe pokolenie popów, którzy stawali w szeregach prawosławia i batami pędzili Unitów do cerkwi. Galicya, wolna od prześladowań religijnych, a pokrzepiona czterdziestoleciem autonomii, ani myśli procesować swych dygnitarzów kościelnych o akty lojalizmu, o zbyt skwapliwe oddawanie tego, co jest cesarskiego, cesarzowi.

Tak, zabór rosyjski jest tu w położeniu najsmutniejszem, najgorszem. Zabór rosyjski podotąd nawykł w osobach swych duchownych przewodników mieć i szczerych i oddanych ojczyźnie patryotów. I dlatego, gdy, za wpływem z góry idącym, szeregi patryotów pośród duchowieństwa polskiego słabną, gdy akty lojalizmu się mnożą, a myśl, że sprawy Kościoła nie godzi się wystawiać na niebezpieczeństwo nowego zatargu z rządem, coraz silniejszy znajduje wyraz, — zabór rosyjski burzy się, grozi, złorzeczy!

Zamknięte przez lat tyle usta opinii, swobodnej dyskusyi, przedmiotowego zastanowienia się, nauczyły zabór rosyjski zaciskać zęby, — no i przywiodły go z jednej strony do roz-

pasania, do poczytywania kościołów za punkty zborne dla manifestacyj, już nie koniecznie patryotycznych, a z drugiej strony, do sekciarstwa.

Bądźmy szczerzy. Wszak wiedzieliśmy dokładnie o sprawkach księży w parafjach białorusińskich, w części litewskich i w części półunickich! Wszak ci tam, na dziesięciu istnych męczenników wiary i ojczyzny, przypadało pięciu obojętnych, tchórzliwych, lawirujących, wypierających się wszystkiego, co mogłoby się niepodobać najbliższemu strażnikowi, — wszak ci tam, na tych dziesięciu męczenników, przypadało jeszcze i trzech nicponiów, sprzedawczyków, idących ręka w rękę z żandarmami, popami i rusyfikatorskim duchem obrusitielej!

Wiedzieliśmy o tem i nie zastanawialiśmy się, iż w istocie władza duchowna nie miała siły zabronić księdzu być złym Polakiem, gorliwym sługą cesarskim, czy bodaj rusyfikatorem! Iż zbrodnicze, w naszem pojęciu polskiem, czyny księdza nic a nic nie umniejszają jego stanowiska katolickiego!

Czyż jest w Warszawie bodaj jeden wyrostek katolik, któryby nie znał dziejów przysięgi, składanej na wierność cesarzowi Mikołajowi II i stryczka przesłanego arcybiskupowi? Czyż jest w Warszawie taki katolik, któryby nie wiedział, że dygnitarze Kościoła,

na równi ze wszelkimi dygnitarzami, ciążą do lojalizmu? Czyż jest w Warszawie katolik, któryby nie znał dobrych i zacnych biskupów i księży, w przeciwieństwie do złych i niegodnych!?

Do czego prowadzą te pytania? do ujawnienia, że brak trzeźwego sądu na różnice, zachodzące między katolicyzmem i polskością, wiedzie nas na manowce wnioskowania.

Ten brak dążności do rozgraniczenia religii i narodowości podkopał pierwszą, a drugiej zagraża.

Duchowieństwo nasze bowiem, zachowując, szczerze czy nieszczerze, pozory nierozdzielności katolicyzmu z polskością, a równocześnie unikając, według odebranych wskazówek, mieszania się do spraw, zdolnych postawić Kościół w zatargu z władzą, poprzestawało na troszczeniu się o życie wewnętrzne swych parafjan, na zalecaniu im pokory, posłuszeństwa przemocy, godzenia się z przeznaczeniem i szukania nagrody i pociechy w życiu przyszłem, a tem samem oddawało swych parafjan na łaskę i niełaskę agitatorów, którzy do ludu przychodzić zwykli z ładunkiem realnych postulatów o najbardziej palących kwestyach życia powszedniego i zewnętrznego! Starczy bodaj rozważyć dzieje „samosądów“ roku ubiegłego w zaborze rosyjskim, aby ocenić, ile niemocy zdradziło nasze duchowieństwo!

I oto naraz, sprawa, której, pod grozą potępienia, nie wolno było dotąd publicznie ujawniać, i oto naraz „tajemnice“, będące od lat tajemnicami poliszynela, wysunęły się na czoło ogólno dostępnych tematów...

Odszczepieństwo mankietników, udział księży w „Straży“, litewszczenie par force kościołów w parafjach prawie nie litewskich, hasła na lachiw, huczące w cerkwiach na Rusi, wywody o potrzebie „demokratyzacyi“ katolicyzmu, niedwuznaczne uwagi o niskim poziomie naszych seminaryów, o nadto świeckich upodobaniach pewnych księży, o braku kandydatów do stanu duchownego, o antagonizmie między klerem a luminarzami i infułatami — dobyły się niby płomień z pod popiołem zasypywanego żaru. I nic nie pomogły „objaśnienia“, uzupełniające ostatnią encyklikę Piusa X, nic dowodzenia, że wskazywanie nam na manifesty monarchy rosyjskiego jest właśnie pragnieniem naszego dobra, — ferment wzmaga się, rośnie, potężnieje. Bez względu na obozy, postulat o nierozdzielności katolicyzmu z polskością nurtuje!

Polskość i katolicyzm! Tak, byłaby to zasada łatwa do przeprowadzenia, gdyby Polska była państwem niepodległem! Ale, skoro pomiędzy katolicyzmem i polskością staje rząd zaborczy, skoro katolicyzm, w obrębie tego samego państwa, ma śród swoich wyznawców

nietylko Polaków, ale i Niemców, ale i miliony inowierców, które ma obowiązek jednać sobie, a nie zrażać polakofilstwem, skoro katolicyzm polski znaczy się liczbą nieruchomą X, a niemiecki 2 X i więcej, w miarę propagandy, a rosyjski zerem, lecz i krociami tysięcy do zdobycia, — tedy zwierzchność katolicka nie ma dwóch dróg do wyboru, tedy zwierzchność katolicka musi iść za wskazówkami propagandy, tedy zwierzchność katolicka politykuje z Polakami, koi nasze gorycze, lecz od celu, dla miłości naszej, nie odstąpi.

Polskość i katolicyzm! Przecież na tem rozdrożu musimy chyba dojść do odszczepieństwa, do utworzenia jakiegoś odrębnego, niepodległego Watykanowi polskiego katolicyzmu!!

Czy taka dążność byłaby godziwą, czy możliwą — toć już sprawa inna.

Rzecz w tem, iż taka dążność mogłaby raz jeszcze nas rozłamać, jeszcze na mniejsze podzielić nas części, wtrącić w odmęt walk religijnych, któreby nas osłabiły, uczyniły z nas łatwiejszą do pochłonięcia masę.

I jedyny punkt wyjścia dla nas jest — nie ustępować bez walki z polskości naszego katolicyzmu i domagać się zawsze polskiego języka w polskim kościele katolickim, ale i pamiętać, że Watykan politykuje, bo musi, że

muszą politykować nasi kardynałowie i biskupi, że polityka ich ma często rozbieżne z polskością cele, i pamiętać, że i stamtąd mogą ku nam paść strzały, że i stamtąd płyną wrogie dla nas hasła, że wiara nasza iść powinna dalej, sięgać głębiej, niż jedno krótkie życie kardynała-Prusaka.

A gdyby nas, mimo wszystko, opanowały złudy, wspomnijmy na Maryę Teresę... Tak, bo cesarzowa Marya Teresa miała, w chwili przystąpienia do podziału Polski, skrupuły i obawy, jak zdoła na sądzie ostatecznym usprawiedliwić swe przyczynienie się do zguby katolickiej Rzeczypospolitej. Monarchini, targana wątpliwościami, zwróciła się do swego spowiednika z zapytaniem. Spowiednik rzecz rozstrzygnął... „Wasza cesarska mość na sądzie ostatecznym nie potrzebuje z podziału Polski żadnego zdawać porachunku". — Ta anegdotyczna opowieść jest tak dosadną, że godziłoby się w naszem polskiem credo ją umieścić! I powtarzać ją sobie w każdej chwili rozgoryczenia naszego ku Rzymowi.

Domagajmy się praw języka ojczystego dla religii, i biskupów polskich dla emigracyi w Ameryce, i paljuszów kardynalskich dla Polaków, i niewolmy nasze duchowieństwo dla sprawy narodowej i nie pozwalajmy spychać się na plan drugi nawet w Watykanie, lecz, jeżeli nas spotka zawód, jeżeli cel kato-

licki rozminie się z celem polskim, toć nie gorszmy się, stańmy opoką pod murami Częstochowy i Ostrejbramy, wspomnijmy na prawdę, że nadewszystko jesteśmy Polakami, a potem chrześcijanami i katolikami.

ŻYDOWSKIE BEZDROŻA.

Cztery miliony sprzymierzeńców czy wrogów. — Polska tolerancya. — Czego od żydów żądamy i co im dać możemy. — Żydzi się łudzą. — O anarchizmie, komunizmie i socyalizmie żydowskim. — Rdzeń „czarnych sotni“. — Bund i ogół żydowski. — Wrogowie polskości. — Z kimże nareszcie iść chcą. — Żądajmy odpowiedzi.

Im mniej będziemy na wewnątrz mieli rozłamów, tem silniejszymi będziemy zewnątrz. Stąd wytyczną naszych dążności winno być łagodzenie wewnętrznych zatargów, domowych waśni. Ta wytyczna obowiązuje nas tem bardziej, im zatarg jest groźniejszym, im waśń większą.

Takim groźnym zatargiem i taką waśnią jest kwestya żydowska w Polsce, kwestya przepastna, że podotąd ani rozstrzygnięta, ani szczerze oświetlona. Mamy mnóstwo potemu wystąpień antysemickich, filosemickich, lecz nie mamy prawie zupełnie wystąpień, otwarcie rzecz traktujących, bo, jak antysemici nie wskazują nam, czy wskazać się boją, punktu, na którym, według nich, cel osiągniętym zostanie, tak i filosemici nie oznaczają kresu, gdzie zupełne porozumienie z żydami nastąpi! Co zaś najcharakterystyczniejsze, żydzi sami, poza ścieraniem się z antysemityzmem i flirtowaniem z filosemityzmem, milczą, milczą uporczywie, zawzięcie. Nic z nich nie można dobyć, nic im przedłożyć, nic wytłumaczyć.

Ba, podobno, nawet wszelkie znaki zapytania pod adresem żydów są aż niebezpieczne, bo solidarność żydowska pytania takie bierze sobie za uchybienie, bo sternicy naszej opinii solidarności tej ulegają, drżą przed nią!...

A podczas, na ziemi polskiej, cztery miliony żydów trwa w swej zagadkowej polityce, a podczas my, Polacy, podotąd nie wiemy, czy posiadamy cztery miliony sojuszników, czy cztery miliony wrogów!

Ten stan niepewności może być wygodnym dla żydów, dla nas atoli jest dokuczliwym, nieznośnym i wymagającym natychmiastowego rozstrzygnięcia.

Wszak ci chyba żydzi mieli czas się przekonać, że nikt nie myśli u nas wytaczać im procesów wyznaniowych, ani czynić zamachów na świętość ich Thory! My, Polacy, jesteśmy prawdziwymi tolerantami w rzeczach religii, i jesteśmy, na punkcie inowierstwa, takimi liberałami, jakimi żydzi nie byli nigdy i nie będą. My jesteśmy postępowcami w całem znaczeniu tego słowa, żydzi zaś są konserwatystami krańcowymi. Wszak trwanie żydów na jednym i tym samym stopniu wyobrażeń religijnych, starczy chyba za najlepszy argument. Napróżno tedy pisarze żydowscy zieją piołunami, napróżno naukowemi sentencyami biją w dogmaty chrześcijaństwa — raczej winni spojrzeć w siebie, we własne

środowisko i odeń, jako od najdawniejszej ciemni, zacząć reformę. Jeden fakt, że żyd dla chrześcijanina jest bliźnim, chrześcijanin zaś dla żyda bliźnim nie jest — rozstrzyga o tem, kędy jest postęp a kędy zacofanie.

Ale rzecz nie w tem, aby zestawiać zakon z ewangelją, a jedynie w tem, aby najsilniej zaakcentować, iż wyznanie mojżeszowe nie ma w chrześcijanach wogóle, a w Polakach nadewszystko, ani wrogów, ani antagonistów. Żydzi mogą być pewni i przekonani, że nikt z Polaków ani wtrącać się do ich obrzędów, ani do ich wierzeń nie będzie, jako i faktycznie się nie wtrącał podotąd.

Zdaje się, iż żydzi sami wiedzą o tem, wiedzą i o tem, że ci, nieliczni pośród nich, którzy są Polakami wyznania mojżeszowego, stoją poza szrankami, że nie ku nim idą ostrzegawcze wezwania, że nie ku nim płyną poniższe zapytania.

Żyd, stwierdzający swą przynależność polską, przecina odrazu węzeł gordyjski kwestyi — lecz tych Żydów jest mało, tak mało, że na cztery miljony nie ma ich stu tysięcy! I dlatego, stawiąc żydów Polaków za nawias, najwyższy czas dogadać się z miljonami żydów... jakich?... Właśnie, iż podobno nazwać ich nie umiemy... a czujemy tylko, iż z dnia na dzień, z minuty na minutę, kwestya

żydowska bruździ nam i w stosunkach socyalnych i w politycznych.

W stosunkach socyalnych żydzi dokuczają nam dlatego, iż nie współdziałają nam, iż nie łączą się z nami, nie solidaryzują, iż nie poczuwają się do obywatelskości, iż, w stosunku do nas, są nieetyczni, iż, garnąc się do kultury niemieckiej, są nieczułymi dla polskiej, iż są rozsadnikami i czcicielami kapitalizmu.

W stosunkach zaś politycznych, żydzi, miast interesy polskie podtrzymywać i wspierać, paraliżują je, są krzewicielami niemczyzny i rosyjskości i łączą się raz poraz z naszymi wrogami.

Na tych zarzutach postawmy jednak kropkę. Zapomnijmy żydom i ich zachowanie się w Poznańskiem, i ich udział w hakacie, i ich germanizatorskie upodobania w Galicyi, i ich moskalofilstwo i na Litwie i tam jeszcze, gdzie ich rabują, palą i mordują. Zapomnijmy o tem, boć i sami może niejedno przewiniliśmy względem żydów, i roztwórzmy w księdze dziejów białą, niezapisaną, niesplamioną kartę...

Więc czegoż żądamy od żydów? — Nadewszystko odpowiedzi, czem chcą być? Czy narodem, czy wyznaniem! Czy chcą szczerze iść z nami, czy czekają jeno, aby ręka, trzymająca knut, omdlała i dała się ucałować? Czy, jako naród, szukają istotnie przystani, czy też odprawiają dalej swe wieczne tułactwo?

Czy pragną z nami zgody i przymierza, czy też wolą tą obecną, obłudną ciszę, minową walkę a w przyszłości bój śmiertelny?!

Szczera dopiero odpowiedź żydów może być nam wskazówką dla naszego z nimi postępowania. Od odpowiedzi tej żydzi dotąd uchylali się i uchylają. Naszem zadaniem jest zmusić żydów do otwartości, do ruchu bądź na prawo, bądź na lewo.

My, wzamian, możem przystać i na odrębność narodową żydów, możemy, według ich upodobania, mieć ich i za gości, popasających w Polsce, podczas podróży do Syonu, i za szczep ludu, który na polskiej ziemi znalazł sobie drugą ojczyznę, — ale my, wzamian żądać musimy od żydów, aby szanowali prawa, i tradycye ziemi, w której przebywają, aby zaniechali odgrywania roli wytrychów przy zmaganiu się zaborców z polskiemi zaworami, aby polskiemu językowi i polskości oddali ten sam kult, który mają dla niemczyzny i dla rosyjskości.

My, wzamian, gotowiśmy niewątpliwie uznać bogactwo i wielmożność starożytną języka hebrajskiego, — ale my nie ścierpimy żargonów, nie ścierpimy gwary, która nie jest mową „narodu“ żydowskiego, lecz nikczemnym potworkiem, lecz jakimś volapükiem ciemnoty, zajadłego separatyzmu i złej woli.

Nad tymi postulatami zarówno my, jak

i żydzi winni się dobrze zastanowić, boć tak trwać dłużej nie może!

Żydzi łudzą się, iż uda im się i w przyszłości na dwóch lub czterech stołkach siedzieć, iż uda im się, bądź przy rożnie konstytucyonalizmu rosyjskiego, bądź przy ogniu jakiejś autonomii Królestwa grzać się na cudzy rachunek! Żydzi łudzą się! Im się zdaje, iż zsocyalizują naród polski! Żydzi łudzą się, iż ten polski socyalizm, dlatego łączy się z „Bundem", że wierzy mu, że zdolen jest uwierzyć w możliwość socyalizmu żydowskiego!! „Bund"? Żydowski socyalizm?! Żydowski komunizm?! Żydowski anarchizm?!

Przecież to kpina z logiki, przecież to równie śmieszny dziwoląg, jak dalekowidztwo ślepych, szybkobiegstwo beznogich, śpiew ryb, lub lot słoni!

O anarchizmie, socyalizmie i komunizmie mówią ci, którzy w każdem tchnieniu swem uchybiają zasadom podziału pracy i zysków, którzy są wrodzonym wcieleniem kapitalizmu!...

O anarchizmie, socyalizmie i komunizmie mówią ci, którzy są osią tego, co anarchizm, komunizm i socyalizm uważa za niemoralne, niespołeczne!

O anarchizmie, socyalizmie i komunizmie, które są wrogami śmiertelnymi pieniędzy, procentów wszelkich, które nie znoszą „sprytu" handlowego, przedsiębiorczości, pośrednictwa,

lichwy ani z komornego, ani z dzierżawy, ani z narzędzi pracy, ani z oszczędności, ani z inteligencyi, ani z talentów, — zagadali ci, co całą swą moc i ocalałą jaźń gruntują i utrwalają na tych właśnie, zwalczanych przez anarchizm, komunizm i socyalizm, zasadach!

Ależ nareszcie trzebaż wniknąć w rdzeń żydowskich pogromów! Czarne sotnie? — zgoda; — ciemnota ludu? — zgoda; — dzikie instynkty? — zgoda; barbarzyńska polityka rządu — zgoda! Tak, tak, wszystko to są niezawodne dźwignie pogromów żydowskich — ale, poza temi dźwigniami, poza temi niegodziwemi skrami jest i materyał palny, materyał spreparowany przez samych żydów.

Chłop rosyjski, a nawet i rosyjski mieszczuch nie zna się na Lassalu, nie ma wyobrażenia o Engelsie, ani o Owenie i chłop rosyjski i rosyjski mieszczuch nie umie wytłumaczyć ani uzasadnić istoty krzywdy, która dzieje mu się ze strony żydów, ale tę krzywdę czuje, ale niesocyalność żydów na swej własnej skórze dźwiga. Chłop rosyjski i rosyjski mieszczuch co dnia ma sposobność stwierdzić, iż żyd pracuje mniej, a zarabia więcej, iż żyd nie jest wytwórcą, lecz głównie i tylko przekupniem i pośrednikiem, iż żyd zasklepia się, odgradza odeń, unika go w życiu niekupieckiem, niehandlowem. I chłop rosyjski i rosyjski mieszczuch, nie potrafiąc wyłożyć jasno

swych krzywd, nie potrafiąc walczyć z tem, co jest legalnem bezprawiem, nie potrafiąc wyobrazić sobie, aby wogóle prawo mogło uledz zasadniczemu przeobrażeniu, — szuka ujścia dla swych krzywd!... Juścić tu religijny antagonizm staje się znakomitym pozorem... a jeżeli nadto, na ten podatny grunt, padnie skra z góry, ukaże możliwość bezkarności, wówczas jeden dziesiątek podżegaczów z „czarnej sotni“ starczy, aby ciemną, lecz łagodną, masę zamienić w rozbestwiony motłoch.

Najwymowniejszym bodaj argumentem na poparcie tych słów są ostatnie rozruchy i pogromy w Rumunii, a więc w kraju, w którym chyba żydzi nie mogą uskarżać się na brak równouprawnienia! Skądże ten dziki antysemityzm chłopstwa rumuńskiego? Tylko z niespołecznej działalności żydów rumuńskich... Cóż to za niespołeczność? — Oto jej przykład. Rodzina bankierów żydowskich, Fischerów, na Bukowinie utworzyła trust i zadzierżawiła ogółem 267.863 hektarów ziemi, w czem zdatnej do uprawy jest 159.400 hektarów a ponieważ Fischerowie płacą 3,441.243 franków dzierżawy, przeto wypada za hektar ziemi, zdatnej do uprawy, po 21 frank. 50 centimów rocznie... Rodzina Fischerów juści ani myśli uprawiać tych kolosalnych obszarów... lecz je poddzierżawia kmieciom rumuńskim po 40 do 60 franków za hektar... i w ten sposób po-

siada armję 50.000 rodzin włościańskich, która pracuje na to, aby z roku na rok składać Fischerom haracz stu i dwustu procent zysku! — Ten jeden rachunek z jedną rodziną Fischerów starczy bodaj za traktat i starczy za dokument, że w danym razie „ciemnota“ chłopa rosyjskiego nie jest większą od rumuńskiego i że ta „ciemnota“ może, w danych warunkach, równie krwawo wybuchnąć nad brzegami Loary jak i Renu, tak samo w Anglii jak i Szwecyi... byle by tylko tam zaczęli działać Fischerowie!

Żydzi się łudzą! Im się zdaje, że dość im uzyskać prawa w Rosyi, aby pogromy stały się legendami!... Żydzi się łudzą, iż nie w nich samych leży socyalny podkład rosyjskiego barbarzyństwa, iż, przez symulowanie socyalizmu, osiągną błogi spokój państwa w państwie!!

Bund może sobie być organizacyą zasobną, może mieć Arkana z Alliance Israelite, może być organizacyą, kierującą rewolucyonizmem żydowskim, może być organizacyą, której siłę chce użytkować i użytkuje ten, lub ów, odłam socyalistów rosyjskich czy polskich, może być organizacyą, z którą się dana partya, czy dana władza, liczyła czy liczy — ale Bund nie ma żadnego realnego celu ani dla socyalizmu, ani dla komunizmu, ani dla anarchizmu.

Zapewne, wolno nam wierzyć i powinniśmy wierzyć, iż, jeżeli Marks był ex-żydem,

to i pośród żydów nie brak i dziś takich, którzyby pragnęli wspólnej własności, złamania kapitalizmu, równego podziału zysków, zrównoważenia pracy. Ale, oddając sprawiedliwość jednostkom, powinniśmy pamiętać, że ogół żydowski z socyalizmem żadnego związku nie ma, bo socyalizm nie mieści się nadewszystko w jego religii, bo ma wroga w zakonie mojżeszowym. Tak, ogół żydowski uważa socyalizm za środek dobycia się z kąta ograniczeń, za falę, na której można wypłynąć, której korzystnie jest poddać się, uledz bez zlania, bez zmieszania!

Socyalizm żydowski jest to gra, gra ryzykowna, bo nawet wygrana socyalizmu nie mówi jeszcze nic o wygranej żydowskiej!

Lecz ta strona akcyi żydów, bodaj przez nich samych jest doceniona, — pozostaje więc tylko jedna i najważniejsza, a jest nią stosunek żydów do rządów zaborczych, stosunek niegodny ambicyi narodu żydowskiego (jeżeli żydzi są narodem) i niegodny Polaków (jeżeli żydzi są Polakami) i niegodny i Rosyan i Niemców (jeżeli żydzi są Niemcami lub Rosyanami).

My wcale a wcale nie powinniśmy narzucać się żydom z naszą polskością, my wcale a wcale nie powinniśmy ich polszczyć, a jeno żądać od nich wyznania wiary politycznej i strzedz, aby nam nie kazili tego, co jest nasze i polskie, aby nie bezcześcili tego, co może

być dla nich obcem, obojętnem, ale co oni szanować są obowiązani, jako choćby urojone, ale cudze zawsze, dobro.

Wytępmy nareszcie ten prawdziwy Wallenrodyzm żydowsko-polski! Dzień i noc strzeżmy się przed tymi, którzy, pozostając żydami, stroją się w barwy polskie, aby czujność naszą uśpić.

Przykładów!... Zapomnieliście może o petycyi żydów o utrzymanie języka rosyjskiego w szkołach! Zapomnieliście może o sprawie, wytoczonej przez rodziców-żydów, przełożonym szkoły o to, że wprowadzili język polski a więc zwichnęli karyerę ich dzieci... które marzą o tem, aby czemprędzej osiąść tam, gdzie ich mordowano i bito!!?

Zapomnieliście może o wrogich okrzykach żydów przeciwko godłom narodowym?! Zapomnieliście o wołaniach żydów „precz z Polską!“ — A przecież to jest zbrodnia!!... Zbrodnia, bo w ustach żydów takie zawołanie jest tylko zawołaniem hakatystów, obrusitielej, Tidemanów i Apuchtinów!...

Tak, my Polacy, możemy mieć siakie i takie prądy. My, Polacy, możemy unieść się, możemy, w roli pepeesów czy socyal-rewolucyonistów, wołać „precz z białym orłem“. Taki okrzyk, w ustach Polaka, może być wytłumaczony egzaltacyą, usprawiedliwiony przejęciem się złą czy dobrą ideą — ale ten sam

okrzyk w ustach żyda, w ustach żyda, mówiącego o sobie, że nie jest Polakiem tylko żydem — jest zamachem stanu, jest zamachem na nasze swobody, jest solidaryzowaniem się z tem, z czem my walczymy!!

Żydom tych okrzyków nie można wziąć za entuzyazm ku międzynarodowości, bo międzynarodowość należy tam akcentować, gdzie separatyzm narodowościowy jest tamą dla ogólno ludzkich ideałów. Niechże w Petersburgu, w Odesie, w Moskwie, w Berlinie czy we Frankfurcie nad Menem spróbują żydzi wołać precz z Rosyą, precz z Prusami, niech tam spróbują się natrząsać z orłów i godeł!

Żydzi doprawdy ulegli zaślepieniu, przecenili swe siły. Nie pojmują tego, iż chwilowe rozprzężenie Polaków, to ich zobojętnienie, sterroryzowanie niema nic wspólnego z niemocą, iż nie tylko niegodnem jest ale i nieostrożnem drażnić społeczeństwo polskie, rozkrwawiać cudze rany!

Setki można by tu jeszcze wydobyć przykładów na udowodnienie krzywd, które nam żydzi wyrządzają. Lecz nie o te krzywdy chodzi — tylko o zdecydowanie się żydów stanowcze i ostateczne, z kim chcą iść dalej!...

Bo co do nas — nas stać nie tylko na zapewnienie opieki szczeremu sprzymierzeńcowi ale i na zwalczanie jednego więcej wroga!

Społeczeństwo polskie, wiedzione instyn-

ktem samoobrony, zbliża się bezwzględnie do punktu, na którym ustaje możność porozumienia się z żydami. Żydzi lawirują i żydzi nie chcą się przekonać, że nie ma tu mowy ani o ultrakatolicyzmie ani o gromadce, która stoi pod sztandarem zdecydowanego antysemityzmu. Żydzi tak są oszołomieni, iż nie odczuwają tego fałszu, tego udawania filosemityzmu, tego unikania odpowiedzi na kwestyę żydowską u tych, którzy, symulując postępowość, głosząc liberalizm, są zawsze antysemitami ukrytymi. Żydzi, wbrew rzeczywistości, roją sobie, iż gromady polskich robotników, chodzące pod czerwonymi sztandarami, szukające stycznych z takiemiż gromadami żydów, topią raz na zawsze swe antysemickie zapały!

Czy stąd dla żydów groźba, czy wezwanie do krucyaty? Nie, jedynie ten wywód prosty, iż obecne stosunki żydowsko-polskie wymagają gwałtownej operacyi, iż dziś jeszcze zdrowa myśl tę operacyę może dokonać, że czy ta operacya będzie rozcięciem węzłów, czy zabliźnieniem i spojeniem, obie strony zyskają, boć dla każdego społeczeństwa poznanie i ocenienie zarówno sprzymierzeńców, jak i wrogów, jest zyskiem bezwzględnym.

Czy sternicy naszej opinii bodaj w tym jednym razie zdobędą się na hasło, czy i w tym razie będą bezdusznym fonografem, recytującym to, co weń siła echa wkrzyczy!? Czy żydzi,

sine ira i bez wykrętów, dadzą nam odpowiedź jasną i szczerą?!

Cisza i głusza i szeplenienie oklepanych frazesów!?

Ależ — wbijmy sobie i żydom tę prawdę, że tu nie ma mowy o żadnych izmach, o żadnych katolickich, chrześcijańskich, rasowych czy kastowych uprzedzeniach, o żadnych ludzkich czy nieludzkich czynach, czy punktach widzenia — jeno idzie o wyraźne i zdecydowane wyjaśnienie, czy żydzi chcą z nami iść, czy nie chcą. Wbijmy sobie i żydom i tę prawdę jeszcze, że to sprawa ważniejsza niż umiastowienie teatrów warszawskich, niż tysiąc spraw, nad któremi się głowimy, boć to sprawa zasadnicza.

W Galicyi wchodzimy w okres powszechnego głosowania, w zaborze rosyjskim zamki całe (oby nie na lodzie) stawiamy dla rzekomego naszego odrodzenia — wytężamy siły ku rozgałęzieniu naszego ustroju społecznego a tu, u podstaw, u pnia samego mamy cztery miliony żydów, mamy krzew, o którym nie wiemy, czy splotami swych pędów pragnie wzmacniać nasze, czy też, jest tą jemiołą pasożytną, wieszającą się lip i klonów na swój rozkwit a na drzew tych charłactwo.

NASZ SOCYALIZM.

Jurnę pisklę. — Zło i dobro. — Atteńczycy rodem z Beocyi. — O utopiach i hasłach zachodu. — Obrona klas pracujących. — Francya. — Międzynarodowość w życiu robotników. — Proletaryat. — O Polsce socyalistycznej. — Rodowód Atteńczyków. — Przegrana partya. — Zubożenie robotników. — Socyalizm, jako pełnia teoryi. — Wycofane z życia stare karabiny. — Oszczędność we Francyi. — Lichota polskich pracowników i próżniactwo. — Ambicye Herostratowych rycerzów.

Młode to bardzo pisklę ów nasz socyalizm, jedno z najmłodszych w Europie, aleć już tak jurne i zadzierżyste, iż, czuj duch, bez arsenału argumentów, lepiej w mysią jamę się zaszyć, w bezbarwność wystroić niż stanąć oko w oko na mównicy, choćby tylko z pepeesem.

I dla tej jurności, zadzierżystości i odwagi przekonań socyalizmowi naszemu należy się szacunek. Szacunek należy mu się jeszcze i za energję i za szczerość, którą całemu społeczeństwu dojął i którą potężnie do poruszenia go z zaśniedziałości się przyczynił. Lecz, obok szacunku, należy mu się i potępienie, potępienie nie za tezy, nie za programy socyalistyczne, lecz za politykę, za uchybianie sprawom polskim, celom narodowym, a więc i socyalizm obejmującym.

Klątwą naszego socyalizmu są Atteńczycy, Atteńczycy, którzy, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dźwignąwszy się na wyżyny ideowości, wracają do ojczystej Beocyi uzbrojeni w Marksów, Engelsów i Spencerów i zaczynają pracę twórczą tak, jakby ziemia

polska nie była domem niewoli i analfabetyzmu.

Atteńczycy nasi wprost z Zürichu, Halli, Milhausy czy nawet Petersburga zjeżdżają do kraju obładowani humanizmem i ogólnoludzkimi prądami i objawiają swemu, nie umiejącemu chodzić narodowi, że trzeba, aby tańczył i że wogóle chodzić nie potrzebuje wcale!

Społeczeństwo nasze, żywiąc całe uznanie dla tych swoich Atteńczyków, na taki ład zgodzić się nie może, — Atteńczycy nasi wpadają w pasyę, zieją potokami żółci i jadu, ba, a co gorsza, wiodą na utopje tłumy robotnicze.

Na utopje?! No tak, boć nasi Atteńczycy socyalizmu zgodzą się chyba, że socyalizm to poprostu bękart anarchizmu, że socyalizm nie dorasta do pięt anarchizmowi, że cały doktrynerski „Kapitał“ Marksa nie wart jest jednej karty ideologii Bakunina, że tam, gdzie socyalizm sięga po berło, tam się zaczyna albo farsa, albo najstraszniejsza niewola, bo upaństwowienie nietylko mieszkań ludzkich, ale nawet i żołądków.

Na utopje?! — No tak, boć nasi Atteńczycy chyba czują to i rozumieją, że my, Polacy, pierwsi w Europie zapalimy illuminacye i na cześć ogólnego rozbrojenia i braterstwa ludów, i federacyi, i równouprawnienia najszerszego... byle... byle tylko ten dzielny przewrót nie zaczynał się od nas, byle jaśnie oświeceni Beble

i Jauresi, a choćby wielmożni Pietrowy czy, Iwanowy ład ten u siebie już zaprowadzili. Ba, my nawet gotowiśmy i zacząć, gdybyż jeno był dach własny nad głową, gdybyż nie okoliczność, że każdy z naszej strony krok do braterstwa musi być albo zmoskwiczeniem albo zniemczeniem.

Hasła zachodu!? Każde podniosłe, wspaniałe, każde tak świetne, jak palmy nicejskie, jak cyprysy genueńskie, jeno jak te palmy, jak te cyprysy skazane na zwiędnięcie w naszym klimacie.

Hasła zachodu! Któżbo doprawdy z ludzi, siako tako okrzesanych, wzbraniałby się od pokłonu i hołdu przed majestatem tych haseł. Któż z nas, Polaków, nie roi, aby i nas stać było na orzeczenia w rodzaju: — prawo? — prawem może być dla mnie to, co uznaję, czemu poddaję się dobrowolnie, lecz prawem dla mnie nie może być to, co mi rozkazuje, bo to, co mi rozkazuje, jest przemocą; parlament jest dobrem panującej większości, a więc krzywdą uciemiężonej mniejszości, a więc złem, które należy zwalczać na równi z autokratyzmem; państwowość jest przejściową formą ustroju, im prędzej zginie, tem lepiej dla przyszłości; narodowość musi stopnieć na wyższym szczeblu, którego miano ludzkość...

Tak, narodowość musi stopnieć! I my, Polacy, podobno wcale a wcale nie będziemy

wzbraniali się przed wskoczeniem do tygla ludzkości, spławimy się w nim chętnie, ale chcielibyśmy nadewszystko mieć coś do spławienia, do złożenia na ołtarzu wszechdobra i nie chcielibyśmy, aby nas spławiono w pojedynkę... i tylko nas!

Krótko mówiąc, nasi Atteńczycy sześćdziesiąt razy na minutę zapominają o tem, że nasza biedna, skołatana ziemia odstała społecznie od Europy, że chodzi w kajdanach analfabetyzmu, że szamotać się musi o to, co ma najostatniejszy z proletaryuszów rosyjskich!

I nasi Atteńczycy schodzą ku tłumowi i uświadamiają go i walczą pod dewizą prawa dla pracy...

I w tem bezwzględnie wiele dobrego. Tak, — stosunki robotnicze u nas domagały się i domagają uzdrowienia. Z kapitalizmem trzeba iść na ostre, bo kapitalizm niczego dobrowolnie robotnikowi nie da. Strejki, żądania, ośmiogodzinny dzień, organizacye pracowników, samopomoc, solidarność, — tak, to potrzebne, to doniosłe, to nieodzowne... Przed takim socyalizmem głowę schyla każdy rozumny człowiek, bo i każdy rozumny człowiek musi przyznać, iż, skoro przedsiębiorca, fabrykant ma prawo dowolną stawić cenę na swój produkt, skoro przedsiębiorcy, fabrykantowi wolno, bez krępowania się, zawierać umowy, syndykaty, wywoływać zniżki i zwyżki,

to też same prawa przysługują robotnikowi. Ta zasada jest prostą zasadą sprawiedliwości i sprawiedliwości tak oczywistej, iż można jej słuszność ocenić i bez Marxa.

Jeżeli socyalizm nasz pretenduje atoli, iż on niepodzielnie zasłużył się w obudzeniu świadomości pracowników, że ich spoił i zwarł, — to niech w tem przekonaniu wytrwa. Dla porządku jednak przypomnijmy sobie bodaj jeden fakt ze stosunków Królestwa.

Przed laty siedmioma, jeden z młodych publicystów podjął niewdzięczny podówczas i mozolny trud okazania społeczeństwu polskiemu okropności stosunków pracy w naszych instytucyach. Przez szereg miesięcy gromadził cyfry, listy płacy, kupował bilanse i rozpowiadał o nędzy, o wyzysku, o niedoli pracowników kolejowych, bankowych, przemysłowych... Artykuły te bodaj, że pomną ci, o krzywdy których ów publicysta się upominał. Artykuły te godne są zaznaczenia dlatego, iż żaden z owoczesnych organów postępowych drukować ich się nie odważył, iż nawet organ jednego z najwybitniejszych naszych socyalistów na ten wykład uwagi zwrócić się nie ośmielił..., a to z przyczyny, iż na artykuły te jeden jedyny tygodnik ultrakatolicki i antysemicki się ryzykował. Kwestya wskróś socyalna, kwestya, która wywołała ruch pośród setek ludzi, kwestya, traktowana bez wszel-

kiego zabarwienia klerykalnego czy antysemickiego, u ówczesnych socyalistów nie znalazła ani echa, ani współdziałania.

Ten nawias niech posłuży za uwagę, iż i poza Marxem dążność w kierunku poprawienia stosunków pracy była u nas silna.

Zresztą mniejsza, kto i kiedy dzwonił na kazanie, dość że zwrot nastąpił. Zwrot ten wszakże przekroczył granice, i zwrot ten zboczył na manowce, bo, przez swe wygórowane żądania, doprowadził przemysł do ruiny, bo wpadł w międzynarodowość, bo walkę wewnętrzną przeniósł na zewnątrz, bo pogrążył się w takim wirze polityki, że polepszenie bytu klas pracujących nieomal pogrzebał.

Póki robotnicy stawiali fabrykantom żądania logiczne, póty strejki były aktami pożytecznymi, póty można było cieszyć się, iż podział pracy i zysków godziwsze przybiera formy, — ale, skoro ciż sami robotnicy, zaczęli żądać od swoich chlebodawców... zniesienia stanu wojennego, konstytucyi, autonomii, konstytuanty, gdy strejk stał się nieustannie powtarzanemi manifestacyami politycznemi, wówczas to, co winno było się stać pożytkiem, dobrem, bogactwem, zeszło na gorszą od dawnej nędzę, na gorszy od dawnego rozbrat i rozłam.

Socyalna rewolucya? Narodowość i socyalizm? Polska socyalistyczna! Precz z Polską — niech żyje proletaryat?!... itd. — Te są za-

wołania, któremi samobójstwo strejkowiczów ma być uzasadnionem, a błędy podstawowe naszych socyalistów mają nabrać racyi stanu!

Tymczasem, miast kruszyć kopję o to, że socyalizm jest ruchem ekonomicznym, wewnętrzno-społecznym, że nie może i nie powinien udawać ani międzynarodowości, ani gnębić ani podejmować zadań narodowych — godzi się rzucić okiem tam, gdzie socyalizm zażywa pełni obywatelstwa i przyjrzeć mu się z bliska.

Więc Francya. Wszak socyalizm tam rządzi, wszak ma tam i swoich ministrów i podobno swoich prezydentów. Do czegóż doszedł? Do bardzo wielu czysto wewnętrznych zdobyczy, zdobyczy tych strzeże, zdobycze te kultywuje, stara się hydrę kapitalizmu uczynić jaknajmniej szkodliwą, zabiega o kurę świąteczną na stole pracownika i ani myśli cośkolwiek ustąpić ze swej francuskiej przynależności, indywidualności.

Socyalizm francuski ma uśmiech dobrotliwy dla zapałów komunistyczno-anarchistycznych, radby ucałować antimilitarystów — ale podczas, choć ze łzami krokodylemi w oczach, ładuje do więzień anarchistów i komunistów z antimilitarystami pospołu, miljony wydaje na policyę i żandarmeryę, drwi z prawa tajemnicy pocztowej i ze wszelkiej nietykalności a, choć wzdycha przy podwyż-

szaniu budżetu wojskowego, podpisuje go i uchwala i daje się doń, mimo pozornych grymasów, przekonać zawsze.

I socyalizm francuski czyni to nie dla tego, aby był niedołężnym, słabym lub niedość energicznym, jeno że jest konsekwentnym i pewnym, iż kwiatek, choćby się zwał, wszechludzkość i międzynarodowość, także musi baczyć, aby go przymrozek nie zabił przedwcześnie i wraz z łodygą nie zniweczył.

Wprawdzie pan Jaurès odbywa z panem Beblem zjazdy i narady w Brukselli, odgraża się, iż socyaliści nie dopuszczą do wybuchu wojny... ale ani jeden ani drugi w to nie wierzy i głośno wyznaje, że, w razie niebezpieczeństwa... musi dać pierwszeństwo swym uczuciom patryotycznym...

Międzynarodowość proletaryatu?!... Solidarność wszechświatowa robotników?! To doprawdy tak wytarty szeląg, że chyba na jednej ziemi analfabetyzmu społecznego, na ziemi polskiej, może mieć wyznawców!!

Bo kto naprawdę i raz jeden wniknął w istotę wściekłości, z jaką robotnicy francuscy mordują, poniewierają i prześladują robotników włoskich, kto raz jeden sięgnął, czem jest owa międzynarodowość proletarjacka wobec cichych i wytrwałych Chińczyków lub Irlandczyków, ten dostatecznie świadom jest tego, że braterstwo proletaryatu tak, jak

i braterstwo narodów, ma jeszcze ściśle zakreślone granice polityczne i ekonomiczne. No a granic tych nie zburzy zapewne taki proletarjusz, który, jako inteligencya, jako oświata, jako kwalifikacya pracy, jako dojrzałość obywatelska, jest niemowlęciem.

I któż to jest ów polski proletarjat? Czy gromadą bezdomnych niedołęgów, nieużytków, które na ciele najzdrowszego organizmu pędzą pasożytniczy żywioł? Czy, pod mianem proletarjatu, ukrywają się może ci tylko, których dążeniem jest „burżujów" zamienić w proletarjat a proletarjat wypromować na „burżujów"?... Któż nareszcie ma prawo zwać się proletarjuszem? Jakiż ku temu trzeba mieć cenzus intelektualny a jakiż cenzus majątkowy!?... Boć być dzieckiem niedoli, ciężkiej walki o byt, a nie ugiąć się, nie opuścić rąk toć bodaj tyle, co być „burżujem"...

I ten dziwny a pośpieszny sąd, to dowolne dzielenie społeczeństwa na proletarjat i klasy uprzywilejowane, to sztuczne budzenie antagonizmu do urojonych nieprzyjaciół jest klątwą naszego ruchu socyalistycznego. Jest tą samą klątwą, jak i dziwolągi o międzynarodowości, jak wypieranie się patryotyzmu, jak łączenie go, assymilowanie z socyalizmem. Ten obłęd jest równie niebezpiecznym dla naszej niepodległości, jak każdy fanatyzm sekciarsko-religijny i jest o tyle groźniejszym,

że gdy fanatyzm religijny znaleźć może punkt wspólny w dogmacie, fanatyzm socyalny do coraz większej rozbieżności dąży.

Dotąd, dopóki świat dzieli się na Francuzów, Niemców, Rosyan, Włochów, Anglików itd. dotąd i my najpierw musimy być Polakami a dalej dopiero możemy dzielić się tak, jak nam się podoba; najpierw musimy wspólnie dbać o całość dachu nad głową a dopiero wolno nam myśleć, komu jaki kąt w domu się należy. Dachem jest cel narodowy a kątami ideje socyalne. A niechby się ideje socyalne jaknajgoręcej kątami izb polskich zajmowały — ale niech nie sięgają tam, gdzie ani ich prawo, ani ich zadanie, ani siła.

Polski socyalizm!? Polski socyalizm ogarnia niepodległość, odrębność narodową Polaków?! — Nie — nie ogarnia, nie ogarnia, choćby się jeszcze dziesięćkroć razy sam do tego przyznał, choćby najszczerzej tego pragnął. Bo cel narodowy jest takim celem, do którego bezwzględnie, żywiołowo dąży 20 miljonów ludu polskiego — cel zaś socyalistyczno-narodowy jest celem grupy, gromady, która uzależnia dobro powszechne od dobra gromady. Gdyby polska partya socyalistyczna istotnie myślała o Polsce, bodaj socyalistycznej, toć wcale a wcale nie posuwałaby się do wrogich wystąpień przeciwko tym, którzy swą polskość zaznaczają. Polskiej partyi socyali-

stycznej nic a nic nie przeszkadzałyby pochody, wiece i wyznania polskiej wiary!... Polska partya socyalistyczna widziałaby w tem atut dla siebie, wzmożenie się! — Polska partya socyalistyczna nie dopuściła by do nonsensu dzielenia Polaków na socyalistów i narodowych demokratów, zważywszy oczywistość, że pierwszy powinien być i drugim a drugiemu wolno nie być pierwszym. Podział taki u nas jest kwiatkiem na kożuchu. Podział taki we Francyi, w Rossyi, w Niemczech, gdzie każdemu obywatelowi wolno być i całym Francuzem i całym Niemcem, jest uzasadniony, bo, pod mianem narodowców, kryje już szowinistów, często wstecznikow lub wyznawców odrębnej gospodarki wewnętrznej. U nas, gdzie byt polityczny musi być alfą, o którą opiera się każdy, poszczególny dział rozwoju — przeciwstawienie takie jest karykaturą logiki.

Nasi socyaliści chyba słyszeli o tem, kim był Żelabow? Otóż, godziłoby się im pamiętać, że ten znakomity socyal-rewolucyonista póty bronił się, póty zwalczał akt oskarżenia, póki na okrzyk jego — „Jako i wy, Rosyaninem jestem!“ — sala, wypełniona żandarmami, nie warknęła złowrogo... Tu Żelabow padł wyczerpany na ławę, rozumiejąc, iż nie ma dyskusyi z ludźmi, zaprzeczającymi mu najprostszych uczuć.

Lecz z jakichże to żywiołów składają się nasi socyaliści?!... Z Atteńczyków u steru, u wierzchołka, a z zaślepieńców, z bezkrytycznych fanatyków u spodu. Miazgi zaś trzeźwej brak im — brak.

I Atteńczykom naszym nie dziwić się, iż tak myślą, jak myślą, wychowały ich wszak bardzo wyjątkowe stosunki — wychowały ich czasy prześladowań, wychowało tchórzostwo uczuć narodowych.

Wniknijmy w życie przed laty dwudziestu naszej młodzieży. Wszak, pomimo „patryotyczności“ rodziny polskiej, taż sama rodzina pracowała z całych sił na to, aby w swych synach przytłumić żywość uczuć, aby, broń Boże, nie dać im narazić się... I rodziny polskie dziesiątkami całemi słały swych synów do Rosyi, do Niemiec, do Szwajcaryi, aby, zdala od terenu walki, kształcili się... I młodzież nasza kształciła się, wzorowała na tych, którzy, mając w bród i chleba powszedniego i mięsa, myślą o wetach... I do kraju wszystkiemi porami napłynął nietylko socyalizm, lecz i doktrynerstwo, lecz i utopje, i owe wielmożne ideały, owe figle akademickie, zdolne zaprzeczyć nietylko pojęciu o tem, co jest dobrem, złem, pożytecznem a godziwem, ale i zaprzeczyć pierwszemu z brzega fizycznemu zjawisku.

I ta młodzież wytworzyła właśnie to po-

kolenie Atteńczyków, rezonerów, frazesowiczów, nie znających ani swego własnego ludu, ani swego kraju, ani ponurej rzeczywistości porania się i walczenia z tem, o co nie potrzebuje walczyć nawet mużyk rosyjski.

A, nadobitek, ta młodzież znalazła jeszcze współdziałanie innego swego odłamu a mianowicie tych, których za książkę, za skrawek papieru wychowywał Szliselburg, Cytadela i wygnanie. Ten odłam męczenników barbarzyńskiej przemocy, męczenników ślepego despotyzmu, w jurtach jakuckich spotykał się, obcował z bólem rosyjskim, z tym bólem, któremu obcym jest patryotyzm, z bólem, który patryotyzmu, jako już zdeprawowanego na narzędzie władzy, nieznosi, niecierpi, nienawidzi. I ten odłam męczenników polskich dał się porwać owemu bólowi rosyjskiemu, boć miał go sobie za większy od własnego, za wszechludzki. I ten odłam męczenników dał się nawrócić na prawosławne wyznanie wiary politycznej i społecznej i zamarzył o wspólności niedoli, o potrzebie równorzędnego działania i zwalczania wspólnego wroga i kołatania o też same przywileje.

Podczas, na ziemi polskiej sprawy robotnicze układały się ociężale, dola klas pracujących była istotnie smutną, gorzką. Polski robotnik miał najczęściej za chlebodawcę bądź Niemca, bądź żyda, bądź mieszańca, który je-

szcze miłości obywatelskiej dla polskiej ziemi nie żywił a sympatyj dla cudzoziemskiej swej kolebki nie stracił. I stąd stosunki robotnicze układały się ciężko, bo i ci nieliczni przemysłowcy polscy, ci nieliczni, którzy do serca brać chcieli potrzeby robotnicze, ci znajdywali tamę w konkurencyi i obojętności większości a znajdywali mur w postaci inspektorów fabrycznych. Opiekuńczy rząd rosyjski poddał zakłady przemysłowe kontroli, kontroli, której celem i zadaniem było nie zezwolić nigdy na żadne porozumienie między chlebodawcą i pracownikiem. Wszystko odtąd w tym kierunku dziać się mogło z rozporządzenia inspektora... Więc daremnie fabrykant godził się na żądania robotników, daremnie robotnicy czynili fabrykantowi ustępstwa — inspektor nie pozwalał, nie dopuszczał nawet cienia pojednania a natomiast, w najniestosowniejszej chwili, dyktował swoje prawa... Celem tych praw było wdrożenie robotnikowi wiary, iż jedynie pieczołowitości rządu winien jest obronę swych potrzeb, iż chlebodawca każdy jest jego bezpośrednim i nieubłaganym wrogiem.

Jakoż robotnik zaboru rosyjskiego był bliskim uwierzenia w szczerość opieki cesarskiej, uwierzyłby jej może całkowicie, gdyby na szczęście nie porywy satrapów, którzy, wpadając w zapał utożsamniania strejków z polskimi buntami, — zaprzepaszczali jezuickość

programu i uczyli robotników równej nienawiści do fabrykantów i chlebodawców, jak i do samych siebie.

Na ten zsocjalizowany i podminowany materyał padły hasła Atteńczyków, hasła, rojące o czemś potężniejszem niż rok 1848, boć wypowiadające walkę nie tylko autokratyzmowi, nie tylko biurokracyi ale i wszystkiemu temu, z czem zachód Europy dotąd rozprawić się nie zdołał, z czem uwięzł na znaku zapytania.

I polski socyalizm zaboru rosyjskiego wyrzekł się ostentacyjnie myśli o swej odrębności politycznej, wyrzekł się i Galicyi i Księstwa Poznańskiego i wszelkich praw do ziem Podola, Litwy, Wołynia i Ukrainy i stanął na gruncie braterstwa z Rosyą, na gruncie troszczenia się i walczenia o równe prawa dla całej monarchii carów.

Chwila klęsk wojennych była znakomicie wybraną. — Rząd drgnął i zagadał o ustępstwach, widmo solidarnych strejków stało się dlań widmem upadku... Już nie jedna kwestya robotnicza, lecz tysiąc kwestyj naraz targało stopniami tronu...

Socyalizm rozpierał się, panoszył i przybierał postawę dowódcy. Bez niego, w jego mniemaniu, nic się nie działo — ruchy Finlandyi, mordy armeńsko-tatarskie, bunty wojskowe itd. wszystko to socyalizm brał na karb swej mocy, swej zasługi. Ludziom szło o cel,

o przywileje, o prawa, nie ścierali się więc o te laury, unikali rozdźwięku, starali się zlewać w związki i związki te znów między sobą spajali...

Socyalizm wpadł w manję wielkości, nie pojmując zgoła korzyści, jakie nastręczała mu panika rządu, który miał przesadzone wyobrażenia o sile rewolucyi a który nie był pewnym wojska... Socyalizm ogłosił nowy strejk powszechny... i strejkiem tym ogłodził samego siebie, i strejkiem tym odsłonił wszystkie swe słabe punkty, i strejkiem tym zniweczył krwawy dorobek miljonów.

Strejk powiódł się częściowo tylko, strejk wywołał rozłam wewnętrzny i doprowadził do sprowokowania przez rząd wybuchu rozruchów w Moskwie, rozruchów, które tysiące ludzi wydały na rzeź, a rząd pouczyły, iż wojsko trwa przy nim...

I odtąd rząd zmienił front, boć mieć wojsko znaczy panować i rozkazywać... I odtąd rząd tyle akurat myśli i troszczy się o dotrzymanie przyrzeczeń, ile te przyrzeczenia mają dla kapitalistów zagranicznych wartość ewikcyi...

A socyalizm? Socyalizm, widząc swe plany zburzone, wpadł w terror, w terror, zwrócony, jak u nas, nie tylko przeciwko autokratyzmowi ale i przeciwko wszystkiemu, co w kraju nie zmarniało, nie wyszło na dziady, nie uznało Marksa...

Socyalizm rosyjski szamocze się, jeszcze odgraża się wiosną, jeszcze marzy o wyrokach, choć podobno rozumie, iż bodaj dziesiątek mordów politycznych nie ocali go już od wieloletniej niemocy, iż na jedno skinienie rządu, miljony mużyków, za ochłap ziemi, pójdą mordować miasta, równać z ziemią ogniska socyalizmu, tępić bez litości każdą niezdeprawowaną myśl, każdy nie zgięty kark.

A socyalizm polski!?... Socyalizm polski w swej zaciekłości nawet nie chce postrzedz, iż stał się nieomal narzędziem terroru rządowego, uprawnieniem kozacko-skałonowskich represyj, okazyą do podsycania w Rosyi przeświadczenia o polskiej intrydze a sobie samemu wrogiem i zabójcą.

Socyalizm polski nie pojmuje swej porażki, nie widzi, iż bezwzględnie zubożył polskiego robotnika, bo, przez nieopatrzność strejków, doprowadził do podwojenia cen najpierwszych potrzeb a więc na zero wykierował podwyżkę płacy zarobników; bo zrujnował przemysł, otworzył granice dla wwozu, a więc zmniejszył zapotrzebowanie pracy, a więc na nędzę skazał tysiące rodzin!

Socyalizm polski nie pojmuje, iż jego terror z dnia na dzień przysparza mu wrogów, iż, drażniąc uczucia narodowe, gotuje dla samego siebie mogiłę, iż z dnia na dzień zdwaja szeregi swych wewnętrznych przeciwników.

Socyalizm polski myśli, iż dotrze do bezrolnego włościaństwa! Socyalizm pewno nie zawaha się użyć tu bardzo prostego środka i obwieścić. Kto chce ziemi, kto chce mieć własną chatę, własny zagon, ten niech idzie z nami! I socyalizm polski znów polskiej ziemi wyrządzi niezawodnie wiele złego, ale ludowi bezrolnemu dobra nie przysporzy. Dlaczego?! Czyżby u nas klasa „wstecznikόw" była tak potężną, aby zmogła ruch bezrolnikόw? Nie. Jeno, że najpierw rząd zaborczy nie dopuści do zmiany stosunków, a powtóre, bezrolni albo wpadną w silniejszy od obecnego klerykalizm, albo powiększą kadry bezcelowych gwałtowników, z którymi już i socyalizm się nie upora, jak zresztą i dziś uporać się nie może z nadużywaniem swego imienia dla pospolitego rabunku i rozbojów.

Socyalizm polski zaboru rosyjskiego, miast być tem, czem być powinien: stopniem (jednym z niższych), wiodącym do rozwoju, stał się ciasnem, tyranizatorskiem doktrynerstwem, nie liczącem się ze stosunkami, z warunkami. Socyalizm ten dla tłumu głodnego, egoistycznego, ma niby na przynętę polepszenie jego bytu, ale ma to tylko, co zapewnia każdy godziwszy ustrój społeczny, ale i ma dlatego, aby ten tłum za sobą pociągnąć i zamienić go w miazgę, w mięso dla armat, karabinów i nahajek! A dalej — socyalizm polski ma tylko

to, co ma każdy socyalizm, a więc niewolę, tylko przemoc, tylko szpiegostwo, biurokratyzm i autokratyzm gorszy od samowładztwa cesarskiego; bo samowładztwo jest choć tą wielką, niezdarną, pierwotną młockarnią, która, bijąc na oślep snopy, nie ma możności wszystkich wyłuskać kłosów — socyalizm zaś jest tym wymyślnym aparatem-argusem, żadnemu nie przebaczającym ziarnu. A dalej — socyalizm polski jest tym jednostrzałowym karabinem, który w rękach dzikiego murzyna, nabiera wartości ostatniego wyrazu mechaniki puszkarskiej!

Tak, socyalizm, jako pełnia teoryi, nie jest nawet tem światłem, które by zdolne było dźwignąć nas, bodaj w skórze międzynarodowców, ku lepszemu ustrojowi, — bo socyalizm, jako pełnia teoryi, jest burżujstwem, ciasnotą, jest strzępem wielkich myśli, jest już miernotą.

Podznaczmy wyrażenie jako pełnia teoryi, podznaczmy je dlatego, iż nawykliśmy bezwzględnie wszelkie robotnicze ruchy utożsamiać z socyalizmem, iż nawykliśmy, nie wiadomo dlaczego, każdą dążność do sprawiedliwszego podziału zysków zapisywać na dobro socyalizmu!

My, na ziemi polskiej, żyjemy w warunkach wyjątkowych, my tu musimy być tymi rolnikami, którzy, napatrzywszy się z poza płota

siewnikowi sąsiada, sięgają po płachty i z miłością cerują je i łatają — łatają, bo w nie przyjdzie ziarna sypać i z nich garściami siać... I my, jak ci rolnicy biedni, znamy doskonałość siewników ale my, jak ci rolnicy, zniewoleni jesteśmy czcić nasze płachty podarte i z miłością je cerować...

I tych prawd wzbraniają się poznać ateńscy menerzy socyalizmu.

I tym menerom zdaje się, iż, wysuwając stare prawdy o małej wartości patryotyzmu, o wszechświecie, ludzkości, odkrywają Amerykę, że kształcą lud, że go nie odrywają od płachty siewczej, bez której ten lud nie zdolen jest nigdy zarobić na siewnik.

I lud słucha — i zdaje mu się, że istotnie socyaliści niemieccy, rosyjscy lub francuscy uczynią dlań coś, coś poświęcą, coś wywalczą!! I lud myśli, że doprawdy pan Bebel jest tą siłą, która zgniecie hakatę, że socyalizm Gorkiego przeszkadza mu w żywieniu ku Polakom, lekko mówiąc, „niechęci“, że socyalizm udaremni wybuch judenhecy i pohlenhecy, że ten socyalizm jest już tem braterstwem ludów, które, w imię tego braterstwa, bez upominania się, bez sporów i walk, będą oddawały sobie wzajem obszary nieprawnie nabytej ziemi a współzawodnictwo ekonomiczne przekują na berło miłości bliźniego!

Bo i lud polski zaboru rosyjskiego nie dźwi-

gnął się jeszcze tam, gdzie sięgnął lud poznański, ten lud, który już zrozumiał, że i za socyalizmem staje hakatysta, że socyalizm ma swą racyę bytu na krótką mętę poprawienia i unormowania bytu i że klątwa niewoli wymaga, aby i ten mały socyalizm był patryotycznym i aż do zapamiętania o tradycye narodowe zazdrosnym.

Tak, tak socyalizm! A zatem i zasada przeciwdziałania nadprogramowej pracy, przeciwdziałania gromadzeniu przez jednostkę bogactwa, zmuszanie jej do wydawania, do n i e o s z c z ę d n o ś c i...

No tak, i w tym kierunku, naród polski jest zupełnie socyalistycznym... bo pracuje mniej niż wymaga program, wydaje nad stan zawsze, no, a o oszczędności myśli chyba tam, gdzie jest wyznawcą Starego Zakonu.

„Socyalistyczna“ Francya, Francya proletaryacka pięćdziesięciofrankowymi wkładami robotników, rzemieślników, drobnych wyrobników i przekupniów pokryła wszak siedm miljardów pożyczki rosyjskiej (o czem u nas mało kto wie), no i podobno, z tego wyniku oszczędności, żaden socyalista francuski uczynić zarzutu swemu narodowi by się nie ośmielił.

Socyalistyczna Francya, — na to upomina się o wypoczynek niedzielny w fabrykach... aby robotnik i robotnica tem zajadlej mogła

pracować w dzień ten dla domu, aby mogła mieć dodatkowy zarobek, lepiej płatny z posług świątecznych.

Socyalistyczna Francya! Wszak ci całe jej bogactwo, cała jej widoczna przewaga wytwórcza tkwi właśnie w nieświętowaniu, w zredukowaniu dni świątecznych do połowy, w wyrzeczeniu się drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek, w wykreśleniu trzech czwartych świąt na cześć Matki Boskiej. A wykreślenia te nastąpiły, za zgodą duchowieństwa, a nie, jak myślą nasi świętoszkowie, dla dania wyrazu bezreligijności.

U nas poczucie obowiązkowości jest rozwinięte słabo. Polak przeciętny jest lichym pracownikiem, nie mogącym dotrzymać w dokładności i systematyczności ani Anglikowi, ani Niemcowi, nie ma zręczności i zapału Francuza, nie ma flegmy zawziętej mużyka. Polak nietylko nie wyrzeka się świąt, ale rad je sobie stwarza, wynajduje dla usprawiedliwienia żyłki próżniaczej.

Juści tam, gdzie, jak w Poznańskiem, twarde warunki bytu potrafiły pracownika polskiego przeobrazić, tam pracownik polski jest innym, ale jest i tak innym już, że nieomal niepodobnym do rodaka z zaborów rosyjskiego lub austryackiego.

Przeciętny pracownik polski, przyciśnięty

do muru, nadrabia niby nerwami czas zmarnowany, ale na tem nadrabianiu jakość pracy nie wychodzi dobrze, ale to nadrabianie sprawia to, że przemysłowiec chętnie sprowadza robotników-cudzoziemców, że, płacąc im drożej, zyskuje na nich więcej.

U nas zaaklimatyzowało się przekonanie, że przemysłowcy Niemcy, Belgijczycy i Francuzi bojkotują polskie siły robocze, że z celem politycznym, że dla szowinizmu do zakładów przemysłowych na ziemi polskiej sprowadzają ziomków! Tymczasem to przekonanie mogłoby być stosowanem do kilkudziesięciu naczelnych posad w hierarchii przemysłowej, do Poznańskiego wreszcie, ale nigdy do zaboru rosyjskiego. Przemysłowiec cudzoziemiec jest najpierw groszorobem, a potem patryotą... Przemysłowiec cudzoziemiec wyrzekł by się swych rodaków, gdyby na miejscu znalazł siły odpowiednio uzdolnione a mogące konkurować! Uczynił by to nie z poczucia obywatelskiego dla ziemi polskiej, lecz z interesu. Ta ostatnia pobudka jest zaś zawsze niezawodną.

I w tej kwestyi tkwi groza położenia polskich pracowników i z tą kwestyą ruch robotniczy polski, w opętaniu swem rewolucyjnosocyalnem, nie liczy się; nie pojmuje, że gdyby dziś mocen był objąć wytwórczość na kollektywną własność, to jeszcze byłby parjasem, to i jeszcze byłby proletaryuszem Europy.

Pracownik polski nie świadom jest podobno, że taryfy protekcyjnej, z której korzysta przemysł jarosławski i środkowo-rosyjski, na pognębienie Łodzi, nie da sobie odebrać brat, kompan, współbojownik, robotnik-Rosyanin... Bo ta taryfa protekcyjna jest dlań omastą i jest zyskiem. A czy z tego zysku korzystają jednostki czy gromady robotników rosyjskich, to, w tym razie, zarówno jednostki, jak i gromady, staną murem przy rządzie i nie ustąpią nic zarówno dla polskich przemysłowców, jak i dla polskich związków robotniczych.

A menerzy socyalizmu polskiego, Atteńczycy!? Ich ideowość — ich ideowość ociera się nadewszystko o chęć władzy, chęć panowania. Menerzy socyalizmu są tym samym żywiołem, który w monarchiach tworzy republikanów, w republikach monarchistów, bezwyznaniowców w Rzymie, męczenników chrześcijaństwa śród bałwochwalców. Menerzy socyalizmu są tymi zdolnymi, lecz niekarnymi, duchami, które szukają dla siebie własnego tronu, które, miast walczyć o palmę pierwszeństwa w powszednich szrankach, wycofują się z zapasów i głoszą, że zapasy nie mają sensu, są tymi utalentowanymi samolubami i egoistami, którzy własną pychę umieją tylu osłonkami skromności, tylu szyldami dobra publicznego otulać, że, zanim lud postrzeże się,

oni już dźwignęli się, porośli w pierze, na nowych panów i magnatów się wypromowali.

I tacy menerzy w społeczeństwach zwartych, wolnych politycznie, bywają nawet bardzo pożytecznymi, bo przyczyniają ruchu, bo pracują na ewolucyę, bo są tymi rękoma, które zapierają się o szprychy kół ugrzęzłego woza i ciągną go na to w tył... aby wóz tem łatwiej i szybciej mógł być pociągniętym przez konie naprzód. Lecz tacy menerzy, w naszych opłakanych stosunkach polskich, to rozłam, to nowa rysa na spękanym murze, to nowa waśń w domu niezgody, to Herostratowi rycerze, to ratownicy, naftą gaszący pożar, to o tyle nie przestępcy, o ile silną w nich jest dobra wiara w głoszone przez się zasady.

DZIECI CZOŁEM NARODU.

Wypowiedzenie posłuszeństwa. — Potęga sztuby. — Łzy i skargi. — Rodzina i szkoła. — Strejk dzieci. — Uprzytomnienie blizkiej przeszłości. — Kto uświadamiał. — Wyższe zakłady naukowe. — Września i Lublin. — Szkoła bez praw. Drożyzna i brak ofiarności. — Przykład o księciu. — O smarkateryi sztubackiej i niedowarzonej młodzieży.

Dzieci, ku zgrozie naszych statystów, wysuwają się na czoło narodu, dzieci rządzą, dzieci tyranizują partye, dzieci ferują wyroki, dzieci panoszą się, wypowiadają posłuszeństwo!

Oto skargi i żale, głoszone nietylko przez uczciwych ojców zaściankowców, ale nawet i przez sterowników opinii publicznej.

Tak, do niedawna, gołowąsa młodzież darła się do wywierania wpływu nawet na politykę, dziś młodzieży uniwersyteckiej przybyła z sukcesem sztuba, i sztuba nie żadna wyższa, lecz pospolita, bakalarska, gryząca dopiero orzechy czterech działań i accusativusa cum infinitivo, sztuba.

I na nic wszelkie wywody naszych pedagogów, na nic akcya rodzicielska, na nic moralne nauki przewodników duchowych, dzieciarnia się rozbisurmaniła i słuchać nie chce!

Rodzice załamują ręce, nawołują ojcowie ojczyzny, otrząsa się z goryczą mąż zasłużony, — sztuba wpada w szał, buntuje się, wypowiada posłuszeństwo, puszcza w obieg ob-

wieszczenia, wydaje świadectwa nieproszone, potępia, karci, skazuje w tłoku niewinnych, drwi z pogróżek, strejkuje, stawia warunki, układa polityczne programy.

Sztuba staje się siłą, potęgą, stanem.

Statysta, poseł, przewodnik partyi, pan gabinetowy truchleje, drży przed sztubą, dobiera wyrazów, lawiruje a choć w ciszy czterech ścian klnie smarkateryę, pomstuje na żakostwo, na dzieciarnię, jednak boi się jej zadrasnąć, boi potępić, boi tknąć, gdyż instynktownie zgaduje, że przed tą sztubą, przed tą smarkateryą nie obroni go nawet legjon dojrzalców tak samo jak on, mąż gabinetowy, czujących, myślących i pomstujących.

Cha, i nie dość! Przed sztubą drży nietylko pruski belfer, lecz i nauczyciel polak z krwi i kości, sztuba bowiem sądzi go, krytykuje a dopiero dalej słucha. Przed tą sztubą drży polski arcybiskup i biada, że dzieciarnia zabrania mu wizytacyi szkół polskich w Warszawie, że nie ocenia jego patryotyzmu, który przez szereg lat był głęboko rozumnem całowaniem pręgierza oprawcy! Przed tą sztubą drży pruski rząd, o sztubie tej zagadał cały świat od końca do końca, zagadał tak, jakby z grobu powstały racławickie kohorty, jakby pieśń legjonów zagroziła potędze trzech mocarstw.

I sztuba wysuwa się na czoło narodu, a naród wzdycha, biada na „nieusłuchanie“ dzie-

ciaków i, niby kwoka, która wysiedziała kaczęta, gdacze nad stawem, zdumiewa się odwadze pływackiej swego pokolenia, lecz ledwie na bieganie na brzegu zdobyć się potrafi.

Naród utyskuje na swe własne dzieci! Akrobata cyrkowy, który pół życia strawił na łamańcach, wyrzeka na syna, ileże ten woli chodzić na nogach niż na rękach.

Naród utyskuje na swe własne dzieci! — Paw, któremu odcięto skrzydło, skarży się na to, że pisklęta jego mają skrzydła. Kaleka bez ręki nie pojmuje, jak śmie jego potomek nie być kaleką przed okaleczeniem.

Naród utyskuje na własne dzieci! — Ogrodnik zasiał groch i biada, że mu nie wyrosła marchew. Zmurszały jawor nie może pojąć, dlaczego młode jego pędy grają sokami, dlaczego nie rodzą się tak jak on zmurszałe, tak jak on skręcone, a sękate.

Naród utyskuje na własne dzieci! — Toć rzecz śmieszna, równie śmieszna jak smutna, jak bolesna, boć znacząca, że naród, skarlały w jarzmie, już własnej wyrzeka się przyszłości, już by chciał w dzieciach swych widzieć cherlaków, już zatraca wyobrażenie o tem, co jest naturalny, nie niewolniczy odruch, już wypiera się, aby mógł zdrowe wydać pokolenie, już wzdycha, że jego młodzież, jego potomstwo nie rodzi się z fałszem, obłudą i tchórzostwem w zanadrzu!

Tak, to zaiste, sprawa bolesna i smutna.

Ową krnąbrność polskiej dziatwy nasi wychowawcy zwalają na szkołę, w długich a pięknych wywodach przypisują całą winę germanizatorskiemu i rusyfikatorskiemu szkolnictwu, wyrzekają na pedagogję, na ustrój zakładów naukowych itd. itd. I nasi wychowawcy, ojcowie i przewodnicy tak przemawiają wymownie, tak podniośle, że zdawać by się mogło, iż, gdyby na ziemie polskie spłynęła gromada jakichś idealnych nauczycielów Niemców i Rosyan, gdyby na rzecz szkoły polskiej jakieś drobne poczyniono ustępstwa, dzieci polskie zaniechałyby krnąbrności, młodzież polska przestała by psuć i łamać szyki naszym politykom, a wybuchami swych protestów narażać na spazmatyczne zwroty całe społeczeństwo.

I, według tych znawców, wina cała spada na szkołę!...

I zaiste możnaby się dać przekabacić na wiarę tej mimowolnej kazuistyki, możnaby nawet zapomnieć o tem, że dzieci polskiej szkoły galicyjskiej, szkoły ani nie wrogiej, ani nie wynaradawiającej, potrafią zdobywać się na ruchy bardzo podobne do ruchów zaboru rosyjskiego i pruskiego, można by poddać się temu twierdzeniu, gdyby nie okoliczność, iż szkoła w wychowaniu młodego pokolenia zajmuje miejsce wtóre, że pierwsze miejsce przypada rodzinie, że nieposłuszeństwo dzieci pol-

skich w równej mierze, a bodaj w większej, dotyka rodziny.

Wszakże ostatni strejk dzieci w Królestwie Polskiem był strejkiem, skierowanym tak samo przeciw szkole, jak i przeciw rodzinie i najbliższym opiekunom. Wszak ci ośmdziesiąt procent najbliższych opiekunów strejkujących dzieci dokładało starań, aby zażegnać burzę, aby powrócić zbuntowanych szkole i wszakci cała powaga rodzicielska rozbiła się o upór i zapamiętałość „smarkateryi"... i cała powaga rodzicielska musiała ustąpić przed „smarkateryą"...

— Ach, bo pan nie masz pojęcia, co to za niesforna ciżba! — Ach, panie, jak żyję, nie słyszałem czegoś podobnego, niedorostek, panie, mnie, człowieka starego, uczyć chce patryotyzmu! — Panie, toż z tem rozwydrzeniem ani prośbą ani groźbą, sam prowadzę paupra do gimnazyum i cóż z tego! Jeden drugiego psuje, zaraża!

Oto wzór skarg rodzicielskich, których chyba głuchoniemi nie słyszali!

Ba, gdyby do tych skarg dodać jeszcze żale na młodzież wyższych zakładów naukowych, wypomnieć bodaj jedną tysiączną część tych gorzkich uwag o zwichniętych karyerach, o szalonych głowach, o toć już zaiste możnaby nabrać przekonania, że młodzież polska jest klątwą własnego narodu, że jest hamulcem, uda-

remniającym wszelki jego rozwój, że jest taranem, druzgoczącym wszelką pracę twórczą mężów i obywateli. I przekonanie takie byłoby niezawodnie słusznem, gdyby ta dziatwa polska i ta młodzież była żywiołem wychowywanym i wzrastającym w dali od polskiej ziemi, polskiej rodziny, gdyby niemowlęta polskie odbierano matkom i gdyby je skazywano na życie i przebywanie śród żywiołu obcego!... Ale przecież tak nie jest, ale przecież dziecko polskie najpierw ulega wpływowi rodziny, a potem szkoły!...

Tak rodzice, a za nimi naród cały wyrzekają na dzieci i przypisują winę szkole... A szkoła rusyfikatorska i germanizatorska zgrzyta zębami, wypiera się ze swej strony własnych błędów i wskazuje na polską rodzinę, jako na konspiratorkę, jako na fanatyczną krzewicielkę patryotyzmu, jako na rozmyślną burzycielkę spokoju szkoły!

Obie te racye znajdują zwolenników. Jedna pośród rodzin polskich, druga pośród władz zaborczych rządów, i obie te racye, co zabawniejsze, dla każdej ze stron są uzasadnieniem postępowania... Więc rodzina polska wierzy istotnie w swój patryotyzm, a szkoła w celowość swego systemu. Żadnej ze stron wojujących nie przychodzi na myśl, że bunty dziatwy polskiej są buntami najpierw przeciwko tchórzostwu i ugodowości polskiej ro-

dziny, a potem przeciwko bezcelowości rusyfikatorskich i germanizatorskich szkół.

Patryotyzm rodzin polskich?! Bezwątpienia przykładów dość możnaby nanizać, lecz przykładów, które zdolne są dać sporą ilość pięknych wyjątków, ale które nie zezwolą na dobycie z nich żadnego ogólnika, żadnego prawidła. Natomiast, dość na chwilę zapomnieć o tych przykładach, dość w najbliższem rozejrzeć się otoczeniu, aby postrzedz, iż cechą najznamienniejszą polskiej rodziny jest tchórzostwo polityczne, jest dążność do dławienia w dzieciach ideałów, do wtłaczania ich w karby niewoli, do wskazywania im na karyerę materyalną, jako na jedyny cel, do zaprawiania ich do fałszu, obłudy i kłamstwa.

Sprobujmy, dla lepszego pojęcia, przypomnieć sobie czasy Hurków i Apuchtinów, jako chwile zaczątków stanowczego rozłamu między szkołą, rodziną i młodzieżą.

Przeciętna rodzina polska, wbrew wszelkim mniemaniom, wcale a wcale nie troszczyła się o unarodowienie dzieci... Ojciec z matką strzegli się rozmów politycznej natury wobec dzieci, na dziesięć zamków zamykali każdy skrawek zadrukowanej bibuły, mogącej rozniecić jakieś nielojalne uczucia w młodych umysłach, a jeżeli przypadek zdarzył, iż w czterech ścianach padł jakiś śmielszy wyraz, to

oboje rodzice starali go się wyrwać z pamięci dziecka.

Dziecko uczyło się niby czytać i pisać po polsku, lecz uczyło się tyle, aby mogło tem łatwiej i dzielniej zabrać się do kirilicy i wypisów rosyjskich Poliwanowa.

Zjawienie się tych wypisów było kresem domowej nauki polskiego języka, bo rodzina cała, wraz z przygotowywanym do szkoły malcem, wpadała w odmęt udarenja, zabiegała byleby korepetytor ciągle z chłopcem po rosyjsku mówił, byleby chłopiec w niczem czystości rosyjskiego języka nie uchybił. Praca rodzin polskich była w tym kierunku tak gorącą i zabiegliwą, że tylko głupota Apuchtina mogła nie mieć dla niej uznania.

Chłopak, podczas, z mniejszem lub większem posłuszeństwem poddawał się inkwizycyi i może by raz na zawsze wsiąknął w poglądy wypisów Lew Poliwanowa, gdyby bystrość dziecka nie czuła fałszu, gdyby ciekawość nie kłoniła je do podsłuchiwania, szeptem prowadzonych rozmów, gdyby instynkt nie dał mu odgadnąć wymijających półsłówek, któremi zbywano je, ilekroć zawadzało mimowoli o jakąś kwestyę narodową.

Wejście chłopca do szkoły bywało zazwyczaj pierwszem dlań uświadomieniem, boć wejście to było zazwyczaj taką burzą rozpraw o wakansach, łapówkach, plecach i protek-

cyach, że najczujniejszy ojciec nie był zdolny ustrzedz przed nią syna.

Po tem pierwszem uświadomieniu następowała już wręcz unaradawiająca praca obrusitielej... Nauczyciel z każdej sposobności korzystał, aby w dziecku „patryotyzm, wyssany z piersi matki“ zgasić, no i był tym moralizatorem młodzieży, tym spowiednikiem, który, docierając do zła, usiłując skarcić zepsucie, — zadaje pytania, podejrzeniami zasypuje, nieci skry, chcąc zagasić te, których nie było.

I chłopak wracał ze szkoły, wracał z rozterką i skarżył się rodzinie i w niej szukał rozwiązania dla swych zwątpień. Rodzina najczęściej, wobec własnego dziecka, politykowała, unikała starannie jasnych odpowiedzi, a w wypadku silniejszego podniecenia, zdobywała się na słowa potępienia dla szkoły.

I chłopiec bardzo wcześnie przyzwyczajał się do łajdactwa szkoły i rozumiał, że cała kwintesencya jej polega na walce zajadłej nauczyciela z uczniem, walce, w której pierwszy ma zadanie drugiego zmiażdżyć i w walce, w której rodzina jest tylko bezsilnym i biernym widzem. I chłopiec bardzo wcześnie rozumieć zaczynał, iż tam, gdzie wymaganie szkoły ma podkład polityczny, choćby podkładu tego pozór, tam milknie zarzut, tam ojciec nie ma prawa do wymówek, tam on,

sztubak, staje ponad żądaniami rodziny i wymaganiami szkoły.

Rodzice i opiekunowie, postrzegając odruchy dzieci, biadali, wyrzekali, wszelkich sił dokładali, aby do rozsądku przemówić i do bezwzględnej obłudy dzieci swe nakłonić. Bogatsi złotem mościli drogę swym synom, oddawali ich na opiekę nauczycielom, słali do zakładów w głębi Rosyi. Biedniejsi wpadali w szał perswazyi, której osią było przyznanie synowi słuszności, ale i tem większe wystawienie zasady, że głową muru nie przebije, że na niegodziwość szkoły nie ma sposobu, że patryotyzm jest piękną ideą, ale chleb i stanowisko pewniejszą i ważniejszą i że droga kłamstwa jest jedynym punktem wyjścia, że wszelki protest jest bezcelowym i zabójczym, że każde drgnienie jest dobrowolnem zaciskaniem węzła na szyi, że stracić można i to jeszcze, co jest, a nic nie zyskać.

Posiew ten plonował i plonował długo. Młodzieniec, jeżeli zdołał przebyć Scyllę i Charybdę pierwszych kursów wyższego zakładu naukowego, był ocalonym dla planów rodziny! Juści był tem pewniej ocalonym, o ile zamożność ojca pozwalała wysłać syna za granicę lub wcisnąć go między młodzież rosyjską w Petersburgu, Moskwie lub Charkowie!

I plon był, był obfitym — całe pokolenie samolubów, Piłatów, bezwyznaniowców poli-

tycznych, lawirantów idejowych, tchórzów wypływało na widownię życia społecznego.

Student pierwszego kursu był płomieniem — ale i ten sam student, u progu ostatnich egzaminów, był tylko żuzlem, był już, upragnionym przez rodzinę, linoskokiem, rojącym o posadach w Rosyi, o plecach u Moskali, a lubiącym przebąkiwać o nierozwadze młodzieży. Cha, i dobrze i szczęśliwie jeszcze bywało, gdy niedawny, wczorajszy zapaleniec nie przedzieżgał się wprost w obrusitiela, gdy nie stawał sam w szeregach nauczycielów gimnazyalnych, gdy na wybitnem stanowisku nie zapominał o swem polskiem pochodzeniu.

Długo pierwsze kursa wyższych zakładów naukowych były jedynym wirem, w którym młodzież polska, niby żegnając się ze swą ideowością, niby stając u progu obskurantyzmu narodowego, wpadała w konwulsyjne wybuchy patryotyzmu. Wir ten długo trwał w miejscu, daremnie usiłował pójść wyżej, ku starszemu, dojrzalszemu pokoleniu — aż, szukając dla się ujścia, zaczął staczać się, ogarnął sześcio i ośmioklasistów, wreszcie sztuby, wstępniarstwo, bakalarnie.... A choć kresem tego wiru został po dawnemu karjerowiczowski rozsądek, owe westchnienia faryzeuszowskie tych, co radziby żakostwu przyklasnąć, gdyby pełne misy chodziły w parze z ideałami, jednakże

ten wir już targnął ustrojem społecznym... I jak targnął!!

Nic tu nie pomogą wykręty, łgarstwa i kazuistyka rozmaitych wielkich i małych prowodyrów społecznych, usiłujących w ten lub ów sposób sobie przypisać to, co stało się i dzieje za sprawą serdecznego, szczerego porywu dzieci i młodzieży polskiej.

Rodzina polska (szczególnie zaboru rosyjskiego) nie uczyniła nic, aby energicznie poprzeć skargi i żale swej dziatwy. Rodzina polska ani razu nie umiała zrzeszyć się dla kategorycznego wyłożenia swych żądań. Rodzice przyjmowali potulnie wszelkie, bodaj najbezprawniejsze zarządzenia władz szkolnych, nie próbowali nawet wówczas kołatać o prawa, gdy kołatać było można. Nasi wpływowi rozmaitego pokroju, nasi bojownicy od zrównania przywilejów rosyjskich z przywilejami polskimi, nasi apostołowie katolicyzmu, nasi działacze od pomników i sztuk, nasi twórcy doniosłej polityki, nasi panowie, mający otwarte wrota do zamków i pałaców cesarskich i wielko-książęcych, — sposponowali sprawę dzieci polskich, ani myśleli, aby dolę młodzieży można było poprawić, aby zabieganie, bez widoków powodzenia, miało sens.

I dziatwa polska sama rzuciła się do walki, do protestów, młodzież dorwała się do steru opinii publicznej.

Jedna Września uczyniła podobno więcej dla imienia polskiego niż całe trzydziestolecie pozytywnego podawania pleców na baty, realnego przekonywania się o samoniedołęztwie i bezsilności!

W odpowiedzi na jęk dzieci wrzesińskich serca młodzieży jeszcze żywszem uderzyły tętnem; w odpowiedzi Wrześni dzieci lubelskie zażądały wykładu religii po polsku i dopięły celu, dopięły tak szybko, iż mężowie statyści ledwie nadążyli przypisywać się do... „smarkateryi"... Tu był początek strejku szkolnego — był już przed kilku laty.

Ale nasze społeczeństwo jeszcze z tych zapowiedzi nadciągającej burzy nie myślało brać dla się wskazówek, jeszcze spało, jeszcze drzemało na postulacie, iż choć tak, jak jest — jest źle, ale może być t y l k o gorzej...

I cóż potem?... Wszak to czasy ledwie minione, ledwie przebrzmiałe. Kto miał oczy ku patrzeniu, ten widział, i odwagę dziatwy, i przestrach rodziców i bezradność, i ciągle ugodowe westchnienia ku obrusitielom, i mitygowanie uporu dziatwy i skrajność tej ostatniej, i wiece, na których rodzice z obrusitielami pospołu mówili sobie o patryotyzmie polskim, i rezultat strejku, rezultat bezwzględnie, w ogólnej sumie wielki, potężny i tak potężny, iż szczerby, poniesione przez młodzież i dziatwę

wskutek stracenia bodaj i dwóch lat nauki, są niczem, są drobną krzywdą jednostek.

Lecz kto miał oczy ku patrzeniu, ten widział jeszcze i to uczucie zawodu, z którem społeczeństwo polskie zaboru rosyjskiego powitało zmartwychwstanie polskiej szkoły! I wielkiego zawodu, boć szkoła polska była szkołą bez praw! Bez praw! Bez praw! — Społeczeństwo polskie nie wahało się z całą otwartością wyznać, że szkoła polska bez praw nie ma dlań wartości, że dla dzieci swych pragnie nie wiedzy, nie nauki, nie moralności, nie rozwoju umysłowego, ale najpierw kwitów na państwowy rozum, na państwową drogę życia! Szkoła polska „bez praw“ aż rozgoryczyła zabór rosyjski, rozgoryczyła nawet i tych, którzy tak często i tak głośno lubili rozpowiadać o tem, czem by się szkoła stać mogła, gdyby w godziwe oddaną była ręce! Aż dopiero nielada trzeba było perswazyi, aby obudzić nadzieję, iż owe upragnione „prawa“ przyjdą, aby wskazać na oczywistość prawdy, że rząd nie może sam zgodzić się na wytwarzanie klasy inteligentów „bez praw“, że przyznawanie praw choćby i Polakom jest jego celem, otwarciem klapy bezpieczeństwa, a nie żadną cnotą. Aż dopiero, po wylaniu oceanu łez, zasmarowaniu stosów bibuły dezyderatami na temat, co robić ze szkołą bez praw, zabrano się do pracy i zabrano się znów pod naci-

skiem i gniotem dziatwy, gniotem już spotęgowanym, bo nareszcie wspartym i przez odłam stronnictwa politycznego.

Ale i tu jeszcze zawiódł by się ten, kto by, z oddali sądząc o sprawie szkolnicwa, mniemał, iż, jeżeli ono nie zdołało, dzięki gadzinowej władzy, ruszyć pełną siłą pary, to przynajmniej stosunek rodziny do dziatwy i młodzieży uległ radykalnemu uzdrowieniu! Gdzie tam. Nadewszystko unarodowiona szkoła polska stała się geszeftem, obliczonym na ruble i duże ruble. Mimo frekwencyi i właśnie dla frekwencyi jest drogą, ponieważ od poświęcającego się dla ojczyzny przełożonego począwszy, a na ostatnim pedlu polskim skończywszy, każdy z pracowników szkoły polskiej chce nietylko bytu, ale i dobrego bytu. Na drożyznę wpływają niezawodnie i względy uboczne — aleć wzgląd na własną kieszeń panów przełożonych waży najtęższej.

Podczas rodzice ubożsi bokami robią i czekają, aby gniot opinii osłabł a z nim razem nastała albo rządowa szkoła polska, albo żeby wróciła możność oddania dziecka do tej samej, dawnej szkoły.

Tak czy owak obecna szkoła polska w zaborze rosyjskim jest dla większości niedostępną i przechodzącą możność przeciętnego człowieka pracy. Węzeł mogłaby rozstrzygnąć ofiarność — ale ofiarność polska, wbrew na-

szemu przeświadczeniu, jest i była zawsze skąpą — a, już wobec nędzy i ruiny przemysłowej Królestwa, bezsilną. Nauka jest wprawdzie chlebem dla ducha — ale tam, gdzie brak chleba dla ciała, głód ducha schodzi na plan drugi.

I zaiste rzecz dziwna, rzecz osobliwa! Wszak i nasi nieliczni miljonerzy cierpią na manję wielkości, wszak i nasi magnaci łamią sobie głowy bardzo często, jakby istnienie imienia swego przedłużyć, mówiąc po ludzku, uwiecznić! A przecież w żadnym podobno kraju na kuli ziemskiej nie może taki miljoner łatwiej zostać wiekopomnym dobrodziejem!! Toć, jeżeli takiego księcia Czartoryskiego obliczają na siedmdziesiąt czy pięćdziesiąt miljonów majątku, a więc majątku, który już staje się bezwładną kolubryną kapitalistyczną, której właściciel ani nie zdolen jest ogarnąć pamięciowo, ani uczuć w niej straty, bodajby dwumilionowej — toć chyba żaden człowiek na świecie równie łatwo, i lekko nie mógłby zarobić sobie na nieśmiertelność, jak ten właśnie książę Czartoryski! Toć dwumilionowa fundacya, przy piątym procencie, opłacała by naukę dziesięciu tysięcy dzieci polskich rocznie (licząc po sto rubli na wpis)! Toć mogłaby zagwarantować dwudziestu tysiącom analfabetów (licząc po pięćdziesiąt rubli na głowę!) naukę bezpłatną, roczną! Toć za dwa

miljony rubli możnaby uzdrowić Królestwo, na równe nogi dźwignąć Galicyę, mieć pomnik na Skałce, stanąć pośród patres patriae!...

Ach, taka ofiara! Takie ofiary przechodzą miarę altruizmu, myśl o takich ofiarach znaczy urojenie tego człowieka, który nie posiadał nigdy i tysiąca rubli w majątku!

A przecież, bez takiej ofiarności bogactwo jednostki jest tylko prowokacyą nędzy, jest usuwaniem się dobrowolnem tam, gdzie jednostka wyrzeka się obowiązków dla społeczeństwa ale i gdzie społeczeństwo ma prawo usunąć się od jednostki.

Ale bo nie w tem rzecz, aby księcia Czartoryskiego dręczyć szczególniejszą pretensyą o to, czego uczynić nie chce, nie może, lub, według innego światopoglądu, nie powinien — a w tem jedynie, iż ofiarność nasza jest ubogą, iż duch obywatelski nikłym, bo dalekim od czynów, bo uprawiającym ćwierćśrodki.

Prawda, zdobyliśmy się już na Macierz Szkolną, posiedliśmy instytucyę niepożytej wartości... lecz czy na długo!?... Czy zdołamy utrzymać ją, czy też skażemy ją na taki sam suchotniczy żywot, jak w Galicyi?

Prawda, od roku blizko z dnia na dzień czasopisma polskie w Królestwie wypełniają wiadomości o rozmaitych na rzecz „Macierzy“ podejmowanych składkach, balach, widowiskach i zabawach! Prawda, co dnia przybywa

nam nowy prezes nowego Koła... co dnia liczba delegatów do zbierania datków wzrasta... szkoda, że nie wzrasta liczba dających!... Co gorsze narodziny „Macierzy“ zeszły się z taką powodzią fundowania, a raczej zakładania bez pieniędzy instytucyj społecznych, że aż drżeć trzeba, aby Macierz ta najkardynalniejsza nie poniosła klęski, aby nie zaczęła zamykać szkół.

Wieloliczne, niewyczerpane nasze potrzeby zapewne aż nadto dokuczają naszym potentatom finansowym. Nasi potentaci dają — ale ta ich ofiarność rzadko bywa radykalną, ledwie czasami połowiczną, częściej jest tylko wpływaniem na sporadyczne zahamowanie rozwoju danej niedoli niż na jej zmniejszenie.

Myśl, iż wielkie poświęcenie może jedynie wielkich dzieł dokonać, nie ma jeszcze u nas i tyle siły, aby rozwiązać worki.

Sprawa szkoły polskiej w zaborze rosyjskim jest więc jeszcze na rozliczne wystawiona przeszkody i może zginąć tak dobrze w nurtach reakcyi czy hakaty, jak uwięznąć na braku funduszów.

Jeżeli atoli szkoła polska pod zaborem rosyjskim przetrwa, to zasługa stąd cała tylko dziatwy polskiej, tylko tej wątłej, krnąbrnej i „nieusłuchanej smarkateryi“, tylko tej, psującej kanwę polityczną naszym statystom, a i dalej „niedowarzonej“ młodzieży.

I ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedowarzona“, jak szła, tak i iść będzie dalej na czele narodu i ona dalej stanowić będzie prawa zarówno w Warszawie, jak i w Krakowie, Wilnie, Poznaniu i Lwowie.

I przed tą smarkateryą sztubacką i przed tą młodzieżą niedowarzoną drżeć będą i partye, i luminarze partyj, i posłowie, i mężowie stanu, i obrusitiele, i germanizatorowie, i klerykali, i wolnomyślni, i postępowcy, i konserwatyści, i ludowcy, i demokraci i socyaliści, i obojętni i samolubni i polakożercy.

Tak, będą drżeli, jak drżą w tej chwili, jak drży kłamca wobec prawdy, jak drży każdy najdrapieżniejszy zwierz, wobec siły mu nieznanej, nie dającej się ogarnąć, przewidzieć.

A dlaczego? Dlatego, że i ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedowarzona“ egoizmowi przeciwstawia altruizm, fałszowi otwartość, zajęczym sercom odwagę, przesadzonym legendom o wczorajszej grozie wiarę w siebie, samowoli bunt, podstępowi pogardę, bezcelowości cel.

I dopóty ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedowarzona“ będzie czołem narodu, dopóki naród nie ocknie się, dopóki nie pojmie, iż nie wolno mu mieć podwójnego oblicza, iż nie godzi mu się posługiwać się zaprzaństwem, samolubstwa stroić w pióro-

pusze dobra ogólnego, iż trzeba, aby podniósł głowę i szedł, a nie pełzał.

I ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedowarzona“ będzie na ziemi polskiej władała, będzie dotąd władała, podokąd głos sumienia, głos prawdy i sprawiedliwości łomocze pod czaszką człowieka...

Z drogi, rzezańcy polscy, z drogi bezduszni faryzeusze, czciciele kompromisu, wyznawcy samolubstwa! z drogi przed własnemi dziećmi! Załamcie ręce, zawodźcie, skarżcie się, iż to młode pokolenie nie rodzi się robaczywem, iż wprost na świat nie jawi się tchórzliwem i obłudnem! iż, zanim nabierze waszego szacunku dla kajdan, targa niemi, rwać je próbuje! — Załamcie ręce, wyrzekajcie, iż nie wszystko jeszcze w was zaustryaczało, zniemczało, zmoskwiczało, zniewolniczało, skrzepło, wystygło i skarlało!

POLSKIE BURŻUJSTWO.

Czy neologizm? — Skądże burżujstwo? — Wiara w rubla. — Dążenie do bogactw. — Pokolenie przybyszów i neopolaków. — Różnica między Warszawą i Warszawą. Ucieczka zagranicę. — Burżujstwo i socyalizm. — Walka w Szwajcaryi. — Żółty program. — Drzwi otwarte. — Hajże, wywalajmy drzwi!!

W ostatnich czasach przedmiotem bardzo żwawych rozpraw stało się „burżujstwo“, a raczej kwestya, czy owo burżujstwo, przeciwko któremu nasi socyaliści co chwila wrogie wznoszą okrzyki, istnieje w społeczeństwie polskiem. Rozprawy te mają podotąd dwa przeciwne sobie krańce, bo gdy jedne gubią się w wywodach o tem, że „burżujstwo“ jest poprostu neologizmem językowym, przeszczepianym przez niemowlęctwo naśladowcze naszych dekadentów, drudzy usiłują mieć je we wszystkiem tem, co nie zdołało zasklepić się w stęchłym liberalizmie Marxa. Prawda zaś, według obyczaju, pozostała pośrodku ścierających się.

„Burżujstwo“, „burżuazya“?! — Toć są neologizmy i neologizmy aż zgrzytające cudzoziemczyzną... Toć wyrazy, z któremi ani oswoić się, ani ich adoptować nie podobna! Ale, niestety, wyrazy, które zaczynają razić nas zbyt późno, abyśmy byli w stanie skazać ich na banicyę, na wygnanie tam, skąd do nas przywędrowały! Sąć to bowiem niezaprzeczenie

wyrazy, stwierdzające obecność tego, co jest, co zakradło się do nas bezimiennie, a na co słownictwo polskie nie najduje dostatecznego określnika.

Podznaczamy wyraz „dostatecznego“, ponieważ i u nas istnieje wyraz „łyk“, mocno przypominający „burżuja“.

Nazwa „łyk“ wywodzi się, według „Obyczajów“ Kitowicza, z pogardliwego przezywania tych, których nie stać było na jedwabne żupany, a którzy posiadanie ich symulowali tandetą — ale już od kilku dziesiątków lat znaczy wszak zbogaconych samolubów miejskich czy podmiejskich, ludzi okrzesanych powierzchownie, lecz w głębi surowych, ludzi, którzy, wypierając się sukmany czy kubraka, zdołali pozbyć się prostoty obyczajów a pnąc się do wyższej hierarchii społecznej, wnoszą do niej swe dawne uprzedzenia.

Łyk bezwątpienia jest niższym stopniem burżuja, — boć łykowi dodać nieco wiadomości, towarzyskiej ogłady i pieniędzy, a urośnie z niego burżuj w całem znaczeniu klasyczny.

Pomimo tego wielkiego podobieństwa między nowoczesnym łykiem a burżujem, ten ostatni począł się u nas równolegle i niezależnie od pierwszego.

Polski burżuj?! Wszak ci dla pewnego odłamu naszego społeczeństwa zakrawa to na

kalumnję, na pomawianie mieszczaństwa o niepopełnione winy.

Bo i skądże polski burżuj, gdy stan trzeci na ziemi polskiej nie istniał, gdy rozwój miast naszych w niczem nie podobny jest do takich miast cudzoziemskich, które wydały z siebie burżuja, gdy mieszczaństwo nasze, odżywiane ustawicznie przez rozbitków ze wsi, naogół nie wyodrębnia się tak silnie, jak mieszczaństwo innych krajów, gdy nakoniec mieszczaństwo nasze, z natury swego charakteru polskiego, winno mieć aż za mało pędu do gromadzenia bogactw, zasklepiania się w dążeniach do rent i procentów?!

Te argumenty radzi jesteśmy poczytywać za tarany, zdolne zmiażdżyć wszelką myśl o istnieniu polskiego burżujstwa!... A przecież, na przekór tym argumentom, na każdym szczeblu społecznym spotykamy samolubnych, zimnych, wyrachowanych parwenjuszów duchowych, a przecież, co kroku, musimy porać się z indeferentyzmem a przecież, co chwila, na drodze myśli obywatelskich, spotykamy zawały żuzli burżujskich.

Polskie burżujstwo?!... Polskie, boć w polskich rozpierające się miastach a o tyle nie polskie, o ile nie polskim jest rdzeń polskiego mieszczaństwa!

Burżujstwo, więc nadewszystko dobrobyt, bo rozmiłowanie się w materyalizmie — stąd,

gdzie dobrobytu mniej tam i burżujstwa nie wiele. I stąd skromnem jest burżujstwo poznańskie i nielicznem galicyjskie a stąd jedynie pod zaborem rosyjskim burżujstwo krzewi się i kwitnie.

Na niezaprzeczony rozwój burżujstwa pod zaborem rosyjskim wpłynęła nadewszystko niewola i nie tyle sama niewola, ile istota niewoli rosyjskiej.

Niewola rosyjska bowiem była i jest najpierw niemoralną, nikczemną, przekupną a dopiero potem polakożerczą, nieubłaganą, konsekwentną. Rząd rosyjski, rzec można, dlatego zabiegał o wydawanie nowych, gnębiących Polaków, praw, aby z niewykonywania, z obchodzenia tych praw ciągnąć dla siebie zyski. A jeżeli rząd i nie miał takiej intencyi, to już niezawodnie każde nowe prawo było tak właśnie rozumianem przez administracyę państwową. Rubel panował i rozstrzygał i tylko rubel. Cała drabina hierarchii państwowej rosyjskiej korzyła się przed rublem, za rubla nietylko można było policzkować najniższych pachołków policyjnych, ale i drwić sobie z zawziętości kacyków. Kto miał zadość rubli, a umiał być odpowiednio hojnym, temu niewola ani razu nie dokuczyła, temu żółwio-obstrukcyjną formalistykę zamieniała na piorunowe i zaprzeczające wszelkiemu ładowi państwowemu rozporządzenia, temu pozwo-

liła drwić sobie już nie z polakożerczych ustaw, ale ze wszystkiego, co się zwało prawem.

Czarodziejska siła rubla, siła przechodząca wszelki ogólno-wszechświatowy bakczysz, siła wprost brutalnie urągająca każdemu autorytetowi, musiała deprawująco oddziałać i na poddane społeczeństwo polskie, musiała silniej niż gdzieindziej wpajać przekonanie, że pieniądz jest jedynym władcą, że wszystko, co nie jest z rubla, jest słabem, lichem i nie wartem uwagi.

Więc dążność do bogacenia się wzmagała się pod zaborem rosyjskim, coraz szersze zjednywała sobie koła wyznawców, więc dążność do bogacenia się potężniała i rozpierała się tem samowolniej, iż nie znajdywała przeciwwagi w krzewieniu ideowości, rząd bowiem każdą myśl, poza kultem rubla, prześladował, tępił, niweczył.

Dążność do bogacenia się?! — Tak, ta dążność, w zasadzie ani zdrożna, ani zła, a nawet bardzo pożyteczna, boć mnożąca siły ekonomiczne kraju, ale zawsze groźna, gdy jednostronna, stała się wyrazem rozsądku i dobrze pojętej pracy obywatelskiej.

I z tej dążności można było się poniekąd radować, bo kraj, wyniszczony rewolucyami, zdystansowany przez rozwój ekonomiczny zagranicy, potrzebował odrodzenia się przemy-

słowo-handlowego, poprawienia swego materyalnego bytu.

I tę dążność można było poczytywać za zapowiedź hartu, o ile jawiła się ona jako wytrzeźwienie, o ile wdrażała przekonanie o potrzebie pracy, o ile całe koliska pasożytów zamieniała w pszczelne roje, o ile tępiła rozrzutność, o ile zbroiła masy oszczędnością, o ile ściągała je z obłoków próżniactwa i niezaradności na czarną ziemię trudu.

Ale taż sama dążność do bogacenia się miała już w miastach i miasteczkach zaboru rosyjskiego zdawna rozrosłe pokolenie, pokolenie obce, pokolenie, które aż nadto nawykło widzieć swą moc w bogactwie, pokolenie, które, w spadku moralnym po ojcach i dziadach swych, odebrało tylko przykazanie strzeżenia i mnożenia fortun, pokolenie, które nie zdołało jeszcze wyzbyć się rodzinnych tradycyj, ciążących ku Saksonii, Westfalii, Brandenburgii, lub które jeszcze nie otrząsnęło się ze swej obcości narodowo-żydowskiej, a które nie zapałało jeszcze poczuciem obywatelsko-polskiem.

Prawda, to pokolenie przybyszów, w chwilach przełomowych, dawało się pociągać zapałowi, umiało wydawać z siebie nietylko takich zawadyackich, a dzielnych oficerów i żołnierzów, jak Tremo, Blumer, Hempel, Berko Joselowicz i Kurtz, ale i takich oby-

wateli, jak Steinkeller i Deckert, ale to pokolenie, w rdzeniu swem, bywało aż nadto obcem, zimnem, obojętnem dla spraw i porywów polskich.

Patryotyzm tego pokolenia, jeżeli wogóle wyraz patryotyzm użytym tu być może, polegał, po większej części, na bierności, na sprzyjaniu wysiłkom zapaleńców, na składaniu nieodzownych haraczów, na przyzwoitem lawirowaniu między rządem zaborczym a narodowymi celami.

Pokolenie przybyszów, więc neopolaków, więc rdzeń polskiego mieszczaństwa zawsze stawało w szeregach umiarkowania, zawsze chyliło się do lojalizmu, do ugody, bo zawsze dla swych realnych zdobyczy ekonomicznych obawiało się przewrotów, ofiar.

Wina tu niezupełna tego pokolenia, boć polszczeniu się napływowców przeciwdziałały mocno przesądy, boć trzeba było dziesiątków lat, tysięcy wyrzuconych na bruk miejski szlachciców, aby nawet nazwisko Fukier przestało razić wrażliwe ucho polskie.

Tak czy owak, dość, iż pokolenie przybyszów rozmaitych hołdowało święcie celom, które ich przodków skłoniły do osiedlenia się na polskiej ziemi. A za tem, gdy ku temu pokoleniu padły i ze strony rdzennie polskiej ludności zawołania ku zabieganiu o dobrobyt, wówczas pęd pokolenia przybyszów wzmógł

się, podwoił, bo już i współzawodnictwo postrzegał. Następstwem tego pędu stało się burżujstwo...

Burżujstwo!? Gdzie go szukać, w czem go upatrywać?! Juści nie w tem, na co wskazuje socyalizm, gdyż ten jest sam i najpierw najzajadlejszym, najzawziętszym burżujem, gdyż ten, jako ciasny doktryner i małpoman wielkich, doniosłych idei anarchistycznych, jest tym wywrotowcem, który dlatego powstaje przeciwko władzy królewskiej, aby samemu władzę zagarnąć i królem zostać.

No i nie w tem należy szukać ogniska burżujów polskich, na co, do niedawna, wskazywała histerya literacko-artystyczno-dyletancka, ta histerya, która pigmejów zaraziła myślą o nadczłowieczeństwie, która, nie znajdując uznania dla zamierzonego przez się zakucia piękna w pstrokaciźnie zgniłych barw, plwała na zasłużoną obojętność. Ale, za to, tam burżujstwa polskiego trza patrzeć, kędy panoszy się pokolenie nowobogatych, kędy rozpościera się polski neofityzm narodowy, kędy gnieżdżą się całe rody ludzi „zgodnych“, bezpartyjnych, opłacających się nietylko rządowi, ale i socyalistom i realistom i narodowcom, kędy całą udręką życia jest myśl zrobienia karyery, osiągnięcia ideału tylu a tylu tysięcy rocznie, bodaj na krańcu Rosyi, bodaj przy uwzględnieniu ubocznych i zgoła „łapowniczych“ do-

chodów!! Tu jest środowisko polskich burżujów, tu ich kolebka.

Weźmy, dla przykładu, Warszawę i zważmy jej potrzeby intelektualne i wogóle kulturalne nawet w dotychczasowych warunkach oświaty! Zapomnijmy o chwilowym jej nienaturalnym stanie, a przypomnijmy sobie Warszawę z przed trzech lat! Więc Warszawę bogatą, kipiącą werwą dobrych interesów, lojalną, cichą. I nie zagłębiajmy się w jakieś specyalne liczby statystyczne, nie wypominajmy jej jakiegoś 60% analfabetyzmu, a rozejrzmy się w życiu tych 40% ludzi oświeconych, a uderzy nas piekielnie mizerny ruch czytelniczy, wprost nędzny stan instytucyi, zawisłych bezpośrednio od dobrej woli mieszczaństwa, wprost niemowlęca bezradność na każdym kroku zagadnień ogólno-społecznych i nawet takich zagadnień, które nie zależą bezpośrednio od braku samorządu czy zwolnienie kajdan niewoli. Ba, a równocześnie, uderzy nas zdanie, że Warszawa jest miastem ofiarnem, zabiegającem o nowe zdobycze społeczne, miastem nietylko nie zimnem, lecz aż przeczulonem. Ba, ale równocześnie, uderzy nas, iż ta kochana, serdeczna, a frasująca się i gorliwa Warszawa nie ma związku żadnego z Warszawą geograficzną, siedmkroćstutysięczną!... No tak! Ponieważ Warszawa, ta prawdziwa, ma 60% analfabetów przy 350 tysiącach lu-

dności bez zaprzeczenia polskiej! Ponieważ ma 300 tysięcy żydów i to żydów, z których ledwie 10% przyznało się do języka polskiego w czasie ostatniego spisu jednodniowego! Ponieważ Warszawa ma, wobec tego, 270 tysięcy ludzi (poza Rosyanami i cudzoziemcami), stroniących od życia polskiego, nie biorących udziału w polskiej pracy społecznej, a jedynie cisnących się do niej na pożywanie owoców! Ponieważ te 270 tysięcy łącznie z analfabetami Polakami czyni 470 tysięcy, a z Rosyanami i cudzoziemcami aż 520 tysięcy!

No tak! Warszawa jest Warszawą, jest miastem kulturalnem polskiem, ale zaledwie w jednej szóstej części swej ludności — a poza tem, trwa w obskurantyzmie, ciemnocie, indeferentyzmie, samolubstwie i burżujstwie...

Rosyanie warszawscy toć najpierw poszukiwacze złota, a potem dopiero obrusitiele. Żydzi warszawscy toć tylko zorganizowani cudzoziemcy, myślący o zbogaceniu, a przyglądający się zresztą obojętnie wszystkiemu, co polskie, co nie rosyjskie, nie ogólno-państwowe, nie żydowskie, a dopiero w lepszym czy wyższym (oczywiście dla nas) swym odłamie przedewszystkiem burżuje, a u szczytu zaledwie już i obywatele. Neofici narodowości polskiej, toć znów groszoroby, toć znów nieomal że gapie roboty społecznej polskiej, toć znów ani „zimni ani gorący".

Lecz gdybyż burżujstwo poza te warstwy nie sięgało, gdyby samolubstwo nie sączyło już nietylko do pokładów mieszczańskich, gdyby choć oszczędziło tych, którzy mienić się lubią chlubą narodu!

Burżujstwo polskie! Wszak ci, dzięki ostatnim rozruchom, wypełzło niby robactwo, spłoszone płomieniem łuczywa, wszak ci wypełniło po brzegi wszystkie szlaki zagraniczne, wszak ci tam, przy stołach rulety w Monte-Carlo, w nicejskich szulerniach, w domach publicznych Paryża, Wiednia i Berlina lamentuje nad niesfornością smarkateryi, której się zachciało polskiej szkoły, nad awanturami chłopskiemi w gminach, nad mankietnikami, nad rozmaitymi izmami no, a w szczególności nad „bessą“ „lilpopów“, „wagonów“ itp.

Tak, tam to burżujstwo polskie wyległo, tam czeka zmiany kursu, tam wzdycha do „uspokojenia się umysłów“, tam, w podobnem sobie gronie uciekinierów Rosyan, myśli, rychło wrócą złote czasy zwyżki, dobrych interesów, giełdowej lichwy, pasożytnictwa społecznego.

Burżujstwo polskie. Wszak ci go pełno i śród tych, którzy już i z socyalistami gotowi się układać, byle okiełznać dążenia separatystyczne narodowców, dążenia gotowe przeciąć świetne zarobki w Rosyi, zredukować stopę procentową.

Burżujstwo polskie! — Zrachujcie no tych wszystkich na ziemi rosyjskiego zaboru, którzy zdolni są dobro polityczne kraju nie mierzyć własną rentą, którzy zdolni są to dobro widzieć i tam, gdzie ich własna fortuna mogłaby uledz zniszczeniu!

W tych pokładach dopiero gnieździ się i pleni burżujstwo polskie.

Lecz dzisiejsze burżujstwo polskie to jeszcze naogół zło nie wielkie, bo hamowane i strzeżone przez silny prąd narodowy, więc, choć pod przymusem, ale niewolone do ulegania, do miarkowania swego samolubstwa.

Ale i burżujstwo polskie, to już zapowiedź groźna dla jutra, dla najbliższej przyszłości, groźna, bo posiadająca za sobą socyalizm.

Burżujstwo i socyalizm?! Tak, — napozór dwa prądy wrogie, dwa kierunki przeciwne, a w istocie swych dążeń ani wrogie, ani przeciwne. I nie dlatego pokrewne, że les extrêmes se touchent, — lecz, że za ideał wspólny mają dla siebie przeciętność, gruboskóre średniactwo, szarą jednostajność, samolubną przemoc nad bliźnim.

Owe wrogie okrzyki socyalizmu, zwracane niby przeciwko burżujom, — są tylko sentymentem biedaka, urągającego magnatowi nie za to, że bogactwo jest złem, lecz za to, że on, biedak, jest biedakiem, a nie magnatem. Zresztą fakt, że burżujstwo tam najwięcej kwi-

tnie, gdzie się rozwielmożnił socyalizm, że więcej ma burżujstwa Francya niż Niemcy, więcej Niemcy niż Anglja, Anglja więcej niż Hiszpanja najlepiej dowodzi, że burżujstwo jest pupilem socyalizmu, a nie jego wrogiem.

Najdzielniejszym zaś przykładem jest Szwajcarya. Tak, ta Szwajcarya wolna, zdemokratyzowana do szpiku, skupiona na najdalej sięgającej pracy organicznej, troszcząca się o najostatniejszego ze swych obywateli, z miłością macierzyńską zabiegająca o pełnię praw człowieka dla najgorszego z nieużytków, ta Szwajcarya od lat tępi, niszczy, śmiertelną toczy walkę z socyalizmem!

Ba! O tym „szczególe“ u nas nie ma się pojęcia! Ba, u nas, najniesłuszniej, Szwajcaryę poczytuje się za państwo, w którem pactami conventami jest „Kapitał“ Marxa!! U nas, szwajcarska wolność przekonań, szwajcarska gościnność dla ucikinierów politycznych, dla ideowców, uważana jest za niechybny wpływ wychowawczy socyalizmu!

A tymczasem, żadne społeczeństwo tak dzielnie i zawzięcie nie potrafi bronić się przed doktrynerstwem marksistów, żadne tak umiejętnie nie zdołało wyrwać broni socyalizmowi, bo i żadne nie zdołało na swem ciele społecznem zobaczyć tylu liszai burżujstwa, które wykwitły na zarażonych przez ciasnotę marksizmu miejscach!

I dzisiejsza Szwajcarya już otacza się strażami, już wypędza tych, którzy, nie szanując praw gościnności, chcieli jej pracę owocną burzyć, już ma zwarte szeregi obywateli, czuwających i nad świętością swobód gminy i nad uchronieniem jej od inwazyj socyalistycznych. Dzisiejsza Szwajcarya posiada już, tak zwany, „żółty program“, program, który przy najszerszym demokratyzmie, przy najzacieklejszej walce z kapitalizmem, obocześnie zwraca się przeciw socyalizmowi.

Tak, dzisiejsza Szwajcarya już przejrzała, już otrząsła się z chorobliwego urojenia i w najświatlejszych, w najdzielniejszych swych jednostkach idzie na bój z tem, co u nas niektórzy mniemają być wyzwoleniem pracy. A nie jest ten ruch szwajcarski żadną reakcyą czarnych sotni, lecz jest prądem jasnym, prądem rozumiejącym, iż dać się wzmódz socyalizmowi znaczy pogrzebać wolność, znaczy skazać obywatela na niewolę, zakuć dusze w kajdany burżujskiego średniactwa, myśl zatruć jadem jednostronnej, biurokratycznej doktryny.

Czy doświadczenie Szwajcaryi, czy ruch antisocyalistyczny wolnych duchów Francyi, czy echa walki, toczonej z marksizmem przez wszystkich myślicielów współczesnych i filozofów, — zdoła przeniknąć do nas, czy uchroni nas od tracenia czasu i sił na budowanie gma-

chu, który zgóry jest skazanym na zburzenie?! Czy i w tym wypadku nie odstąpimy od zasady wywalania drzwi otwartych i wycofywane z kursu karabiny poczytamy za ostatni wyraz mechaniki?! Czyż za mało nam istniejącego już między nami burżujstwa?! Czyż dopuścimy, aby nas nawiedziło burżujstwo międzynarodowe, gorsze, bo już i łgające wszechludzkie ideały, burżujstwo socyalistyczne?!...

TANIEC PARTYJ.

Stronnictwa i naród. — Bezpartyjność. — Walka wszechpolaków z ugodowcami. — Przegrana i zwycięstwo bezwyznaniowców. — O ukrytym celu politycznym. — Atut z wyższości polskiej kultury. — Świadectwo historyi. — Arysto- i plutokracya. — Zawsze taż sama. — Garść ideowców w tłumie samolubów. — Ciążenie realistów ku socyalistom. — Kto bliższy. — Wspólny punkt. — Stałość przekonań. — Gubernjalne ideały. — Nowe sklepiki. — Przeciętny pęcherz.

Do niedawna, do wczoraj jeszcze, ogólną cechą naszych stronnictw politycznych była ich bezwpływowość na społeczeństwo, ich zgoła akademickie stanowisko, ich zupełna nieraz dysharmonja z poglądami ogółu. Stronnictwa były sobie stronnictwami a naród polski był sobie narodem-widzem albo zgoła obojętnym i nieznającym się na rzeczy albo sarkastycznie uśmiechniętym.

Oczywiście, w zaborach pruskim i austryackim, gdzie kierownicy stronnictw i mężowie polityczni, na drodze wyborów i agitacyi elekcyjnej, mogli i musieli obojętność tę niweczyć lub burzyć, stosunek stronnictw do ludu danego zaboru był lepszym a węzły siako tako zadzierżgniętymi — ale za to w najrozleglejszym zaborze rosyjskim stronnictwa były a i są jeszcze poniekąd czemś, co się ze sobą bije, ściera, kłóci a w czem ogół żadnego nie bierze udziału. Na ten stan wpływała i oświata i brak kardynalnych swobód i nieodzowne samozwaństwo przedstawicieli narodu ale i brak klajstru organizacyjnego w stronni-

ctwach i autokratyzm kierowników i walka częściej zwracana ku osobistościom i prywacie niż ku zasadom, pracy i jednaniu sobie wyznawców.

Stronnictwa nienawidziły się, obdzierały z pierzy, wyszydzały, dokuczały tak, iż przeciętny Polak, bodaj odrobinę dbający o spokój i równowagę, umywał ręce i usuwał się od wszelkich „robót" i powiększał szeregi bezwyznaniowców politycznych a, wrazie noża na gardle, wędrował sobie od białych do czerwonych, od czerwonych do panów w kratkę postępu lub w paski konserwatyzmu. Bezbarwność, brak programów, nieświadomość dążności, była wyrazem całego społeczeństwa pod zaborem rosyjskim, a dowodem niezbitym tego wyrazu, była prasa... Ta prasa w swych zaściankach redakcyjnych lubiła mówić o swoich sztandarach i barwach — lecz na zewnątrz, nawet w granicach swobód cenzuralnych, była tylko i zawsze szarą, tylko zdążającą za bezwiednymi odruchami tłumów. Na ugodowości, postępowości lub konserwatyzmie i nieprzejednaniu prasy warszawskiej znali się podobno ci tylko, którzy znali i prywatne poglądy publicystów.

Stronnictwa nasze były długo tylko temi chmurami, które kłębią się pod wierzchołkiem góry. Stronnictwa nasze pracowały nie na wyrabianie polityczne tych żywiołów, które były

już zdatnym po temu materyałem, lecz na odstraszanie ludzi od siebie, na obrzydzanie im wszelkiej politycznej roboty, na powiększanie kadrów bezpartyjności...

Tak, bezpartyjność, bezwyznaniowość przekonaniowa pośród tańca partyj nabrała u nas nie tylko wartości zmysłu samoobrony ale i rozumu społecznego i cnoty obywatelskiej. Bezpartyjność, więc brak przekonań, brak sądu, więc sobkostwo, tchórzostwo, obskurantyzm, głupota, bydlęca obojętność nabrała szanownej wartości, stawiała ludzi na stopniu niedosięgłym. Kto umiał milczeć i słuchać cierpliwie, jak mówią inni, i nigdy ani na lewo ani na prawo się nie deklarować i nigdy żadnego poglądu zdecydowanego nie wyjawiać, ten urastał na Katona, ten był, w wyobrażeniu polskiego analfabetyzmu społecznego, perłą urjańską, gwiazdą nad gwiazdami. Ba — ba, a jeżeli nadto taki czcigodny bezwyznaniowiec był dość bogatym, aby od czasu do czasu rzucić jakiś grosz na cel społeczny — wówczas bekowi uznania nie było końca.

Bezpartyjność!!... Bezpartyjność może być niezawodnie cnotą, o ile wyraża bezstronność człowieka wobec kości, o którą walczą inni, o ile dana kość jest dlań obcą lub może być obojętną. Francuz może być bezpartyjnym w sporze Prusaka z Duńczykiem, lecz, w tym samym sporze, więcej bezpartyjnym będzie

niezawodnie Arab lub Hiszpan. Ale bezpartyjność Polaka, wobec stronnictw polskich, dążących do takiego czy innego rezultatu dla polskiej sprawy — musi wyrażać się jakiemś innem zdeklarowanem zdaniem. Jeżeli zaś bezpartyjny zdania tego nie wyraża, jeżeli, nie godząc się na żadną z istniejących partyj, na żaden z programów, na żadną z dróg politycznych, nie przedkłada własnego programu, własnej nie kreśli drogi — toć jest tylko grabarzem własnego społeczeństwa, tylko chmyzą!

Ta prawda była obcą popowstaniowemu pokoleniu, była już zwyrodniałą i w epoce porewolucyjnej i w epoce ponapoleońskiej i pokościuszkowskiej. Hen, gdzieś, w zapalonych głowach młodzieży buchały płomienie — tam, gdzieś, w umysłach garści, kluły się postulaty — ale ogół był ani zimnym ani gorącym, ani bezpartyjnym!

Na świeczniku życia społecznego nie było stąd miejsca dla umysłów dzielnych, energicznych, skrystalizowanych, ileże te nie mogły dla natury swej pozostać obojętnymi, bezbarwnymi — na świeczniku za to rozpierały się (czy rozpierały?!) miernoty, bezkrwiste ślimaki, zacne niedołęstwo, ukochana bezwyznaniowość polityczna, podszyta tchórzostwem.

Na taki stan złożyło się wiele przyczyn —

ale i pośród tych przyczyn podobno najdzielniej wyróżniła się zła organizacya stronnictw politycznych, samozwaństwo przedstawicieli i tracenie sił na ścieranie się wzajemne, miast wytężenie ich ku wzmacnianiu swych partyj.

Walka stronnictw najsilniej uwidoczniła się w konfliktach między, tak zwanymi, „ugodowcami“ i „wszechpolakami“. Pierwsi zwali się spadkobiercami polityki Wielopolskiego, drudzy czerpali swe programy z puścizny powstańców. Pierwsi wystawiali swe „realne“ cele, dążące rzekomo do modus vivendi z zaborczemi państwami, drudzy odrzucali wszelką myśl porozumienia się.

Ugodowcy wytykali wszechpolakom zbrodniczość zamiaru wydania narodu polskiego na rzeź — wszechpolacy dowodzili ugodowcom skwitowania z narodowych ideałów i poddawania pleców polskich na rosyjski knut.

Ugodowcy byli silni pieniędzmi, wpływami, solidarnością z odnośnemi stronnictwami zaborów austryackiego i pruskiego — wszechpolacy byli słabi, ileże ani pod zaborem pruskim, ani pod zaborem austryackim nie mieli zwartych szeregów a całe ognisko swe czerpali z garstki emigranckiej.

Ugodowcy byli jeszcze silni plonem, który wydał pod zaborem rosyjskim pozytywizm a z nim skwitowanie z ideałów na rzecz twardej troski o byt ekonomiczny. Ugodowcy byli

jeszcze bardzo silni pokoleniem Polaków, którzy, dochrapawszy się stanowisk i pieniędzy w głębi Rosyi, zżyli się z nią, zbratali i zaczynali nie pojmować wszechpolskiego wstrętu do Wołgi, do kawioru, do złotodajnych przedsiębiorstw, do świetnych interesów na kolejach, do „szerokiego“ życia Moskwy, Petersburga, czy Krzywego Rogu. Ugodowcy byli jeszcze silni temi dziesiątkami i setkami Polaków, którzy na kresach Rzeczypospolitej, zmordowani, przygnębieni, zdemoralizowani zajadłą walką z łotrami tej miary, co Murawiewy, Ignatiewy, von Wahle, Klingenbergi, Klejgelsi — stracili wiarę w siebie, zgłuszyli w sobie świadomość, iż są wedetą dwudziestomiljonowego narodu i, ratując się i szukając punktu wyjścia, zaczęli wykrywać „zacnych“, „porządnych“ Rosyan. I ugodowcy byli jeszcze silni zyskami, które małokulturna Rosya zapewniła przemysłowi polskiemu. I ugodowcy byli jeszcze silni sobkostwem tych wszystkich, którym musiał uśmiechać się taki plan, przez który można było jakoby zyskać wiele a nie stracić nic.

Tak, ugodowcy mieli swoją „czapkę z pawich piór“. Boć dość sobie przypomnieć, iż przez całe panowanie Aleksandra III i początki panowania Mikołaja II rozpierali się i przywodzili ludność zaboru rosyjskiego do stóp tronu, iż, nie pytając nigdy nikogo o upo-

ważnienie, koncypowali wiernopoddańcze adresy, słali lojalne wynużenia! Dość sobie przypomnieć, iż tak potrafili zamagnetyzować krocie „ani zimnych ani gorących", że te aż wyły, aż pełzały u stóp Mikołaja II w pamiętnym dniu wjazdu tegoż do Warszawy! Dość sobie przypomnieć ten bezmiar naiwności, aby wyrozumieć, z jednej strony, siłę ugodowców a z drugiej zmierzyć otchłań głupoty rosyjskiej!...

Ugodowcy runęli — runęli, nie dzięki wytrzeźwieniu społeczeństwa polskiego ale dzięki płytkości polityki rusyfikacyjnej. Toć, gdyby wówczas cesarz Mikołaj II kazał swej orkiestrze zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła" — to na dziesiątki lat zagrzebałby w zaborze rosyjskim wszelką myśl o niepodległości, toć by posiadł krocie czerkiesów, gotowych nawet Moskwę uczyć poszanowania dla cesarskiego manifestu.

Ugodowcy runęli — ale runęli niezupełnie, przegrali wielką batalję, lecz przegrali ją wskutek zdrady swego sprzymierzeńca a raczej wskutek wyparcia się ich przez tego, dla kogo pracowali. Ugodowcy runęli — ale ich upadek nie był zwycięstwem wszechpolaków, lecz tryumfem bezpartyjnych... wzmożeniem się impotensów politycznych, rzezańców.

Bezbarwność społeczeństwa polskiego pod zaborem rosyjskim była tak wielką, iż za zdo-

bycz sobie miała nawet rosyjską politechnikę, nawet pomnik Mickiewicza, — ten pomnik, okupiony spodleniem się, ten pomnik, wyżebrany wyciem na cześć caratu, ten pomnik wyszachrowany przewrotnemi a hańbiącemi pamięć wieszcza zaręczeniami, że Mickiewicz był „po prostu“ pisarzem... „nawet“ w Moskwie i Petersburgu uznawanym, a więc nie żadnym, broń Boże, rewolucjonistą!!

A wszechpolacy? — Wszechpolacy, rzuceni w dal życia emigranckiego, pochłonięci wycieczkami osobistemi, wątli ciągle, zrażający ludzi swą bezwzględnością, — szamotali się, nie czuli istotnych słabych stron ugodowców, pozwalali rozpościerać się socyalistom, mniemali w nich znaleść sojuszników.

I kto wie czyby wszechpolskość nie utonęła, nie skonała z konwulsyjnych wysiłków, gdyby nie zapamiętałość rządu rosyjskiego, który, odwróciwszy się od ugodowców, wytrzeźwił niejednego z zapaleńców, pozwolił spokojnie przyjrzeć się ugodzie...

Nikłość i kruchość ugody objawiła się w całej pełni, a nikłość i kruchość jej wynikała z tego, iż ugoda zapierała się plecami o trójlojalizm, że nietylko była programem pojednawczym dla zaboru rosyjskiego, ale szukała i znajdywała popleczników w ugodowcach austryackich i pruskich. A za tem, jako program zewnętrznej, ogólnopolskiej po-

lityki, albo skłaniała się do absurdu, albo raz na zawsze zrywała z myślą połączenia się zaborów i sankcyonowała rozbiór Polski. Bo, jeżeli nawet ugoda kryła w dalszym ciągu zgoła inne zamysły, a narazie, w uzyskaniu ulg, chciała szukać wzmocnienia sił polskich, — to nie mniej zapominała, iż taktyki podobnej może się trzymać pojedynczy mąż stanu, ale stronnictwo musi mieć jasno zdeklarowany cel, inaczej, stoczyć się może po pochyłości i pchnąć naród tam, gdzie nie zamierzało.

I najmocniej wypada zapamiętać, iż, naprzykład, Wielopolskiemu wolno przypisywać najlepsze intencye, wolno żałować go i ubolewać, iż naród go nie zrozumiał, bo wolno ufać, że Wielopolski, trzymając w ręku nici władzy, odżywi naród, podniesie — a potem, już i sam zażąda dalej idących ustępstw. A jeżeli komuś nie przypadałoby do gustu domyślanie się w Wielopolskim Wallenroda, to jednakże trudno by mu było zaprzeczyć możliwości takiej hypotezy. — Ba, a rozbierając pojedynczo postać Szczęsnego Potockiego. Czyż wiele potrzeba doprawdy zręczności, aby zeń wykroić dumnego, pysznego, ale ożywionego najlepszemi chęciami pana! I Szczęsny Potocki, póki jest mężem stanu, człowiekiem marzącym o władzy, póty godzi się wierzyć rzetelności jego planów, póty najostrzejszy sąd uczyni mu zarzut warcholstwa zaledwie. Do-

piero, gdy te same wyobrażenia Szczęsnego podzieli gromada ludzi, gdy ta gromada, nie ogarniając ukrytych zamiarów Szczęsnego, realizować zacznie widome i wpadnie w samobójczą Targowicę, wówczas i plan polityczny, po swojemu zbawczy, staje się zdradą.

I w tych przykładach nikłość i słabość polityki ugodowej i pojednawczej. A raczej nie polityki, lecz programu narodowego. Gdyż ostatecznie społeczeństwu polskiemu zupełnie wszystko jedno, co i która samozwańcza deputacya powie w Petersburgu, ale temu samemu społeczeństwu nie może być obojętnem, dokąd ma iść za stronnictwem.

Wykład credo ugodowców i żądań ich aż nadto często był ogłaszanym i uzupełnianym i rozszerzanym, aby go tu powtarzać, lecz przypuśćmy, iż urzeczywistnił się już, iż mamy już to utęsknione zrównanie praw z Rosyą, iż posiadamy nawet jakąś karykaturę autonomii — ale co dalej?!

Ugodowcy z łatwością potrafiliby odrzec, iż, posiadłszy autonomję i zrównanie praw, doprowadziwszy społeczeństwo do punktu, „zastanowimy się i ruszymy naprzód"...

Odpowiedź taka byłaby uzasadnioną, gdyby lud był masą bezwładną, gdyby, raz dźwignięty, nie parł sam, gdyby ten lud nie był z natury swej skłonnym do uniesień, do oszołomienia, gdyby nie był polskim ludem!

Odpowiedź taka byłaby zupełnie słuszną, gdyby ugodowcy zdolni byli przewidzieć, gdzie się skończy równouprawnienie, gdzie zbratanie powaśnionych nie zamieni się w zlanie.

Wyższość naszej kultury?! Piękny frazes na użytek małomiasteczkowej inteligencyi!... Kulturę, i wyższą od naszej, miał i Egipt i Assyrya, Grecya i Rzym, a przecież nie ocaliło to żadnego z tych państw. A zresztą, zaczynamy mieć więcej analfabetów od Rosyi, a przecież na polu nauk ścisłych ledwie już dorastamy Rosyi, a przecież coraz mniej mamy do powiedzenia Rosyi i w dziedzinie przemysłu, — powie ktoś, iż to dzięki niewoli, dzięki niegodziwości naszych kacyków — ba, ale stąd nie masz argumentu przy rozpatrywaniu zagadnienia, o ile przewyższamy Rosyę kulturą.

Ugodowcy nasi nadto zapędzili się we wzorowaniu się na zachodzie Europy, a już ugodowcy zaboru rosyjskiego zbyt pochopnie symulowali swoich rodaków i jednowierców z Poznańskiego i Galicyi!... Bo, primo, ugodowcy polscy wogóle zapomnieli, iż to tylko stronnictwo może pociągnąć za sobą naród, które zdolne będzie ogarnąć wszystkie zabory, które, wykreślając cele bliższe dla jednego zaboru, zjednoczy myśl polską wszystkich zaborów w jakimś celu, może idealnym, trudnym do ziszczenia, ale wspólnym. A, se-

cundo, ugodowcy zaboru rosyjskiego, przeciwstawiąc realne postulaty mrzonkom, sami szli drogą urojenia o tem, że rząd zgodzi się na jakieśkolwiek ustępstwa dobrowolnie.

Błąd pierwszy, ogólno-ugodowy, był i jest wielkim, bo w każdym poszczególnym zaborze prowadzącym stronnictwa ugodowe na potępienie i zgubę. Bo nietylko naród polski, ale i każdy naród wówczas tylko stanie mocno pod sztandarami, jeżeli te sztandary powiodą go bodaj po stopniach najpozytywniejszych, ale ku ideałowi. I każdy naród nie tylko polski, gdy mu każą wybierać między krótką metą realnych korzyści, a mgłami spowitym ideałem, pójdzie za drugim, a nie do pierwszej. — Ugoda, przy sprzyjającym rządzie, jak w Galicyi lub niegdy w Poznańskiem, może osiągnąć i wpływy i znaczenie i przysporzyć dobra, — ale dość jednego drgnienia, aby naród zerwał pęta i podeptał swoich proroków. Prorokom tym majaczy się świadectwo historyi! Daremnie, bo i historya zawsze schyli głowę przed Rejtanem i nie uzna, że poseł Suchorzewski, targowiczanin, był nieposzlakowanej uczciwości i w dobrej wierze działającym człowiekiem, zawsze hołd złoży podniosłym rojeniom Andrzeja Zamojskiego i daruje mu to niepowodzenie, którego Wielopolskiemu nie przebaczy, zawsze po macoszemu

obejdzie się z Gołuchowskim, a Sapieże laurów przysporzy.

Błąd drugi ugodowców zaboru rosyjskiego, czy, tak zwanej, polityki realnej, najdosadniejszy znalazł wyraz w dziejach roku 1905!! Rząd poczynił koncesye, lecz w jakich warunkach?! Dlaczego? Czy dlatego, iż w roku 1905 uwierzył w lojalność Polaków? Czy zachowanie się Polaków podczas wojny tureckiej r. 1877—78 nie było o wiele lepszem? Czemuż teraz uwierzył?!...

Zastanawiać się nad temi pytaniami znaczyłoby dowodzić tabliczki mnożenia, czy znęcać się nad powalonym.

Ale nie tu koniec nikłości i słabości polityki ugodowej — a raczej największej jej nikłości i słabości. Partyę ugodową podkopać musiało to, co stanowiło jej główną siłę i czoło, partyę ugodową musiała poderwać taż sama siła, która ku wzmożeniu jej się przyczyniła, która kompromituje każde stronnictwo zachowawczo-konserwatywne w każdem państwie...

Bo i któż to stanowił u nas ugodę, bo i któż to składa się na miazgę dzisiejszej polityki realnej?! A więc nadewszystko arystokracya, magnaterya i plutokracya wogóle, czyli, żywioł, obawiający się, jak ognia, wszelkiego zamętu, żywioł w każdem państwie dążący do pojednania ludu z monarchią, a zarówno mo-

narchii, jak i ludu, ze swojem uprzywilejowanem stanowiskiem.

I ani nasza arystokracya, ani też nasza plutokracya, czy to ziemiańska, czy przemysłowa, niczem a niczem nie różni się i nie różniła się od swoich siostrzyc francuskich, niemieckich, czy rosyjskich. Nasza arystokracya i plutokracya może objawiać sporadyczne zapały — ale wogóle swym hołdowała i hołdować będzie idei, że starczy, aby dany rząd zaborczy szerzej rozwarł wrota zaszczytów dla uprzywilejowanych, aby uprzywilejowani już zgoła otwarcie stanęli po stronie rządu. Nasza arystokracya i plutokracya, w ciągu całej epoki porozbiorowej, szukała zawsze ugody i o tyle dała się porywać wirowi rewolucyjnemu, o ile ten wir łudził ją nadzieją zdobycia wyższego stanowiska.

I błędem byłoby kuć z tego pioruny na miażdżenie arystokracyi i plutokracyi naszej — ileże to ich zachowanie się ma bezpośrednie wytłumaczenie w egoizmie ludzkim, w tym egoizmie, który tem łatwiej wyrzeka się altruizmu, im ten ostatni przez swe przywileje silniej gwałci. I błędem jeszcze byłoby potępiać za to naszą plutokracyę z arystokracyą, ileże sfery te sięgają już ku granicom władzy, ileże zaczynają mieć moralność państwową, ileże moralność społeczna wydaje im się, z pie-

destału ich przywilejów, czemś niemiłem, bo chłonącem ich wyniesienie.

I plutokracya jest wszędzie jednakową służką arystokracyi i kandydatką do wciśnięcia się w jej szeregi. I arystokracya jest wszędzie jednakową służką władzy i znów kandydatką do wciśnięcia się w jej szeregi. Na tych trzech fundamentach wspierają się i monarchie i republiki... Boć syn Carnota jest takim samym arystokratą i stronnikiem siły, która wyniosła jego ród, jak i syn Bismarcka, jak i wnuk Bonapartego.

W pewnych warunkach życia ludzie normalni i zdrowi łysieją, tracą zęby, głuchną lub ślepną... Ludzi takich umiemy doceniać, potrafimy ich wyodrębniać a stawiać pod kątem warunków życia, które ich do takiego stanu a wyglądu przywiodły! Wszak głuchemu nie uczynimy zarzutu z tego, że nie reaguje na muzykę, bo i ślepemu nie będziemy wymawiali nieznajomości kolorów, bo wybaczymy łysemu czapeczkę na głowie i w ciepłym pokoju, bo od bezzębnego nie będziemy żądali, aby gryzł dziąsłami orzechy!...

Też same racye powinniśmy stosować do arysto- i plutokracyi naszej a więc i pamiętać, że nie można od niej wymagać tego, co zaprzecza jej naturze. Arysto- i plutokracya zawsze będzie miała na względzie swe własne przywileje i zawsze ku ugodzie z rządem bę-

dzie dążyła. Prawda, niekiedy uroszczenia arystokracyi mogą spotkać się z dobrem całego ludu, lecz spotkanie takie jest zawsze zbiegiem wyjątkowych okoliczności. Prawda, nasza arysto- i plutokracya radaby z całego serca doczekać się zmartwychwstania państwa polskiego, ale pod warunkiem, iż to zmartwychwstanie nie zmiażdży jej, nie zepchnie w tłum, lecz wzmocni jej stanowisko. Miłość szlachty francuskiej do Burbonów, zaciekłość, z jaką szlachta francuska zabiegała, ba i zabiega, o wskrzeszenie tronu jest tylko zabieganiem o własną skórę błękitną, o własne przywileje, o przywrócenie uroku rodowodowi, ale nie o żadne dobro Francyi! Wszakże arystokracya stanowi kadry tych, którzy z dnia na dzień gotowi są wyrzec się i wiary swej i ziemi i imienia, byle zostać władcami! Wszakże duński książę bez namysłu został Norwegczykiem, niemiecki Rumunem. Wszakże korona usprawiedliwia każde renegactwo — no, a wszakże arystokracya jest podporą i najbliższą sojuszniczką korony.

Cały ten wywód zmierza ku temu, aby nie żądać od ludzi tego, czego dać nie mogą, aby wyodrębniać cel narodu od dążeń kasty, aby nie zdumiewać się, że ślepi nie znają się na barwach, a głusi na muzyce.

Partya ugodowa zaboru rosyjskiego, opierając się na sferach arysto- i plutokratycznych

i z konieczności te sfery mając na czele, musiała w każdym jaśniejszym umyśle budzić podejrzenie, musiała, przy pierwszej sposobności, wzniecić nieufność... I nieufność ku ugodzie rosła, rosła tem szybciej, im częściej rząd rosyjski składał dowody swej pamięci o interesach polskiej pluto- i arystokracyi.

Niezawodnie, partya ugodowa posiadała i posiada garstkę ludzi, których trudno pomówić o widoki kastowe, których dobrej wiary nie godzi się poddawać w wątpliwość — lecz ta garstka bojowników nie ocala Sodomy kastowej, nie chroni Gomory ambicyj od potępienia.

Aby zgoła dokładnie wyrozumieć kruchość i nikłość ugody, — należy przyjrzeć się wprost nieprawdopodobnemu zjawisku, bo ciążeniu i skłanianiu się „realistów“ ku socyalistom!! Arystokratyczno-plutokratyczna ugoda, przyciśnięta do muru, woli poczynić koncesye dla Marksa i Engelsa... niż zbliżyć się do, tak zwanej, narodowej demokracyi!...

Taki zwrot byłby wprost trudnym do uwierzenia, gdyby nie był zadokumentowanym wielokrotnie w słowie i w piśmie, gdyby co dnia w zabiegach realistów się nie ujawniał.

Narodowa-demokracya i socyalizm!! Więc zasadniczo dwie skrajności dla arysto-plutokratycznych realistów, więc pozornie, z dwojga złego, dla ugody bliższymi powinni się wyda-

wać endecy!... Ale to tylko pozornie — gdyż w istocie utytułowany możnowładca polski ma styczny punkt z socyalistą — a za to z narodowym-demokratą posiada jedynie zastarzałe obrachunki osobiste...

No, tak! Bądźmyż szczerzy! Wszechpolacy tyle razy menerów ugody i pojednania wypominali, jako łotrów, obwiesiów, sprzedawczyków, szpiegów i kajdaniarzy, iż realiści w narodowej-demokracyi widzą nadewszystko nie program, nie ideję, ale swych nieubłaganych wrogów, no i stąd z góry wykluczają możność połączenia usiłowań!...

A dalej — dalej, punkt styczny zdolny skojarzyć realistów z endekami dałby się znaleźć, ale pod warunkiem obustronnych wielkich ustępstw! Na cóż tedy ten trud i może daremny, gdy, podczas, punkt taki dla ugody i socyalizmu wynika sam przez się!

Jakiż to punkt?! Bardzo prosty — „precz z Polską!“ —

Ugoda zaboru rosyjskiego podczas ostatnich wypadków z całej mocy zaprzysięgała rządowi, iż Polacy nie myślą o żadnej Polsce, że przyszłość swoją uważają w nierozdzielności politycznej z Rosyą, że dopominają się o prawa kulturalne dla swej narodowości, lecz, poza tem, nawet w rewolucyonizmie idą ręka w rękę z rdzenną Rosyą!! I ugoda bardzo przemyślnie posługiwała się dla swych wido-

ków międzynarodowością socyalistów Polaków i przyklaskiwała ich wszystkim wystąpieniom, akcentującym braterstwo jednej wszechrosyjskiej doli i tych samych dążności.

Naturalnie, realiści są ludźmi dobrze wychowanymi, ludźmi, którzy niezdolni są do okrzyków „precz z Polską"... ale jedynie z tej przyczyny, iż okrzyk taki jest nieostrożnem budzeniem tego właśnie polskiego licha, które ugoda radaby uśpić.

Zachodzi pytanie, jakże plutokratyczni realiści mogą znów przystać na sojusz z ludźmi, zagrażającymi kapitalizmowi i przywilejom? Ach, najpierw, jeżeli demokracya narodowa nie zapomni o demokratyzmie, to, w tym będzie groźniejszą i silniejszą od socyalizmu, a następnie socyalizm panrosyjski jest sobie tylko przysłowiowym „polskim mostem", i „niemieckim postem". Socyalizm panrosyjski (a w nim polski) dla pluto- i arystokracyi ma znaczenie równie groźne, jak wystygnięcie kuli ziemskiej, zgaśnięcie słońca lub możliwość końca świata. Monarchja rosyjska ma tyle jeszcze ziemi, leżącej odłogiem, tyle nieobsianych pól, nietkniętych bogactw, tyle materyału na wytworzenie czarnych sotni, tyle sposobów nawet i pokojowego stłumienia ruchu, iż byle ułagodziła żywioł mużycki, to z socyalizmu może jeszcze dziesiątki lat drwić.

O tych faktach wiedzą ugodowcy, wiedzą

i o tem, że gdyby nawet wybuch rewolucyi potrafił zniweczyć dynastyę, to podobno dlatego, aby ustanowić drugą. Ugodowcy wiedzą i o tem, że, gdyby wszyscy inteligenci z socyalistami razem zgodzili się na Rzeczpospolitą rosyjską, to nie ostali by się mużykom, to nie starczyli by z siłami na opanowanie wybuchu pod hasłem cesarza. Ugodowcy zatem nie myślą dociekać do rdzenia programu socyalistycznego, im chodzi o wytrzeźwienie się Polaków z mrzonek narodowych, bo o zapałach ku Marksowi w ostateczności pouczy Polaków równie dobrze konstytucyjny jak i niekonstytucyjny żandarm. Ugodowcy nasi doceniają socyalizm! Jeszcze kilka strejków coraz mniej solidarnych, jeszcze kilka zamachów, kilka wybuchów rozpaczliwych — no i tuż wyczerpanie, zmęczenie, korrupcya wewnętrzna no, i mniej mocy państwowej socyalistów niż w Niemczech. A potem, odrobina mniej zaślepienia rządu, odrobina więcej rozumu a bodaj przewrotność i sprytu, a naród sam sobie do reszty obrzydzi socyalizm.

Ugodowcy nasi nie przyznają się głośno do podobnego rozumowania, — lecz przyznawać się nie potrzebują, — samo ich zezowanie ku pepeesom i esdekom najlepszym jest tu dokumentem wyłożonego światopoglądu.

I doprawdy trudno się łudzić, aby stronnictwo polityki realnej mogło mieć jeszcze

widoki powodzenia i już dziwić się przychodzi, iż po tylu zawodach zrywa się do lotu, iż mu własna nie zbrzydła robota... Ta wytrwałość realistów wynika podobno z wielkiego uzdolnienia i wielkiego wytrwania gromadki ludzi, którzy za uchybienie by sobie poczytali cofnięcie bodaj jednego wyrzeczonego słowa! Gromadki ludzi, która z całym fanatyzmem trwa tem silniej na swym biegunie, iż na biegunie przeciwnym widzi najpierw swoich osobistych nieprzyjaciół... Raczej ledz, niż wyrzec się własnego przekonania, bodajby to przekonanie stało się przeżytkiem!...

Ach, taka wytrwałość zasad ma w polskiem społeczeństwie nawet mir, nawet wysokie uznanie i aż takie uznanie, że biada ludziom, których mózgi pracują, których serce bije, których myśl nie skrzepła na raz wygłoszonem zdaniu.

I szkoda i żal tej gromadki fanatycznej, która wraz z realistami trwa, bo szkoda na zmarnowanie ludzi zdolnych i godnych. Szkoda jeszcze i tych, co uniesieni „wykryciem“ porządnych Rosyan pośród wczorajszych „moskali“, wyciągają ku nim równie bezmyślnie ramiona, jak wczoraj bezmyślnie ich potępiali!

Tak, ugodowcy mieli „czapkę z pawich piór“ — „został im się tylko sznur“ i to sznur, który sami sobie zaciskają na szyi! Dzisiejsi

zaś przemianowani realiści nie czują łączności z tym fatalnym sznurem i, że skupili tyle a tyle pod swoim sztandarem tytułów, bogactw i włók ziemi, gotowi za tryumf sobie mieć każdy osiągnięty mandat poselski! Tak, realiści, w trzeciej izbie rosyjskiej, mają wszelkie dane do zdobycia mandatów, mogą za pomocą nich i dobra przyczynić, ale realiści, jako wyznanie wiary narodu polskiego, jako zawołanie jutra, jako wszystko, co naród polski zwie lub zwać będzie swoją przyszłością, są skazani na zagładę, na niepamięć nietylko rodaków, ale i swoich własnych dzieci! Tak, bo my, Polacy, musimy czegoś innego żądać od naszych stronnictw nad program wewnętrznospołeczny jednego zaboru! Kto u nas uderza we dzwon, kto na wiece naród wzywa, ten musi iść dalej, niż sięgają realne ulgi dla jednej części polskiej ziemi.

Ugoda, pojednanie z Rosyą?! No, tedy dążność bezpośrednia do oderwania od pozostałych zaborczych państw polskich prowincyj?! Więc unja dobrowolna, ale całego narodu?!... — Nie, nie! Realiści w takie mgły nie sięgają!... Realiści nie mieszają się do „ościennych mocarstw“, są dumni z austryackości Polaków i boleją, iż realna polityka Poznańskiego uległa naporowi ludu no i sponiewieraną została przez Berlin. Realiści naród polski mierzą tylko gubernjami i mają dlań

gubernjalne ideały. Tego dość dla mieszkańca warszawskiej czy mińskiej gubernii, — lecz za mało dla Polaka.

Gubernjalne ideały, gubernjalne programy i gubernjalna polityka, — oto dorobek realistów, dorobek posiewu dawnej ugody, a żniwo obecnych spadkobierców zmodyfikowanego stronnictwa. Gubernjalne ideały, przykrojone oddzielnie dla Kijowa, Wilna, Mińska, Witebska i Warszawy — a cechą tych ideałów rzewna przysięga, iż Polacy ani marzą o czemś, coby mogło rozdzielić ich z monarchją rosyjską, że wyrzekają się raz na zawsze wszelkich separatyzmów i tym podobnych „głupstw".

I tych gubernjalnych ideałów namnożyło się, boć zbyt wiele mamy ambicyonowanych pseudo-polityków, aby ci mogli wyrzec się myśli stworzenia własnego stronnictwa!... Jakoż co dnia przybywa jakiś potworek partyjny, pstrzący swój „nowy" kierunek oklepanymi frazesami i przybierający za szyld jakiś przymiotnik, mniej więcej, nic nie mówiący. I co dnia, na linii trzech wybitnych partyj: ugodowców, wszechpolaków i socyalistów ukazują się różnorodne umiarkowano-pojednawczo- bezkościste kadłuby, posiadające już i wodzów i apostołów tylko wcale wyznawców. Są więc ludzie, którzy zwą się „postępowcami", inni „katolikami", trzeci socyalistami z Polską", a jeszcze są i tacy, którzy

chcą socyalizmu bez Polski, narodowości bezwyznaniowej, nacyonalizmu niedemokratycznego, ugody proletaryackiej.

Istny taniec partyj wszczął się na ziemi polskiej zaboru rosyjskiego i taniec na krzywdę polskiej sprawy, bo na zaćmienie jeszcze większe tych, którzy zdolni są przejrzeć i stać się obywatelami. Doświadczenie, zdobyte w Galicyi i Poznańskiem jest dla zaboru rosyjskiego bezwładnem, dzieje ostatnich stu lat są martwą literą, bo potężniejszą jest myśl o naśladowaniu Europy, o zmałpowaniu podziału na partye, szyldy, frakcye, lewice i prawice, choćby całemu ciału narodu polskiego brakło, po dawnemu, korpusu!...

I stąd przeciętny umysł Polaka, poddanego Rosyi, umysł, wychowany na polityce „Gazety Policyjnej“, po dawnemu strzeże swej bezpartyjności, po dawnemu daje odczepne pepeesom, płacze na „Obronie Częstochowy“, podpisuje adres lojalny, zawiera przymierze z rewirowym, śpiewa na manifestacyi patryotycznej, woli nie zadzierać z „Czerwonym sztandarem“, ze swej wielkiej postępowości kłania się Chassydom, łotrów, zbójów i bandytów nazywa potulnie „młodzieńcami“, w Warszawie wielbi pruski porządek, w Poznaniu chwali szeroką naturę rosyjską, zazdrości w Wilnie galicyanom swobód konsty-

tucyjnych, a we Lwowie wzdycha do świetnych interesów w Rosyi!

I stąd przeciętny umysł Polaka, zagadnięty kategorycznie, — sięga do zapasu frazesów i wydyma nimi swoje bezpartyjne godło — pęcherz.

LUD I LUDOMANJA.

Piękne hasła i zawsze tylko hasła. — Lud bez osłonek. — Kto doń trafia. — Monopoliści. — Sukmany, jako dekoracya zabaw. — Kwestya jednego wyrazu. — Urodzeni arystokraci. — Polska równość. — Czarodziejska konstytucya. — Demokracya. — Endecy w Galicyi. — Trzy prądy podaustryackie. — Wpływ kleru. — Mankietnicy. — Głód duszy.

W żadnem społeczeństwie tylu pięknych apostrof, tylu gromkich wezwań a uroczystych zapowiedzi pod adresem ludu nie wyrzeczono, co w polskiem, no i w żadnem też, stosunkowo do haseł, nie uczyniono tak mało dla ludu, jak w polskiem.

„Lud", „dla ludu", „z ludem", „przez lud" — toć chyba jedno z najmilszych przypadkowań, któremu oddajemy się od wieku z górą, bo od konstytucyi trzeciego maja prawie. Ale, niestety, to przypadkowanie nasze wyrazu „lud" jest w rzeczywistości równie pustem, jak odmiana słowa amare w ustach pierwszoklasisty. Przestrzeń bowiem czasu, dzieląca nas od Racławic, już w jednem stuleciu się nie mieści — a lud ledwie dźwiga się, ledwie oczy przeciera, ledwie ośmiela się głos zabrać a o swoje upomnieć się prawa!

Ach, my sami zdajemy sobie sprawę z tego smutnego stanu, my, inteligenci, przyrzekamy sobie pracę żarliwą, byle nieco zelżały, krępujące nas, więzy — ale pocieszamy się myślą, że chcieliśmy, lecz nie mogliśmy, bo zaborcze rządy... itd.

Prawda, prawda, zaborcze rządy wiele nam szyków popsuły, no, ale i znów nie mamy potrzeby nadto naszemi chęciami się chwalić ani słowami z aktów niedokonanych się sumitować. Powiedzmy sobie szczerze, iż tak bardzo to i nie chcieliśmy, iż usiłowań jednostek nie wspieraliśmy i trwaliśmy tylko na słodkiem westchnieniu „gdybyż lud nasz!...“ To nasze westchnienie było pobożnem życzeniem sobie cudu, ale nie wezwaniem do zakasania rękawów.

Rządy zaborcze paraliżowały nasze zabiegi a raczej, myśmy tak głęboko uwierzyli w siłę paraliżującą nas, że i tam, gdzie ona nam nie groziła, nie czyniliśmy nic...

Ale już nie wypominajmy sobie tych błędów niezliczonych, kołyszmy nasze sumienie narodowe naszem ubezwładnieniem, zapomnijmy o tem, czyśmy mogli co zrobić dla ludu w czasach Księstwa Warszawskiego lub Kongresówki, wierzmy żeśmy potężnych zadań dokonali w Galicyi, wierzmy, iż to nie Prusacy uświadomili lud poznański, wierzmy, iż wiele uczyniliśmy w zaborze rosyjskim, wierzmy wszystkim legendom, byleśmy z nich czerpali otuchę do pracy, byleśmy nie zaczęli myśleć o odpoczynku, byleśmy ogarnęli raz ogrom, leżących odłogiem, niw, byleśmy spostrzegli, iż walka o te niwy nie tylko nie ustała ale wybuchnie silniejsza...

Lecz, aby praca nasza była owocną, wyprzyjmy się ludomanii, zerwijmy z histeryą, która nam chłopa „tworzy“ takim, jakim byśmy pragnęli go mieć a jakim nie jest, zaniechajmy poetyzowania tego, co jest twardym i gorzkim orzechem, stawajmy do warsztatu z jasną świadomością, co nas tam spotka.

Lud polski?!... Rzec prawdę trudniej, niż skłamać... Lud polski jest złym. Jest złym, bo w lwiej swej części jest mściwym, nieufnym, chytrym, podejrzliwym i upartym. Jest złym bardzo, bo jest ciemnym — jest takim zresztą, jakim uczyniła go nasza obojętność i bezradność a rządów zaborczych polityka waśnienia.

Takim jest lud polski, poza ramami Poznańskiego i kilku wyspami innego ładu i obyczaju w Galicyi i w zaborze rosyjskim.

Tej prawdy smutnej u nas się nie wyznaje, bo u nas chłopem zajmuje się mieszczuch, mieszczuch koncypuje dlań literaturę, mieszczuch rozprawia o tych, których ani zna, ani rozumie. Ziemianin zaś inteligent, albo, żywiąc niechęć dla przywar ludu, odgradza się odeń, albo, jako nowicjusz, garnie się, lecz, przy bliższem zetknięciu się, rozczarowuje się i wyrzeka czemprędzej zapałów.

Do chłopa dociera tylko ludoman — ale ludomanów czynu mamy wogóle mało, a pośród nich wielu takich, którzy raczej zła niż dobra przysparzają, bo, posiadłszy odrobinę

miru u ludu, na tym mirze lubią wypływać, bo, miast jednać i godzić niesnaski, kują z nich dla siebie oręż. A przecież nie w tem rzecz, aby lud przerabiać na kastę, lecz aby go dźwignąć ku oświeconym i z nimi zlać.

Ludomanja ma podotąd monopol, ma monopol dlatego, iż w zacietrzewieniu swem nie roi o podniesieniu ludu, lecz stara się ku niemu zniżyć; ma go i dlatego, iż nasze społecznikostwo zraża się brakiem wdzięczności ze strony ludu... bo nasze społecznikostwo nie rozumie pracy dla przyszłości, bo nasze społecznikostwo, siejąc, chciałoby samo rżąć. A więc, albo są tacy, którzy od ludu stronią i nie czynią nic ku jego podniesieniu albo są, którzy póty garną się do ludu, póki się z nim nie zetkną, póki tą lub ową stroną jego charakteru się nie zrażą. Fakt, że zła, wytworzonego przez setki lat, nie może wytępić wpływ jednego pokolenia, sprowadza naszą energię do zera.

I cała nasza praca nad ludem redukuje się do entuzjastycznych wybuchów, do teatralnych efektów, do fajerwerków nastrojowych. Sukmanami radziśmy zdobić rozmaite fety i uroczystości i podczas tych uroczystości radziśmy, na intencyę ludu, wpadać w konwulsye histerycznych wynurzeń. Ale, gdy chwila uniesienia minie, gdy brzask poranku wytrzeźwi nam głowy, wracamy znów bezwiednie

do dawnej apatyi, co gorsze, wracamy przeświadczeni, żeśmy „coś“ dla ludu i to „coś wielkiego“ uczynili.

Uprzytomnijmy sobie te wszystkie malownicze obchody, jubileusze, a rocznice warszawskie, lwowskie czy krakowskie, w których świty chłopskie sadowiliśmy na poczesnem miejscu, w których nie przychodziło nam na myśl, że te świty są albo elementem, wyodrębniającym się z masy ludu albo potulnym materyałem, umiejącym zręcznie wywiązać się z wyznaczonej mu przez panów roli. Uprzytomnijmy sobie te sławetne uroczystości i wspomnijmy bodaj na jeden jedyny wyraz, na ten wyraz, którym szafujemy tak obficie, który wypisujemy przy każdej zdarzonej okazyi na naszych chorągiewkach, którym od stu lat pstrzymy wszystkie akty naszej obywatelskiej działalności! Wspomnijmy na wyraz — „równość!“

Żaden chyba naród na świecie w podobnie papuzi sposób nie zaprzysięgał równości, żaden naród nie nadużył tak bardzo potężnego zawołania, nie sprowadził wielkiego hasła do wartości pustych, bezbarwnych głosek!

Równość! — Ach, wszakże to my, my, Polacy, jedni z najpierwszych, wykryliśmy ten drogocenny kruszec! Ach, gdybyż niegodziwe knowania mocarstw nie zgasiły nam ognia równości, którym płonęła konstytucya trzeciego

maja!!... Gdybyż pieczęć Kościuszki wyszła zwycięzko z maciejowickiej rozprawy... ach, wówczas, pokazalibyśmy światu, czem powinna być równość w dobrze urządzonem państwie!

Oto ulubione nasze westchnienia do równości! A następstwem tych westchnień jest to, że, nie mogąc „pokazać światu“ ideału równości, wyrzekamy się równości nawet tam, gdzie ona jest wyrazem wcale nie spotęgowanej cywilizacyi i uprawiamy obyczaje godne czasów niewolnictwa, poddaństwa i możnowładztwa. I co dziwniejsze, iż ten barbarzyński obyczaj poniewierania słabszym i wywyższania się nie jest złem uprzywilejowanem jednej kasty, lecz głupotą, ogarniającą nawet tych, którzy nie mają prawa i do urojonych danych na społeczną wyższość.

Prawda, Polacy należą do ludzi najczęściej całujących się ale i do ludzi najrzadziej podających sobie dłonie do uścisku.

Ba, i gdybyż choć manja wywyższania się nie przybierała form obelgi i zabijania w ludziach godności, gdybyż była sobie nieszkodliwą, płytką dumą ludzi, wyobrażających sobie, iż są z innej ulepieni gliny!... Gdybyż choroba umiejscowić się chciała w jakiejś wyjątkowej warstwie! Gdybyż istniała tylko w tem, co, zwolennicy walki z nieistniejącym przeciwnikiem zwać lubią „szlachtą“... Gdybyż ta

szlachta dała się dziś pochwycić, gdybyż nie była rozbitą na strzępy gromadą, której potomkowie zarówno siedzą na wykrawkach fortun, jak i na poddaszach, zarówno u warsztatów, jak i za stołami kupieckimi! Wówczas, wiadomem byłoby przeciw komu ostrze zwrócić, kogo dosięgać!

Polak jest urodzonym arystokratą. Polak, na najniższem stanowisku, szuka dla siebie wywyższenia, a szuka nie przez zasługę własną, nie przez swe przymioty serca, lecz przez ciemiężenie i poniewieranie i poniżanie innych.

Polak jest urodzonym arystokratą — ale nie dla tego, żeby istotnie przychodził na świat ze zboczeniem, z jakimś guzem arystokratycznym, lecz że od dzieciństwa wsysa zarazek, że od najmłodszych lat zaprawiają go do uniżenia, lokajstwa i tłumienia w sobie godności wobec silniejszych, a za to, do wyładowywania bezkarnego fałszywej ambicyi na karki słabych i zależnych.

Polska równość! — No tak, zaprószona głowa, dobry humor a wówczas nie tylko kmieć jest dla pana „bratem“, ale i bankier dla kantorowicza „kolegą“, ale i stróż domu dla kamienicznika „przyjacielem“, ale i sługa w winiarni dla rozbawionego amfitryona kandydatem do „bruderszaftu“... Ale, niechże ten sam „brat“, „kolega“ i „przyjaciel“ zechce

z tego zbliżenia wyciągnąć dla siebie wskazówkę towarzyską lub wyprowadzić wniosek o równości i zaniechać płaszczenia się i pokory!!...

Zabór rosyjski ma w tym wypadku swój wyłączny argument, mianowicie, w chwili ubolewania nad poniewieraniem równości, wskazuje na Rosyan, jako na tych, którzy udaremniają pracę w tym kierunku, którzy, przy zetknięciu się z polskim ludem, psują go datkami a wybrykami samowoli przytłumiają rozwój poczucia godności.

Argument byłby słusznym, gdyby nie Poznańskie a nadewszystko Galicya!!...

Kraków, Lwów całe Koło Polskie z godziny na godzinę radeby do serca przycisnąć wszystko, co się zwie ludem... byle ten lud chciał, po dawnemu, patryarchalnych strzedz obyczajów!!... Ba, ale, ponieważ lud zaczyna być... „zepsutym“, ponieważ sługa nietylko ma lepszy kapelusz od „swej pani“, ale nie uczuwa żadnej „wdzięczności“ za to, iż za swą pracę otrzymuje liche wynagrodzenie, ciasny kąt na mieszkanie i resztki ze stołu, ponieważ służba wogóle jest „zgangrenowaną“, bo kancelista chciałby równie wygodnie żyć, jak sam radca, parobek jak dziedzic, a „baciarz“ niczem magnat — przeto jedyny sposób wyjścia unikać „hołoty“. A że, dalej, hołota jest określnikiem dowolnym, bo mającym akurat taką

nieskończoność wyobrażeń, jak nieskończoną jest hierarchiomanja Polaków podaustryackich, więc stąd i pogrzebanie równości i stąd dobywanie jej na pokaz w chwilach uroczystych, i stąd chowanie jej do składu godowych emblematów wraz z umilknięciem ostatniej fanfary.

My podobno już wszyscy zdajemy sobie sprawę z dobra, którego by nam równość społeczna przysporzyła, my wogóle na tym punkcie gotowiśmy do zgody, byle równość zapanowała w oka mgnieniu, za jednem dotknięciem różdżki czarodziejskiej i od krańca do krańca. Byle człowiek, mniej od nas kulturalny, nie pojął równości opacznie, byle nie wziął jej za prawo uchybiania nam! I my łudzimy się, iż byle nam rozwiązano ręce, to przez jeden akt konstytucyjny potrafiiny uczynić tak, aby stała się światłość, iż zrzucimy z siebie stwardniałą skorupę obyczaju, i wyzbędziemy się odrazu tego, co wzrastało latami w naszą krew, iż podniesiemy lud, dźwigniemy, nie pomnąc o potrzebie zniżenia nas, inteligentów, ku szczeblom równości.

A tak ci jest przecież — równość jest wyższym stopniem rozwoju społecznego, a w pełni swej niedosięgłym. Wyznawać równość i ku równości dążyć, toć znaczy ziszczać wszechludzkie ideały, toć, w naszem życiu, znaczy

nadto ruszyć z posad obskurantyzmu dwadzieścia miljonów ludu, zlać go raz jeszcze w bryłę niepożytej mocy, o dziesiątki lat dźwignąć ku miejscu, gdzie nasz wpływ, nasza jaźń narodowa sięgnęłaby i poza literaturę i sztukę.

Demokracya?! Niezawodnie demokracya ma ten cel wskazanym, ma go wytkniętym, lecz czy ku niemu dąży z tem napięciem, z jakiem powinna, czy nie nadto wiele ogląda się ku rozmaitym inteligentom, czy dość silnie pojmuje, że cała potęga narodu polskiego w ludzie spoczywa, że jeden kmieć polski znaczy więcej od dziesięciu wynaturzonych łyków miejskich?! A czy wogóle duch demokratyzmu w naszej demokracyi jest skrystalizowanym? Wszak mieliśmy na ziemi polskiej i niegdy aż nadto demokratów, mieliśmy w roku 48 i takich, co na to palili uroczyście swe szlacheckie indygenaty, aby, w kilka lat później, zrujnować się na zbieranie materyałów do ustalenia swych zniszczonych legitymacyj! Mieliśmy do licha deklamacyj demokrackich, bodaj niepośledni księgozbiór moglibyśmy utworzyć z samej demokratycznej... poezyi!... Jakiż z tej puścizny dorobek na dzisiaj? — piękne utwory literackie, ślady skier zagasłych na nieopalonych nawet, bo pleśnią wciąż okrytych, gałęziach.

Demokracya działa, demokracya zdołała osiągnąć rezultat tak znamienny, jak wiec

chłopski, jak walkę o język polski w gminach. Są to świadectwa znakomite, ale, na ogrom zaległych obszarów — ubogie. Ubogimi zaś są i dlatego jeszcze, iż narodowa demokracya zbyt zawile streszcza drugą część swego sztandaru, że nie staje po stronie upośledzonych, że pozwala na krzewienie bajek o socyalizmie, jako jedynym obrońcy uciśnionych, że politykuje z możnowładztwem, że, nakoniec, wytężając siły ku zaborowi rosyjskiemu, nie pracuje dość energicznie w Galicyi, a ledwie kołacze się w Poznańskiem.

Poznańskie, bezwzględnie, najmniej potrzebuje wpływu narodowej-demokracyi, bo narodowość tam wzrasta równolegle do hakaty, a demokracya samorodna dzielnie przepoiła tę ongi wskroś rycerską i najstarszymi rodami szlacheckimi usianą ziemię Wielkopolską. Ostatnie wybory do izby są znakomitym dokumentem wzrastającej tężyzny ludu poznańsko-ślązkiego.

Ale, wzamian, Galicya, ten skład austryackich obywateli, austryackich nadradców, starostów i cesarsko-królewskiej tromtadracyi, jest polem zaległem a przecież ze wszystkich ziem polskich do pracy wdzięcznem, bo otwartem.

Możnaby rzec, iż narodowi demokraci, a wczorajsi wszechpolacy, w Galicyi właśnie mieli swą główną strażnicę. I istotnie, tylko ta strażnica była tak wysoką, iż, panując nad

bardzo odległymi horyzontami, nie troszczyła się o to, co się wokół niej dzieje, była organizacyą na wywóz, a wewnętrznie chodziła w tyle, za tak zwanymi, ludowcami.

Coś od dwóch lat dopiero, gdy dowództwo narodowo-demokratyczne mogło jawnie wystąpić pod zaborem rosyjskim, gdy Galicya przestała być rezydencyą endeków wszechrosyjskich — ci ostatni, w Galicyi zamieszkali, ozwali się mocniej do swych najbliższych. Ale ozwali się niekoniecznie zręcznie. Endecy galicyjscy bowiem po latach tolerancyi, objawianej galicyjskiemu socyalizmowi, poszli z nim na ostre, na zaciekłe, na nieubłagane. A przecież socyalizm galicyjski tylko po dawnemu był sobą, tylko, że, uczuwszy się na siłach, próbował czynami stwierdzać, swą społeczno-polityczną wiarę.

Zbyt gwałtowne starcie endeków z socyalizmem w Galicyi miało dla pierwszych to fatalne następstwo, że, przez zapalczywą taktykę, osłabiło znaczenie celu demokracyi a wysunęło na pierwszy plan samą narodowość. A przez to dało socyalizmowi potężny argument o tem, że on jeden dąży do reformy społecznej, że on jeden broni uciśnionych, że on jeden zstępuje ku maluczkim i upomina się o prawa dla nich.

Powiedzmy otwarcie, — porywczość endeków galicyjskich wzmocniła socyalizm gali-

cyjski, wzmocniła wpływ ludowców a narzuciła narodowej demokracyi wstecznictwo i hołdowanie konserwatyzmowi. Lud, nie znajdując dla swych najbliższych potrzeb wyraźnego programu śród demokratów, zwrócił się ku socyalizmowi i, tak zwanym, ludowcom, tembardziej, że nietylko ostatni ale nawet pierwszy obiecuje mu Polskę!... No, a sprawa rusińska!... Ile endecy galicyjscy zdziałali ku jej przytłumieniu a ile ku zaognieniu niechęci?!

Ale endecy galicyjscy mają wielki argument na swe usprawiedliwienie. Endecy galicyjscy byli nieomal podotąd żywiołem napływowym, byli rozbitkami po większej części z zaboru rosyjskiego, którzy dla zaboru tego pracowali!... Tak, narodowa demokracya była tylko gościem w Galicyi, gościem najczęściej przez prawowiernego galicyanina poważanym, ale i nierozumianym... I narodowa demokracya, po dzień dzisiejszy, w Galicyi jest partyą najsłabszą, najuboższą.

W Galicyi panują trzy zdeklarowane prądy: stańczyków rozmaitych odcieni, międzynarodowych socyalistów i ludowców. Pierwsi zabiegają tylko o to, jakby w austryackości utuczyć swe samolubne widoki i ambicye, drudzy burzą wszelką najlepszą pracę społeczną dla zasady opozycyi a sieją nienawiść klasową, trzeci lud przerabiają na kastę i znów judzą

i znów drażnią i są takiem samem złem, jak niegdy szlachta, jak możnowładztwo.

Na pociechę, możnaby zauważyć, iż lud galicyjski waha się, że jeszcze nie jest zdobytym, nie jest jeszcze podzielonym. Lecz i z tej pociechy ta prawda, że walka o lud w Galicyi zaostrza się, że wybuchnie lada dzień w całej pełni.

Zapowiedzi groźnych nie brak. Socyalizm ani jednej nie zaniedbuje okazyi, aby bezwzględnie i z zasady stawać po stronie proletaryusza, socyalizm każdy zatarg kapitału z pracą umie przekuwać na oręż wojny domowej, socyalizm nie cofa się bodaj być wrogiem swej własnej narodowości. Ludowcy sekundują socyalizmowi, a o tyle odeń się różnią, iż ku swej stronie ciągną proletaryuszów, iż są znów fanatyczną zawziętą partyą, nie zdolną zapalić pochodni miłości i braterstwa.

Stańczycy nakoniec różnych odcieni żywią ścieranie się socyalistów z ludowcami, wierzą, iż te partye na to rosną, aby się wzajem zadławić i stańczycy szukają dla siebie ościeni w religii, w klerze. Jakoż kler galicyjski chodził dotąd w kieracie stańczykowskim i chodził tak, że wpływ swój własny poderwał, osłabił. Dopiero dziś, gdy odłam grecki katolickiego kleru galicyjskiego stanął po stronie „riezunów“ rusińskich, gdy karyerowiczow-

ska sylwetka metropolity Szeptyckiego coraz pełniej zarysowuje się na tle rusińskich separatyzmów, gdy głowa unii religijnej dostaje zawrotu wielkości, a marząc o tem, że lepiej być pierwszym śród Rusinów niż czwartym śród Polaków, staje się otwartym renegatem i mizernym zaprzańcem, — dopiero dziś kler polski w Galicyi budzi się!

Budzi się podobno ten sam kler i pod zaborem rosyjskim i w Poznańskiem, a raczej budzi go lud i zmusza do zerwania z lojalnem odrętwieniem. Ale bodaj to budzenie się kleru nie było spóźnionem, bodajby było czemś więcej niż żalem po niewczasie, bodajby nie wszędzie budził się przy odgłosach mankietnictwa, oby brał przykład z ostatnich godzin życia arcybiskupa Stablewskiego, oby nakoniec wyzbył się takich tchórzliwych starców niedołęgów, jak biskup Likowski i jemu podobni.

Podotąd kler katolicki panował ludowi, on jeden miał do niego dostęp, on jeden mu przewodził, on jeden nań wpływał. Lecz czy zawsze i wszędzie wpływał tak, jak był powinien? Smutne rezultaty najlepiej tu objaśniają. A rezultaty są bardzo smutne, gdyż, jeżeli na jednej połaci ziemi kler położył zasługi, jeżeli przyczynił się znakomicie do podniesienia ludu, to, wzamian, na drugiej zniweczył ten dorobek, który przed laty oddziedziczył.

Najwymowniejszym dokumentem jest pomienione mankietnictwo, reakcya fanatyzmu, wywołana rozkrzewieniem się indeferentyzmu. Wybuch ascetyzmu, spowodowany brakiem ascetyzmu...

Najwymowniejszym dokumentem głodu duchownego ludu polskiego jest właśnie ten jego, niepostrzegany dotąd, zwrot do sekciarstwa, to jego zaciekłe obstawanie przy księżach-odszczepieńcach!

Nic tu nie pomogą słowa otuchy, nic obliczenia, że mankietnictwo jest słabym płomykiem, że, w najgorszym razie, umiejscowi się!...

Tylko nieopatrzność i krótkowidztwo może nie postrzegać grozy, tylko zaślepienie zdolne jest łudzić się, iż skra, padająca na tak wypalony suszą duchową żywioł, jakim jest nasz lud, nie wznieci pożaru!

Tylko zacietrzewienie może nie widzieć, iż jedynym punktem wyjścia z odmętu mankietnictwa jest wielka miłość, wielka dobroć, jest jaknajszybsze wyciągnięcie ramion ku odszczepieńcom, jest pojednanie, bodaj okupione ambicyą dostojników kościoła.

Tak, głód duszy ludu polskiego stał się wielkim.

Anarchista Bakunin powiada, iż lud, chcący porwać krępujące go łańcuchy a tem samem dolę swą polepszyć, ma trzy środki — dwa fantastyczne i jeden realny. Dwa pierwsze —

są to religia, więc szukanie dóbr pozaziemskich i alkohol, więc szynk poprostu, więc oszołomienie. Trzecim, realnym środkiem, jest rewolucya!

Lud polski aż nadto uciekał się i ucieka do środków fantastycznych, aż nadto gorliwie ufał i ufa, że życie pozagrobowe nagrodzi mu stokroć wszystko zło zaznane na ziemi... Aleć chyba dość nadużywania tej ufności ludu polskiego, dość, bodaj nie przez miłość ku niemu, ale przez miłość ku samym sobie, ale przez świadomość, iż, za lada podmuchem, lud polski może rzucić się do rewolucyi, może przez rewolucyę socyalną wziąć to, czego mu dobrowolnie dać nie chcemy i nas, inteligentów zgnieść!

Ach, my przecież chcemy!... Przysięgamy sobie pracować, aby analfabetyzm ludu polskiego przeszedł do historyi! Jeno wciąż pomijamy fakt, że obocześnie i sami w sobie powinniśmy wytępić analfabetyzm społeczny, że nie idzie tu głównie o to, aby kmieć, parobek lub zarobnik umiał czytać i pisać, lecz aby nadewszystko z nami czuł, z nami kochał, aby był nam równym, aby przestał być chłopem!

PANSLAWIANIZM WSZECHROSYJSKI.

Dawniej i wczoraj. — Groźba dyplomatyczna. — Ruch na daleki wschód. — Odwrót z pod Mukdenu do panslawianizmu. — Pozory federacyi. — Królestwo Boże na ziemi. — Nieco o Grecyi. — Słowiańskie rodzeństwo. — Credo slawisty. — Fałszywe tony. — Wspaniałomyślność wielkorosyjska i polska naiwność. — Pangermanizm i panslawizm.

W szeregu rozmaitych prądów, wymierzonych przeciwko odrębności politycznej polskiej, zajmuje wcale niepoślednie miejsce panslawizm, a więc ideja zwarcia wszystkich szczepów słowiańskich w jedno wielkie państwo.

Cechą charakterystyczną tej idei była podotąd ta okoliczność, iż garnęła się do niej bardzo skwapliwie Rosya urzędowa, oficyalna! Ba, i garnęła się, cale poważnie wypominając swe wielkie zasługi, położone na polu obrony słowiańszczyzny, ba, i z każdej sposobności korzystając, byle pouczyć uboższą brać słowiańską o tem, ile to zawdzięczają Rosyi Bułgarzy, a ile Serbowie.

Panslawizm rosyjski miał podobno niepośledni swój wyraz w polityce zewnętrznej, a już na Bałkanach posuwał się do sutych zapomóg, udzielanych rozmaitym instytucyom i osobom, pracującym na urobienie, rozmiłowanych w powołaniu opiekuńczem Rosyi, serc. Jakoż od folwarku księcia Mikołaja Czarnogórskiego począwszy, a na Pradze czeskiej

skończywszy, panslawizm wszechrosyjski znajdywał licznych stronników, a już w rozmaitych aktach politycznych urastał na groźny argument.

Jakoż utarło się śród słowiańszczyzny, że w każdym momencie zaszachowania Czarnogórza, Serbii czy Bulgaryi przez dyplomacyę austryacką czy turecką, poczucie wszechrosyjskiego panslawizmu wybuchało nawet na szpaltach Katkowsko-barbarzyńskich „Moskiewskich Wiadomości". Utarło się nadto, że, przy lada zatargu, swój panslawizm wszechrosyjski nietylko Czesi nauczyli się manifestować, ale nieomal Węgrzy, nieomal Madziarzy umieli nim wygrażać austryackiemu gabinetowi!! Nie dość, panslawizm wszechrosyjski nawet w starciach niemiecko-polskich znajdywał oddźwięk...

Ba, ale w rzeczywistości i na tem kończyła się cała dotychczasowa doniosłość panslawizmu wszechrosyjskiego. Straszono Rosyą tych, którzy Rosyi się bali, odwoływano się do Rosyi tem silniej im była dalej. Rosya zaś podczas miała sobie panslawizm za wytyczną dla swych najbliższych apetytów zaborczych, no i miała panslawizm za naukę moralną dla tych słowian, których usiłowała prawosławić i rusyfikować.

Zresztą, panslawistyczne zapały Rosyi oficyalnej były aż nadto doceniane i pojmowane przez słowian. Obłąkanie zaś tam tylko miało

miejsce, gdzie zawsze i w każdej sprawie obskurantyzm paczy trzeźwość sądu. Boć nikt bodaj ze słowian myślących nie wątpił, że panslawizm wszechrosyjski jest tylko dążeniem do rusyfikacyi, do pochłonięcia ziem słowiańskich i narzucenia im nie tylko hegemonii rosyjskiej, ale i rosyjskiej narodowości i rosyjskiej kultury. Przykładem tu najoczywistszym wartości słowianofilstwa wszechrosyjskiego byli już nietylko Polacy, jęczący w okowach pobratymców, ale i Małorusini, od wieków pozbawieni praw do ojczystego języka, i Białorusini, zlewani w jedność wielkorosyjską.

Lecz, pod koniec wypadków wczorajszych, panslawizm wszechrosyjski ustał. Polityka zaborcza rządu przerzuciła się na daleki wschód, Rosya oficyalna coraz rzadziej wypominała swą pansłowiańską zwierzchność, coraz obojętniej spozierała ku Bałkanom, rozumując, iż równowaga europejska nie uwierzy tak łatwo w rosyjskie prawa do ziem słowiańskich, a podczas bogate i żyzne obszary mandżurskie, kwantuańskie i koreańskie są zdobyczą o wiele bogatszą i łatwiejszą.

Dzieje ostatniej doby pouczyły, iż Rosya o całe sto lat spóźniła się na dalekim wschodzie ze swą pochodnią cywilizatorsko-zaborczą, że tam nietylko nie ma kogo uczyć poszanowania dla swej potęgi i kultury, lecz

samemu raczej można zjaponić się, czy bodaj i zchińszczeć.

Ta prawda już się uwidomiła, objawiła i stężała. Rosya musi na dalekim wschodzie myśleć dziś nie o odwecie, boć ten stał się prawie niemożliwym, lecz o obronie skurczonych swych granic, o wzmocnieniu tego samego muru chińskiego, który tak gwałtownie zburzyć niedawno usiłowała. Zaczepno-zachłanna polityka Rosyi na dziesiątki lat, a podobno i raz na zawsze, zeszła w Azyi na pojednawczo obronną. Nikogo tam już nie ma dla Rosyi do nawracania na wszechrosyjskość, a raczej i ci, co zostali w granicach zielono wymalowanych, obudzić się gotowi dla separatyzmów buriatskich, kamczadalskich, kurdskich, czy ogólno-syberyjskich. Odwrót z pod Mukdenu zaczął się, ale nie skończył, bo może skończyć się zarówno nad Amurem, jak i na Uralu, a prędzej na drugim, jak nad pierwszym.

Lecz, stawiając bodaj najoptymistyczniejsze horoskopy dla odrodzenia Rosyi, wierząc, iż Chiny i drugie tysiąc lat prześpią pod bambusami mongolskiej dynastyi, jeszcze trudno zaprzeczyć prostemu wynikowi dziejów, że ciężar polityki rosyjskiej musi wrócić wraz z niedobitkami Kuropatkina i musi skupić się na zachodzie. Powrót tego ciężaru będzie więc i powrotem do zarzuconych niedawno haseł,

więc zezowaniem ku Bosforowi, przez pryzmat braterstwa z bałkańskimi słowianami, więc wspomaganiem i ubolewaniem nad Rusinami austryackimi, przy gnębieniu Rusinów rosyjskich, więc zapijaniem kuzynowstwa z Czechami, więc szukaniem związków rodzinnych nawet u księcia Mikołaja, a duchowych choćby u abissyńskiego Menelika. No a sztandarem tej fali powrotnej, odepchniętej przez Ocean spokojny będzie znów panslawianizm... I panslawianizm wzmożony, stężony, gdyż mający za sobą ustępstwa dla Polaków, mający pomocniczy ruch tych liberałów rosyjskich, którzy o federacyi słowian już rozprawiają, mający nadto germanofobiję ludów romańskich, które za wszelką cenę gotowe są przyłożyć rękę do uformowania słowiano-romańskiej koalicyi, bo nakoniec, posiadający nawet w samem społeczeństwie polskiem, jeżeli tylko dziesiątki słowianofilów, to za to tysiące skłonnych do zawarcia przymierza z ludem rosyjskim na warunkach autonomii, praw kulturalno-polskich itp. oklepanych postulatów.

I napozór federacya wszechsłowiańska powinnaby doprawdy znaleźć dla się serca wszystkich ludów słowiańskich i napozór idea panslawizmu wydaje się puklerzem, zdolnym osłonić ludy słowiańskie przed wszelkimi zakusami zaborczo-wynaradawiającymi i zape-

wnić im pełnię kulturalnego rozwoju. I napozór federacya taka byłaby i odrodzeniem słowiańszczyzny, i okiełznaniem germanizmu, i jutrzenką na ołowianym wiecznie firmamencie politycznym Europy, i zagojeniem całego tuzina bolączek nietylko polskich i małorusińskich, ale i czeskich i horwackich i słowackich i bulgarskich i serbskich i białorusińskich i kroackich!

Lecz dlaczegóż „napozór"? — Czyżby myśl utworzenia Wolnych Stanów wszechsłowiańskich nie była sama przez się wielką, czyżby nie znamionowała postępu ku celowi wyższemu... bo czyż w istocie dźwignięcie patryotyzmu z zamkniętych ram Czech, Rosyi lub Polski ku szerokiemu przestworowi jednej wszechsłowiańskiej ojczyzny nie byłoby drogą ku tej prawdziwej ojczyźnie człowieka, ku ludzkości?!... Czyżby wyrzeczenie się przez odnośne państwa i państewka zewnętrznorządowych odrębności nie było tylko prostem uwolnieniem się od jakichś Karadżordżewiczów, Obrenowiczów czy Koburgów?!... A w rezultacie pewne skwitowanie z maskaradowonarodowej barwności dekoracyjnej na rzecz demokratyczno-federacyjnej szarzyzny, czyżby któremu z ludów słowiańskich przyniosło uszczerbek?! Wszak ci na każde z tych pytań można odpowiedzieć bez namysłu, bo na żadne z tych pytań nie ma dwóch odpowiedzi,

tylko zawsze jedna, a wszak ci legjon jeszcze takich pytań da się wysnuć i tak je spoiście sformułować, tak nimi mózg uzbroić, iż, w oka mgnieniu, rozewrze przed nami wrota rajska kraina wszechsłowiańskiej szczęśliwości, iż, w oka mgnieniu, ziszczą się tęsknice słowiańszczyzny, znikną udręki i stumiljonowy z górą sojusz ludów spłynie nieskończonem dobrodziejstwem.

Toćże i historya daje nam znamienny przykład! Bo, ileż to razy, wczytując się w dzieje starożytnej Grecyi, ubolewamy nad waśniami Aten ze Spartą, ileż to razy widzimy Grecyę zawsze silną, gdy zjednoczoną, i zawsze drżącą w posadach, gdy rozszczepioną na państwa i państewka! Bo, ileż razy postrzegamy tylko, że poprostu Grecy walczą z Grekami! I jakże często, przenosząc się myślą od dziejów Grecyi do dziejów słowiańszczyzny, poddajemy ucho na wykład, że my, Polacy, jesteśmy temi Atenami słowiańskiemi, którym Sparta odebrała hegemonję wojskową, że w rezultacie, bierz djabli tę hegemonję, byle hegemonję trwalszą, bo kulturalną, ocalić! Tak, bierz licho wojskową hegemonję (boć ona i tak sama przez się staje się przeżytkiem), gdy, przed nami, Polakami, za cenę amarantowo-białej płachty, tak niezmierzony roztwiera się przestwór!

Federacya wszechsłowiańska! Przecież to cel i podniosły i wdzięczny i do przeprowa-

dzenia tak łatwy, tak bardzo łatwy, jak utworzenie zapowiadanego przez Chrystusa Królestwa Bożego na ziemi! Boć, jak do osiągnięcia tego Królestwa Bożego starczy wyznanie przez ludzkość przykazania o miłości bliźniego, tak i do zbudowania federacyi wszechsłowiańskiej starczy wyznanie tej samej miłości śród Słowian! I federacya ta jest równie łatwą do utworzenia, jak Królestwo Boże, jest tak niezmiernie łatwą, że, jak Królestwo Boże na ziemi, na lata długie nieziszczalną.

Czemu nieziszczalną, gdy obocześnie łatwą! Czy w tem zestawieniu tkwi sztuczna gra słów, rozmyślny paradoks?! Nie.

Jeno ten prosty określnik, iż rozwój jest postępowem zaprzeczeniem swego punktu wyjścia, że gałęź, raz wybujała, nie zrośnie się z pniem, że łatwiej obcym sobie strumieniom zlać się w rzecznem korycie, niż raz rozszczepionej rzece wrócić do wspólnego łożyska!...

Tysiąc lat oddzielnego bytowania ludów, z jednej kolebki wyszłych, w najpomyślniejszych warunkach, ledwie zachować może pewną dozę sentymentów — ba, ale wszak ci już nawet tysiącolecie nie ogarnia rozpadnięcia się słowiańszczyzny, wszak ci ta chwila jedności słowiańskiej rozpłynęła się w mrokach i w takich mrokach, że ludy słowiańskie już i w legendach i podaniach idą w pojedynkę, wszak ci historya nie pozwala bodaj się łudzić czemś,

co niegdy było, bo historya stosunków międzysłowiańskich nie posiada prawie nic z tego, coby dało się wskrzesić na chwałę federacyi słowiańskiej.

Ludy słowiańskie poszły w rozsypkę i w rozsypkę tak wielką, że gdy słowianin silny spotykał na swej drodze słowianina słabego, to nie poznawał w nim pobratymca, to rad miał go za „obcoplemieńca". Ludy słowiańskie uległy różnym wpływom różnych kultur i to często sobie wrogich. Ludy słowiańskie wyrobiły się już nie na odrębne cywilizacyjne narody, ale i na odrębne rasy. A jeżeli w rdzeniu swej jaźni zachowały pewne wspólne cechy, uprawniające do zaliczania ich do jednej rodziny, toć z tego korzyść dla nauki, dla historyi ludzkości, ale jeszcze nie dowód, aby, dla racyi istnienia rodziny kotów, lew przyjaźnił się z tygrysem lub lampart z pumą.

Rosya?! Zapomnijmy bodaj o stosunku jej do Polaków, załagodźmy wiekową walkę polakożerczą wspomnieniem, że i my umieliśmy chodzić na Moskwę, że i my potrafiliśmy zajść Rosyi za skórę i wystawmy sobie, że panslawianizm rosyjski przybrał najzacniejsze formy... i już zaznaczył się nietylko nadaniem nam pełni swobód, lecz i przywróceniem i Małorosyi i Białorusi praw rozwoju narodowego! I dalej, zgódźmy się na owo credo jednego z naszych działaczów, który do sla-

wisty-Rosyanina rzekł (w imieniu Polaków) „wy Rosyanie, miejcie sobie wojsko, policyę, żandarmeryę, ambasady, politykę zewnętrzną, ster administracyi, a nam (Polakom) dajcie wolność rządzenia się u siebie!“ A teraz, przy tak nieprawdopodobnie dzielnym fundamencie, przyjrzyjmy się tej budowli wszechsłowiańskiej i spróbujmy w niej się rozejrzeć.

Najpierw, w tej wszechsłowiańskiej orkiestrze uderzą nas instrumenty, zgoła fałszywe wydające tony, bo zgoła niesłowiańskie... bo poprostu tatarskie, ormiańskie, fińskie, niemieckie, mongolskie, może aryjskie, ale zawsze niesłowiańskie. Cóż z nimi poczniemy? czy może nasza prawomyślność wszechsłowiańska każe nam niezawodnie zająć się zesłowiańszczeniem tych żywiołów, lecz, ponieważ słowiańszczenie nie może mieć wyłączności, przeto będziemyż je może równorzędnie polszczyć, rusyfikować, czy małoruszczyć?! Nie! Dźwigniemy się na szczyt wspaniałomyślności i każdemu obywatelowi przyznamy prawdziwe a nie obiecywane prawo śpiewania „jak mu dziób urósł“. No, ale w takim razie, z góry skażemy się na suchotniczy żywot, bo na odpadnięcie od ciała wszechsłowiańskiego już nietylko Finlandyi, ale i nadbałtyckich prowincyj i Kaukazu i Kazańskiego królestwa i Krymu i Syberyi po Ural i może Litwy i jeszcze nie wiadomo gdzie mogących zakwitnąć

separatyzmów! Przyjmując zaś najhumanitarniejsze rozwiązanie i zgoła braterskie odniesienie się wszechsłowian do narodowości niesłowiańskich, musimy stwierdzić, że Rosya do federacyi wprowadza nam żywioły obce słowiaństwu, że federacya słowian pod hegemonją Rosyi nietylko nie chroni odrębności słowiańskiej, ale ją wystawia na zachwaszczenie. Z tego pewnik, że federacya słowian pod egidą Rosyi będzie tylko federacyą ludów wschodniej Europy, ale nie wyłącznie słowiańską, że słowianie w tej federacyi albo będą zniewoleni ścierać się na każdym kroku z ludami obcymi, albo odgrywać względem nich rolę zaborców i gnębicieli.

Rosya jest tylko państwem rosyjskiem, lecz nie słowiańskiem, stąd, zapominając zupełnie o niebezpieczeństwie, wynikającem z chęci narzucenia projektowanej federacyi hegemonii wielkorosyjskiej, nie podobna, przy największym optymizmie, zapomnieć o niebezpieczeństwie, wynikającem z różnonarodowości Rosyi.

Rosya wówczas mogłaby rościć sobie prawa do panslawizmu, — gdyby chciała wrócić do swych etnograficznych wielkorosyjskich granic, gdyby wyrzekła się swych trzydziestu pięciu ludów, nie mających nic a nic wspólnego ze słowiańszczyzną!

Możnaby tu rzec, że i cóżby nam szkodziło

bodaj i zbratanie się z Tatarami, Finnami, a choćby i z Burjatami, czy Kirgizami?! Czyżbyśmy właśnie tą drogą nie ziścili prędzej celu pozbycia się obskurantyzmu szowinistycznego i zburzenia granic i zbudowania jednej, wielkiej rzeczypospolitej, na imię której „ludzkość!"... I to wytłumaczenie byłoby niezawodnie pięknem, gdyby nie było znów obłudnem i podstępnem. Kto bowiem o ludzkości przemyśliwa, kto upatruje dla najbliższego jutra aż tak wielkich chwil, ten swój gmach musi budować na trwałych, zdrowych podstawach, temu nie wolno żywić się cudzą własnością, temu nie wolno dawać pozoru ciemięzcy, ten musi rehabilitacyę dawnych kradzieży zacząć od zwrócenia skradzionych rzeczy pokrzywdzonym, a nie łgać światu, że je złoży... w danym momencie na ołtarzu!...

A przecież tak właśnie rozumują nowocześni panslawiści rosyjscy, rojący już nie o braterstwie wszechsłowiańskiem, ale i wszechludzkiem... lecz na warunkach, aby Czerkies, Kałmuk, Samojed, Estończyk i Ormianin odrazu pokochali wspaniałomyślnego Wielkorosyanina i pokochali tak mocno, aby, za żadne skarby świata, nie chcieli porzucić swej gubernialno-wszechrosyjskiej przynależności.

I cały ten nowoczesny panslawizm wielkorosyjski nie byłby wart bliższego zastanowienia, gdyby znów nie odłam naszych Atteń-

czyków, którzy, w pogoni za posiadaniem własnego sklepiku, własnego buńczuka, pchać usiłują nawę polskich sentymentów na wiry wszechsłowiańskiej federacyi. Co nam, — wołają ci panowie — po jakichś zewnętrznych godłach władzy, co nam po tych szmatach, co po separatyzmach, gdy oto, na łonie potężnej rodziny słowiańskiej, możemy bytować w ciszy, pokoju i miłości!? — (w tem miejscu wypomina się ekonomiczne korzyści, brak geograficznie pomyślnych granic dla ziem polskich, no i germańską potęgę!).

Prawda! — Nam, Polakom, istotnie nie powinno iść o te „zewnętrzne godła“ — gdybyśmy, nie posiadając własnych, nie potrzebowali kłaniać się cudzym. Nam bezwątpienia byłoby dobrze złożyć utrudzoną głowę, złożyć na łonie wszechsłowiańskiej rodziny, gdyby ta rodzina była słowiańską, a nie państwowo-rosyjską!

My, Polacy, moglibyśmy zadowolnić się zresztą pracą kulturalną, gdyby nie fakt, że w rodzinie wszechsłowiańskiej nasza kultura jest skazaną na zagładę... Boć, jeżeli jesteśmy temi Atenami słowiańszczyzny, jeżeli rzeczywiście jesteśmy rasą doskonalszą, jak utrzymujemy, to panslawizm musi nas strawić, połknąć, sprowadzić do jednego mianownika słowiańskiej Beocyi — no, a jeżeli nie jesteśmy ani rasą lepszą, ani siłą intelektualną tęższą,

to, w tym kotle wszechsłowiańskim, wcale a wcale nie mamy widoków istnienia! to w tym kotle z góry czeka nas ugotowanie na jeden wielkorosyjsko-mongolski kapuśniak.

Nie łudźmy się i nie oszukujmy samych siebie. Nie bierzmy przykładu z pangermanizmu! Pangermanizm nie może być przeciwstawianym panslawizmowi! Pangermanizm dzisiejszy jest dążnością (może nam nie miłą) połączenia, spojenia jednego ludu niemieckiego, ludu równego sobie cywilizacyjnie, panslawizm zaś przemyśliwa o połączeniu wielu, odrębnych wskroś, a nawet nieprzyjaźnych sobie ludów. Aby przeciwwaga pangermanizmu odpowiadała panslawizmowi, należałoby, aby pangermanizm objął wszystkie ludy germańskie, więc anglosaskie, więc skandynawskie!! Racyi rasowych i językowych ma tyle akurat Niemiec dla Duńczyka, co Rosyanin dla Polaka i tyle Polak dla Czecha, co Duńczyk dla Szweda! — Do takiego pangermanizmu jeszcze daleko, taki pangermanizm stoi podobno aż pod wrotami Królestwa Bożego na ziemi! Tak, i stoi w pobliżu panslawizmu!

Nie łudźmy się, aby dążność wszechsłowiańska mogła być zwiastunem zgodniejszego pożycia ludów! Europa doceniła już ideję pangermanizmu i zwalcza ją, jako zło wielkie. Wszechsłowiańskość więc byłaby tylko drugiem złem, może złem dość silnem, aby zdła-

wić pangermanizm, ale znów za słabem, aby oprzeć się panmongolizmowi! — Wszechsłowiańskość zdolną byłaby ukuć obuch, bardzo miły dla Francyi, przyjemny dla Anglii, lecz ten obuch ani nam, Polakom, ani podobno ludzkości już bezwątpienia skrzydeł by nie przyprawił do lotu.

Wszechsłowiańskie braterstwo! — Cieszmy się zeń, bądźmyż skłonni do łączenia się z niem, do uwierzenia, iż najserdeczniejszych przyjaciół posiedliśmy i w tych, którzy nam życie zatruwali — ale i chrońmy się przed utopjami, strzeżmy się te podmuchy ciepłe lutowego wiatru brać za wiosenne zefiry!

POINT DE RÊVERIES. — SIŁA PRZED PRAWEM.

Dwie odprawy. — Kauzyperdstwo polityczne. — Błędne koło. — O polityce i dyplomacyi. — Przykład ostatniego turnieju. — Nasz spadek. — Precz z orłem — Siła a prawo. — Polska racya fizyka. — Czem stać się winniśmy, a czem jesteśmy. — Bismarck i Stirner.

W ciągu ostatnich lat czterdziestu ubiegłego stulecia, gdy w nieustannej jeremiadomanii staraliśmy się wzruszyć zaborców, a znów zaczęliśmy łudzić się rachubami na ich wspaniałomyślność, — znudzeni naszą żebraniną, władcy po dwakroć odsłonili nam swe atuty, po dwakroć, próbowali przeciąć strumienie bezcelowych żalów, po dwakroć, zgoła nieopatrznie, uciekli się do szczerości.

„Point des rêveries"! — zawołał Aleksander II, gdy Polacy, wpadając w szał lojalizmu i wiernopoddaństwa, zaczęli witać w nim „polskiego króla".

„Siła przed prawem"! — odpowiadał Bismarck, ilekroć rzewnymi wywodami o sprawiedliwości, o konstytucyi, o swej prawomyślności pruskiej chcieliśmy odwracać ostrze miecza polakożerczych, wyjątkowych ustaw!!...

Chyba tych dwóch kategorycznych odpraw, stwierdzonych całym gniotem, z nieubłaganą konsekwencyą stosowanych, represyj, powinnoby było starczyć na otworzenie nam oczu, na wyleczenie nas z chorobliwych urojeń, na wytrzeźwienie!

Stało się inaczej. Miast zacisnąć zęby i z otrzymanych odpraw poczerpnąć drogowskaz na przyszłość, miast zastanowić się zimno nad rzeczywistością i nauczyć się raz nareszcie, że nie masz w polityce ani takiego prawa, ani takiego traktatu, ani takiego przyrzeczenia, któreby bez argumentu siły, mogło mieć wartość, — myśmy dalej zabawiali się w utopie o sprawiedliwości, o słuszności naszego polskiego procesu!

Bu[illegible] i niedość, myśmy nieomal uwierzyli w to, iż racya bismarkowska jest czemś w reszcie Europy nieznanem, a przynajmniej zarzuconem, że tylko Niemcy, a z nimi Rosya jeszcze wyznaje tę barbarzyńską zasadę. No i, w tem przeświadczeniu, obnosiliśmy po szerokim świecie nasze skargi, nasze dokumenty historyczne, nasze kwity polityczne, obnosiliśmy je póty i z tak pobożnem zasmuceniem, iż zaczęto powoli zamykać nam drzwi przed nosem, nawet i tam, kędy aż do zbytku miano dla nas i współczucia i dobrej woli...

Talleyrand, ten najbystrzejszy z najprzewrotniejszych mężów stanu, wyrzekł pamiętne zdanie: l'avocasserie est la perte des états constitutionels et des républiques... Zdanie to, aż nadto zresztą stwierdzone na skórze Rzeczypospolitej Polskiej, której sejmy były orgjami palestranckiego obskurantyzmu, można wprost rozsze-

rzyć i na nasze dzieje porozbiorowe i na wartość całego naszego prawowania się z zaborczymi rządami! Palestrancka żyłka, kauzyperdstwo polityczne, bezcelowe pieniactwo przez lata chłonęło nasze najlepsze siły, przez lata wpajało w nas wiarę w niepożytą wartość kongresu wiedeńskiego, królewskich i cesarskich przysiąg, dyplomatycznych zapewnień, zamiarów Napoleona III, półsłówek Anglii. Ta palestrancka żyłka, przez lata, kazała nam wałkować jakieś wyrazy, jakieś domyślniki, przez lata całe wmawiała w nas, że pożółkłe nasze pergaminy znaczą więcej od armat. Przez lata kazała nam ufać, iż ten, a ten frazes, wygłoszony przy pustych ławach sejmu pruskiego, ma historyczną doniosłość. Ta palestrancka żyłka nakoniec rozpolitykowała nas, ale rozpolitykowała z tym samym podobno rezultatem, z jakim rozkapryszone dzieci kładą się do snu, tuż po niedozwolonem zabawianiu się gaszeniem zapałek.

I przez całe lata zdawało nam się, iż z dnia na dzień sułtan turecki napisze do królowej Wiktoryi, zaczem ta ostatnia, razem z Francyą, przyjmie na się rolę rozjemcy w kwestyi polskiej, no i, oczywiście, nam, co się należy, wróci, wrócić musi, bo inaczej, nie byłoby sprawiedliwości na świecie!

W kierunku halucynacyj na tle polityki europejskiej nie brakło nam zaiste pomysło-

wości. Toć cały świat prawie dzieliliśmy na ludzi sympatyzujących z Polakami i nie sympatyzujących, no i ten podział, w miarę wypadków, żeśmy zmieniali. I tak, do niedawna, Sas był nam niemieckim Polakiem, Francuz Polakiem w kwadracie, a Węgier nadpolakiem chyba, bo już bratankiem. Ale, że się prądy polityczne odwróciły, przeto Sasi są hakatystami dla nas, Francuzi sprzedawczykami, a Węgrzy nie lepszymi od Francuzów. Nasze sympatye płyną dziś w inne strony, — a szczególniej w takie, gdzie nami się wcale nie zajmują.

Bezwątpienia to nasze kołatanie się po świecie, to szukanie przyjaznego odzewu ma i swoje źródła, boć całe tysiące wygnańców, boć setki żołnierzów polskich w każdych zapasach uciśnionych z mocarzami — ale i cóż z tego, że potrafimy sobie wytłumaczyć, z którego pożaru idzie dana łuna, gdy, miast gwiazd szukać, ich światłem się kierować, za łunami idziemy. A łuny nie trwają długo, gasną i przed stłumieniem pożaru! A nas zostawują raz po raz w ciemności a, rozpalając się, znów skazują na błąkanie, na trwanie w jednem i tem samem błędnem kolisku.

Podczas, ileżby pożytku, ileż dobra, ileż ożywczej miazgi weszłoby w nas, gdybyśmy zrozumieli doniosłość i wagę i point des rêveries i „siły przed prawem“, gdybyśmy

zeszli z obłoków moralności politycznej na naszą biedną, rozszarpaną ziemię, byśmy, zachowując cześć dla uniesień, dla tej upragnionej sprawiedliwości, zaniechali zamków na lodzie!!...

Prawa historyczne?! Postanowienia kongresu wiedeńskiego?! Pierwszy czy drugi rozbiór Polski?! Polska Chrobrego, Batorego?!... Co to znaczy samo przez się na rynku politycznym? — Nic zgoła, absolutnie nic. Boć są to jedynie wypomnienia tego, co było niegdy, co się stało, co, w pewnym momencie historycznym trwało, ale co dla współczesności ma wartość kronikarską... Ba, może mieć i inną, lecz ku temu potrzebna jest siła i to siła tak potężna, aby zniewoliła innych do uchylenia się przed... prawem... albo, powiedzmy zrozumialej, przed bagnetami...

Po za siłą, polityka nie uznaje żadnego innego prawa, a raczej te prawa uznaje, które wspiera taka siła, jakiej złamać ani oprzeć się nie może. Wszystko, co się zwie w polityce przymierzem, aljansem, kongresem, racyą stanu płynie z różniczkowania się i kojarzenia sił i tylko sił. Polityka jest z gruntu niemoralną i moralną być nie może, ponieważ jej moralność, w najlepszym razie, jest moralnością złodzieja i rozbójnika. Bywały i bywają zbiegi okoliczności, iż cel polityczny spotyka się z celem moralnym — ale jest w tem

tyle komitywy, ile między pobożnym i opryszkiem... obaj i tą samą drogą śpieszą do tej samej świątyni, lecz pierwszy, aby się modlić, a drugi, aby skorzystać z ciżby i coś ukraść.

Polityka jest złem — ale jest i tem złem, które tylko lunatycy myślą na drogę cnoty wyprowadzić. Boć porwać się na politykę znaczy toż samo, co porwać się na państwo. Nie podobna pierwszej unicestwić ani umoralnić dotąd, dopóki nie unicestwi się źródła, z którego się poczyna, którego jest prostym i naturalnym wypływem.

Póki ludzi było mniej, póki ziemia była czworograniastą płaszczyzną, a niebo opierało się na barach Atlasa, póki cywilizacya nie wzmogła obcowania ze sobą ludów, póty polityka ograniczała się na strzeżeniu własnych granic, zajeżdżaniu cudzych lub, w wypadkach równowagi przeciwników, na zawieraniu przymierzów. Rozkwit cywilizacyi, propagandy religijne, wzmożenie się państwowości, z krzywdą narodowości, zamieniły fałsz, kłamstwo, podstęp, nikczemność, nie przebieranie w środkach, chciwość, rabunek, niewolnictwo, a więc zamieniły wszystkie pomocnicze sposoby walki niekulturalnych współzawodników w uprawnioną i uznaną sztukę polityki.

Tylko oportunistyczne umysły mogą politykę zwać dążeniem do pokojowego rozstrzygania i załatwiania spraw międzynarodowych!

Boć polityka żadna i nigdy nie jest pokojową, lecz zawsze zachłanną, a raczej o tyle pokojową, o ile jest bezsilną, bezbagnetową, o ile potrzebuje pokoju bądź dla stłumienia wewnętrznego nieładu, bądź dla lepszego przygotowania się do wojny. Polityka jest narzędziem państwa, a nie żadnem dobrem ludu, bo polityka często dlatego jedynie prze do wojny, aby własny swój lud przerzedzić, aby wyrwać go dążeniom liberalnym, aby zachować go wiernym dla państwa.

Polityka nie zna żadnych sentymentów, szanuje tylko takie traktaty, które musi dotrzymywać, a jeżeli co chwila wpada w szerokie wywody, odwołuje się do historyi, do tradycyi, do szlachetności, do sumienia i do Boga — to jedynie, aby magnetyzować i ogłupiać dla swych celów głupich ludzi. A że głupota ludzka pławi się ciągle w nawyknieniach i przyzwyczajeniach, które od niemowlęctwa pracują na wyrobienie z człowieka jednostki państwowej, przeto polityka urosła na takie zło, które zwalczać się da tylko złem równem.

Czem jest polityka, najdosadniej przekonywuje ostatni turniej dyplomatyczny w Algeciras! Francya zamyśliła niepodległe Marokko zagarnąć dla siebie na kolonję. Niemcy atoli, szukające również ujścia dla swych „kulturalnych“ zadań, postanowiły upomnąć się o swoją część. Stąd zatarg i konferencya; dla-

tego tylko konferencya, a nie wojna, że zarówno Niemcy jak i Francya nie dowierzają swoim siłom i nie mogą ufać sprzymierzeńcom... Konferencya zamieniła się w proces... naszpikowany prawem międzynarodowem. Próbą tego prawa jest jeden z argumentów francuskich, głoszący, że ponieważ Francya zawładnęła sąsiadującym z Marokko, Algierem, ponieważ jest ciemiężycielką Arabów algierskich, przeto ma prawo do mieszania się do Marokka... Ma prawo także i Hiszpanja, ponieważ na ziemi marokańskiej nieprawnie posiada Ceutę, lecz ma prawo, oczywiście mniejsze, bo nie posiada dość melinitowych dowodów...

W społecznem rozumieniu ta kwestya prawna przedstawia się tak: było sobie dwóch mieszczuchów a sąsiadów Paweł i Gaweł. Do Pawła dobrał się złoczyńca i ograbił go. Wówczas inny złoczyńca postanowił ograbić Gawła, ale złoczyńca, który poprzednio rozprawił się z Pawłem, zaprotestował, dowodząc, iż, ponieważ on zagarnął dobytek Pawła to i tem samem ma prawo do dobytku Gawła. Powstała sprzeczka. Zlecieli się kamraci i jęli radzić nietylko o tem, co się godzi, a nie godzi, ale i samym zabiegać, aby i im się coś z łupów spornych oberwało. Radzono długo nad słusznością i sprawiedliwością, tylko ża-

dnemu z kompanów nie zdało się sprawiedliwem, aby Gawła pozostawić w spokoju.

Nasze urojenia o polityce wynikły z tego, iż Rzeczpospolita, w ciągu ostatnich dwustu lat, była zgangrenowaną wewnętrznemi rozterkami i zewnętrznie bezsilną i że, nie mogąc się zdobyć na żaden wybuch rewolucyjny, na żaden odruch ożywczy, za wszelką cenę dążyła do pokoju, za wszelką cenę pragnęła zgody z sąsiadami, a więc czasu na odrodzenie się. A ponieważ, na poparcie swych dążeń, nie posiadała dość siły zbrojnej, przeto, rada nie rada, wzdychała do sprawiedliwości, zasłaniała się historyą, a działanie przeciwników piętnowała i bezprawność mu zarzucała.

W spadku po tym niefortunnym procesie, oddziedziczyliśmy właśnie pomienione urojenia — urojenia o tem, iż jesteśmy ofiarami jakiejś wyjątkowo niemoralnej polityki, jakby polityka wogóle mogła być moralną.

Po dziś dzień przecież za dowód zbrodni mamy zaborcom, że nie dopuścili do wprowadzenia Konstytucyi trzeciego maja, że wspierali Targowicę. Zdumiewamy się, iż zbój, który nas napadł, nie pozwolił nam pójść do lasu po pałkę, tylko wolał nam, bezbronnym, wypróżnić kieszenie. Ba, a podczas znów gotowiśmy uwierzyć, iż nieład, panujący w Rzeczypospolitej z m u s i ł mocarstwa do interwencyi, iż ten nieład nie był właśnie upra-

gnioną sposobnością do rozszerzenia swych granic!

Czas największy zgodzić się na słuszność okrzyku naszych międzynarodowych socyalistów, którzy na ulicach Warszawy wołali o orle polskim „precz z tą gęsią!"

Tak — precz z gęsią! — Bo istotnie przez naszą skomlącą politykomanję orzeł nasz na bezpazurego ptaka zeszedł, bo, miast rozpostrzeć skrzydła i wzbić się, był nam najmilszym w postaci omdlewającego stworzenia, zdatnego raczej na rożen kucharza, niż na zawołanie dwudziesto-miljonowego ludu.

Lubimy się chełpić naszą dążnością do umoralnienia polityki. Chełpmy się, ale nie jako Faryzeusze, którym Bóg był zarobkiem, nie jako owi samolubni rolnicy, zawsze tęskniący do dżdżystego lata, bo ich rola na piaszczystych rozpościera się wzgórzach, lecz, jako ludzie, dążący ku światłu, umiejący nawet w mrokach iść hardo.

„Siła przed prawem!" — Czy to naprawdę zasada wyłącznie bismarkowska, czy, jak radziśmy mniemać, wyłącznie pruska? — Nie. To zasada ogólno-państwowa i powszechnie panująca. Zasada zła, nieetyczna, niegodziwa, lecz podotąd wszechwładna, podotąd stanowiąca jedyny atut w stosunkach państwowych. A z tej zasady wniosek prosty, że aby coś osiągnąć od mocarstwa, od Europy trzeba być

nadewszystko siłą i trzeba umieć dowodzić tej siły.

Uprzytomnijmy sobie, czy to chwilę wybuchu listopadowej rewolucyi, czy bodaj pierwsze dni lutowego powstania, — odtworzmy sobie gorączkowe oczekiwanie gabinetów europejskich, zważmy źródła owoczesnych sympatycznych napomknień dyplomacyi, owoczesnych zastanawiań się nad „kwestyą polską". Wszak, bez szczególniejszej bystrości, i dziś jeszcze z pożółkłych akt możemy się przekonać, iż zainteresowanie się nami było tem większem, im wieści o naszych środkach walki bardziej przesadzonemi. A dalej, możemy się nadto przekonać, że kwestya polska schodziła z porządku dziennego równocześnie z ostatnią przegraną potyczką, z ostatnią gromadą powstańczą. Dyplomacya europejska odwracała się od nas nie dlatego, abyśmy jej osobiście byli mniej sympatycznymi, ale dlatego, że byliśmy bezsilnymi. Dyplomacya europejska, w pewnym swym odłamie, sprzyjała nam niegdy bardzo i sprzyjać nam będzie jutro znów z całych sił, ale zawsze tak, jak hyena sprzyja lwu, boć dlatego za nim w trop dąży, aby, na, porzuconem przez lwa, pobojowisku znaleźć dla siebie resztki padliny.

Wspomnijmyż sobie, że i ów polakożerczy Bismarck w wigilję powstania miękł, że i on rad szukał aż tak skromnego człeka, jakim

był Kłobukowski, aby mieć wolną furtkę, w razie czego, do sprzymierzenia się z powstaniem przeciw Rosyi.

Point de rêveries! — zawołał Aleksander II, a nam się zdało, że ziemia się pod naszymi nogami rozstępuje!

„Siła przed prawem!“ — dowodził w każdej swej polakożerczej mowie kanclerz rzeszy, a nam się zdawało, iż ta zasada raz na zawsze ściera znak polskiego imienia!

Ach tak! Zrachowaliśmy niemieckie bagnety, rosyjskie armaty, austryackie mitrajlezy i pochyliliśmy głowy — nie masz dla nas jutra, nie masz nadziei nietylko nacierania, ale i oporu!

Ach! Gdybyż to było tak, jak przed dwustu, stu laty... gdy oręż itd. — oto nasza ukochana racya fizyka, ba, i wiodąca do tego wniosku, że dziś odwaga osobista zeszła na psy!... Zeszła na psy, zeszła, ale na polskiej ziemi!

Więc może z tego sens, aby dowieść znów potrzeby zbrojnej akcyi, porywania się z gołemi rękami na kartaczownice?!! Wcale, — jeno sens ten, aby na własne siły rachować, na nich tylko polegać, siły te zwierać i wyleczyć się z maniactwa.

Póki nie będziemy mieli sił, póty do niczego nie będziemy mieli prawa, póty nasza

sprawa będzie zawsze złą sprawą, przegraną sprawą.

Protestujmyż przeciwko bezwzględności uciskających nas sił, ale protestujmy na to, aby nasze mięśnie, wciąż potężniejące, okazywać światu, a nie naszą niemoc.

Politykujmyż — ale politykujmyż tak, jak politykują przeciw nam. Chylmyż się przed siłą, ale chylmyż się tak, jak się chyli młody dąb, który tem gwałtowniej się pręży, im go mocniej wicher ugnie.

Stańmyż się siłą a, i przyjaźnie europejskie się znajdą, i fawory nawet u zaborczych rządów wrócą, i historya nam usłuży, bo niechybnie z archiwów dobędzie takie dowody, jakich nam będzie trzeba, i sprawa polska osiągnie lepszy dla się wyraz, niż niegdy na kongresie wiedeńskim, i ludzkość nam przyklaśnie, i Kościół pobłogosławi i Bóg przestanie nas doświadczać!

Stańmyż się siłą!? Tedy kujmy pałasze, gotujmy naboje?! — Stokroć razy nie! — Siła narodu warunkuje się posiadaniem czegoś tęższego, dzielniejszego nad magazyn broni, — bo ducha męzkiego, trzeźwego, wytrwałego a karnego dla ojczystych zawołań.

Ducha tego miejmy — a reszta pocznie się z niego. Nie żywmy tchórzostwa bodajby dowodzeniami o postępie techniki wojskowej, a więc i niepodobieństwie stawienia czoła sile

militarnej. Pamiętajmy na fakt, iż, względnie do rozwoju ogólnego, toż samo niepodobieństwo było w czasach, gdy narzędziem walki był łuk albo spisa. Pamiętajmy na fakt, że każdy pomysł ludzki zwalczyć można pomysłem, każdy wynalazek wynalazkiem i że nie masz tak mądrych a skomplikowanych zawór, którychby muskularna pięść prostaka nie mogła potargać.

Stańmyż się siłą, więc nauczmy się prawdy, że nie ma na czele zaborców dobrych władców i nie ma złych, a są tylko władcy, którzy zawsze będą nam niechętni, ilekroć po temu będą mieli dość sił i którzy zawsze będą nam życzliwymi, ilekroć postrzegą w nas ślad siły, ilekroć własne swe siły muszą w innym zwracać kierunku.

Stańmyż się siłą — a więc wierzmy w słuszność naszych praw historycznych, ale wierzmy im nie dlatego, aby te prawa historyczne same przez się zaważyć mogły na szali naszego jutra, lecz dlatego, że one są nam siłomierzem, że one są skalą, podzieloną na punkty, ku którym winniśmy dążyć!

A jeżeli bismarkowskie „siła przed prawem“ wciąż zdawać się nam będzie taranem niedosięgłym, wciąż gromem Arimana, nie pozwalającym marzyć o oporze, — nauczmyż się znamiennych słów Maxa Stirnera, bismarkowskiego rodaka-współcześnika! Słów, znakomi-

cie rozwijających credo kanclerza rzeszy!... I zapamiętajmy, że, gdy Bismarck wołał „siła przed prawem!“, Max Stirner rechotał pobłażliwie ku nam: „Pragniecie wolności! — Głupcy! Zagarnijcież władzę, a wolność przyjdzie do was sama! Patrzcież, każdy, kto ma władzę, stoi ponad prawem!“...

FINIS POLONIÆ.

Odważmy się spojrzeć w oczy prawdzie, rzućmy i my grudkę ziemi na mogiłę Rzeczpospolitej i zgódźmy się na finis Poloniae! Zgódźmy się nie dla wiary w narzucone Kościuszce słowa, lecz zgódźmy się dla niezaprzeczonego faktu, iż Rzeczpospolita umarła, iż, wskrzeszając ją, wskrzesić byśmy musieli nie tylko to, co w niej było promiennem ale i to, co w niej było trędowatem.

Zgódźmy się na finis Poloniae! Miejmy zastanowienie dojrzałego męża, który wielbi pamięć zmarłej dawno swej rodzicielki... ale który by nie chciał mieć ją zmartwychwstałą! Bo i cóż by z nią począł, bo czyżby mogła mu być równie blizką pojęciem, bo czyżby zdołał wypełnić wyrwę czasu, dzielącą go od przeszłości.

Czcijmy pamięć Rzeczypospolitej ale czcijmy jako to, co było, co odchodzi w dal, co rozpływa się w blaskach horyzontu, lecz, co nie wróci i wrócić nie powinno.

Czcijmy z całej mocy pamięć Rzeczypospolitej, czcijmy nasze dzieje dwakroć silniej

od innych ludów, — gdyż one dla nas, pozbawionych życia politycznego, dla nas, pozbawionych samoistności państwowej, a więc i zaćmiewanych przez inne narody, są tem, czem jest dla zubożałego granda zardzewiała tarcza herbowa.

Wielbmy nasze tradycye, ale wielbmy tylko tak, jak wędrownik zapóźniony, w zbójami wypełnionym, lesie, wielbi swoją pałkę.

Wypominajmy nasze pola chwały narodowej ale wypominajmy je nie dla naszej pychy, ale dla umniejszenia pychy naszych nieprzyjaciół, dla uprzytomnienia sobie dorobkiewiczostwa tych, co się nad nas wynoszą ale i dla nauki o tem, jakimi być nie powinniśmy.

Lecz równocześnie strzeżmy się tradycyj boć one dla każdego ludu są kamieniem młyńskim, uwieszonym do szyi człowieka płynącego.

Niech nas nie łudzi myśl o patryarchalności dawnych czasów, o cnotach naszych przodków, o zaletach ich szczególniejszych. Świat, jako ludzkość, nie był nigdy lepszym, lecz zawsze gorszym. Większa moralność przeszłości uzasadnia się z jednej strony niższemi wyobrażeniami etycznemi, mniejszą kontrolą wzajemną, nieświadomością tego, co się w pobliżu działo. Wolno nam przeszłość idealizować, wolno wierzyć, iż wszystko, co zawierała z obyczajów, zasad, ustroju było dla

współczesnych dobrem — ale ani przypuszczajmy, żeby toż samo mogło być dobrem dla nas.

Weźmy sobie, dla przykładu, konstytucyę trzeciego maja! Wyobraźmy sobie, że dziś, w tej chwili, mocarstwa wrócą nam pełnię ruchów, pod warunkiem, iż nigdy poza literę majowej konstytucyi ruszyć nam nie wolno! Czyżbyśmy się mogli na tak samobójczy warunek zgodzić?! Ba, czyżby reformy nie musielibyśmy zacząć od gruntownego przekształcenia tej konstytucyi już zestarzałej, już nieodpowiadającej ani duchowi czasu, ani naszym potrzebom, ani doświadczeniu życia parlamentarnego Europy!...

Pamiętajmy o tem, że czcimy Reya i Kochanowskiego nie, aby ci dwaj pisarze wzbijali się formą i duchem ponad współczesną przeciętną sprawność pisarską, ale dlatego, iż są pionierami literatury, iż dla środowiska, w którem żyli, potężne położyli zasługi ku torowaniu drogi na niekulturalnem polu piśmiennictwa.

W tej mierze jesteśmy przesiąknięci ułudami i samolubnemi ułudami! Boć jakże to sobie wyobrażamy ową śnioną niepodległość!!?... Wszak najczęściej tak, iż dość aby stała się Polska, aby na przeciętnego niedołęgę-inteligenta spadł deszcz tytułów, zaszczytów, honorów a z nimi i złota! Dla przecię-

tnego niedołęgi-inteligenta, śniona Polska jest Kolchidą, jest błogosławionym stanem, który nie tylko wszechświat zadziwi świetnością kontuszów, pasów, żupanów, fantazyi i kawalerskiej ochoty — ale który nadewszystko wszystkich swoich obywateli zamieni w możnych kasztelanów, starostów, senatorów, posłów, hetmanów i magnatów!... I stąd, gdy przeciętny inteligent-niedołęga dowie się, że i w śnionej Polsce najpierw muszą być żołnierze a potem dowódcy, najpierw szarzyzna równouprawnienia a potem barwy i to jedynie własnej i rzetelnej zasługi, że w śnionej Polsce mogą być i cięższe warunki ekonomiczne i twardsze obowiązki obywatelskie, stąd swoją śnioną Polskę odkłada ad acta i zaczyna przemyśliwać o czemś pośredniem, naprzykład, o unii z Rosyą!!...

A nie jest to, niestety, żaden sporadyczny wybuch oportunizmu ale racya, bardzo poważnymi uzasadniona argumentami. Najoczywistszy z tych argumentów jest ten, że gdyby nam dziś Rosya dobrowolnie wróciła wolność państwową na etnograficznej połaci swego zaboru i że gdyby, wskutek tego, zamknęła nam swe granice cłami ochronnymi, to bylibyśmy ekonomicznie zrujnowanymi... czyli, dowód prosty, że albo zgoda z Rosyą i zamożność ekonomiczna, albo wolność z nędzą i, co za tem idzie, znów wojna i znów niewola.

Ten argument był tylekroć rozmaicie parafrazowanym, tak rozmaicie a uczenie wykładanym, iż go w całości rozwinięcia nie podobna tu przytaczać, zresztą i nie potrzeba. Znamy go dobrze i wiemy, że prowadzi stale do jednego i tego samego wniosku... o tem, iż my ani marzymy o rozdziale z Rosyą a zwłaszcza dziś gdy na 45 milionów Rosyan conajmniej 45 ludzi wypowiedziało się życzliwie o kwestyi polskiej.

Ten argument ekonomiczny byłby niezawodnie doniosłym bardzo, gdyby nie był fałszywym w założeniu, boć wyodrębnienie zaboru rosyjskiego z Rosyi byłoby równie zabójczem ekonomicznie dla skrawka Polski, jak wyodrębnienie trzeciej części rdzennie rosyjskiej ziemi dla tej części ziemi, jak obstawienie cłem Brandeburgii.

Ten argument ekonomiczny byłby niezawodnie doniosłym, jeżeliby uwzględniał, że, gdyby zabór rosyjski na pełni etnograficznie polskiej ziemi posiadł niepodległość, to warunki ekonomiczne w nim samym znalazłyby zrównoważenie przez zniewolenie setek tysięcy ludzi do poprzestawania, w rozumieniu wytwórczem, na roli konsumentów... Wszak ci nadnaturalnie szybki rozwój przemysłu i handlu Kongresówki i ziem polskich pod zaborem rosyjskim tłumaczy się zatarasowaniem przed Polakami dostępu do służby państwo-

wej, do wojska, do administracyi. Otwórzmy jeno wrota dla stu tysięcy rodzin (boć tyle i to z górą rodzin rosyjskich żyje na koszt państwa na polskich ziemiach rosyjskiego zaboru) a obaczymy dopiero, jak się stosunek produkcyi do konsumpcyi zmieni. No i jeszcze ten nasz przemysł, wskutek granicy cłowej rosyjskiej, nie upadłby tak szybko i tak łatwo, jak to upaść może dzięki walce taryfowej, którą rząd rosyjski zapoczątkował już na krzywdę przemysłu Królestwa! Czy doprawdy tak mało naszych realistów zna się na taryfach rosyjskich, czy doprawdy mniema, iż sławetna „duma“, nawet taka z powszechnego, równego i tajnego głosowania, nie postara się, aby walkę taryfową wzmódz! Walka taryfowa istnieje — a polega na tem, że przewóz wagonu rudy dnieprowskiej do Królestwa kosztuje mniej niż przewóz takiej samej rudy z kopalni w Królestwie do huty w Królestwie, polega na tem, że przewóz puda wyrobów łódzkich do Moskwy kosztuje drożej niż przewóz takich samych wyrobów moskiewskich do Łodzi...

Ten argument ekonomiczny, mający dowodzić konieczności wyrzeczenia się „mrzonek“ i przystania na nierozdzielność z Rosyą byłby bardzo doniosłym i bolesnym, gdyby pochodził z myśli polskiej, a nie z „nadwiślańskiej“, gdyby nie płynął z patryotyzmu

polsko-gubernialnego i z tych serc wypalonych żarem niewoli, które już dziś niepodległej Polsce (na wszelki wypadek!) radeby wyznaczyć polskich rewirowych, polskich oberpolicmajstrów i polskich generał-gubernatorów!

I rzecz smutna i gorzka, boć oto od roku z dnia na dzień wyprzysięgamy się „wszelkiej“ myśli o rozdziale z Rosyą!...

Ba, ba i jak się wyprzysięgamy, z całych sił, z całej duszy tchórzowskiej!... wyprzysięgamy się i drżymy, aby być grzecznymi dziećmi... bo inaczej „mama“ się rozgniewa i odda nas Dytkowi na słomianych nogach! A Dytek jest strasznym, najpierw nas zje, potem pokraje w kawałki i potem będzie nas trzymał na chlebie i wodzie! Dytkiem tym są Prusacy!!... Oni tylko czyhają, oni już wyciągają ku nam ssawki polipie, oni już kupili nas aż po Wisłę za trzy worki złota i korzec miedziaków!!

Okropność!!! — szepcze przeciętny — inteligent na samą myśl, coby to się z nami stało, gdyby od jutra, na rogu ulicy, miast pana w baraniej czapce, stanął pan w pikielhaubie!

Poprostu by nas zjedli! — Kto?! — Prusacy!

Stokroć lepiej z Rosyaninem niż z Prusakiem!

Wszak ci podobno tak rozumuje u nas

przeciętny inteligent. Rozumowanie to wartem jest tyle, ile było wartem rozumowanie z czasów przedpowstaniowych, a jeszcze i popowstaniowych, że stokroć lepiej z Prusakiem niż z „Moskalem". Jeżeli kogo z popowstaniowców rodzony ojciec-patryota tej prawdy nie uczył, no to ten ojca-patryoty nie miał!...

Tymczasem faktem jest, że gdyby Prusacy mieli zamiar wejść do Królestwa i zabrać nas po Wisłę, to my jedynie powinniśmy „puścić im i płaszcz" i zabiegać byle nas tylko raczyli wziąć po Niemen... i cieszyć się, że, miast trzech zaborców, mamy dwóch i starać się, aby z dwóch zrobił się jeden.

— Prusacy wówczas wparliby Polaków poznańskich na ziemie Królestwa i, wskutek tego, Poznańskie byłoby niewątpliwie stracone-nem! — Być może, iż hakata na ten pomysł by się zdobyła, być może, iż w ten sposób zdołałaby wyrwać Polakom znów połać ziemi, ale czy na długo? Czy w samej rzeczy ta cała kolonizacya jest czemś więcej, jak udręczeniem współczesnej ludności bez żadnego rezultatu dla jutra dziejów! Czy historya Czech nie jest żywym przykładem niemocy państwowej wobec żywiołu narodowego! Czyż doprawdy doświadczenie nas nie poucza, że tam dopiero zaczyna się groza wynarodowienia gdzie rząd zaborczy staje na gruncie ustępstw gdzie zaczyna się pobratymstwo i miłość!?

— „Kongresówka by upadła ekonomicznie, przemysł niemiecki“... — No-no! Nie wyrządziłby nam i połowy tego uszczerbku, jaki mamy dziś, dzięki solidaryzowaniu się z wszechrosyjskim zamętem, a na ogół wzmógłby zamożność, bo zabór rosyjski jest hojnie od natury uposażonym, bo ani wyeksploatowanym ani zagospodarowanym.

A politycznie?! Politycznie odżywilibyśmy Poznańskie i sami odżywilibyśmy się dzielnym, wytrwałym i męzkim ludem. Prusacy zaś, mając miast trzech miljonów Polaków ośm, czy całe szesnaście, pierwsiby nam podali rękę do zgody, nie z sentymentu, lecz z szacunku dla siły, z przeświadczenia, iż hakata z absurdu stała się nadabsurdem.

Ale my, inteligenci podrosyjscy, o tem słyszeć nie chcemy! Bo, jak przed kilku jeszcze laty, wszystko, co rosyjskie, było nam „moskiewskiem“, tak dziś wszystko niemieckie aż krzyżackiem. Jak dziś z całych sił państwowość rosyjską wyodrębniamy z pojęcia lud rosyjski, tak niedawno to wyodrębnianie mieliśmy sobie za zdradę kraju. Jak dawniej patryotyzm nasz był nienawidzeniem „moskali“ tak dziś wschodzi w znak nienawidzenia „Krzyżaków“...

I, na większą grozę położenia, ten pęd nierozdzielności z Rosyą znajduje żywy poklask w Poznańskiem, lecz, co dziwniejsze, i w Galicyi!

Przyjaźń, zapomnienie uraz?!... Dobrze! Ale na tych pajęczych niciach zaręczeń kilku czy kilkudziesięciu liberałów rosyjskich strzeżmy się stawiać zamków! Pamiętajmy, iż ta rosyjska gromadka polakofilów nie jest narodem, nie jest władzą, nie jest żadną siłą! Uznajmyż tą gromadkę za błogosławioną zapowiedź światłych i dobrych Rosyan — ale i wiedzmy, iż tych Rosyan nie masz tylu jeszcze, aby o nich rzec tysiące!

Kadeci rosyjscy mają zamiar przyznać nam autonomję?! A więc cześć kadetom i wdzięczność za to ich poczuwanie się do obowiązku. Ta zapowiedź kadetów niechże zagoi rany i, jeżeli zagoić potrafi, spełni zadanie ponad siły. Lecz obiecywana nam przez kadetów autonomja nie jest faktem dokonanym, a natomiast faktem dokonanym jest wroga nam wciąż polityka reakcyonistów, zredukowanie mandatów poselskich polskich, narzucenie królestwu dwóch rosyjskich deputowanych, intrygi rosyjskie podczas wyborów do dumy, wręcz nieprzyjazne ku nam stanowisko żydów rosyjskich i jest faktem, że kadeci rosyjscy chcieliby nas wyprowadzić na manowce swego rosyjskiego „widzimisię". Te zaś fakty starczą chyba za dowód, że liberalizm rosyjski nie wyszedł jeszcze ze szranek akademickich dyskusyj.

Liberalizm rosyjski!? Kto stykał się na

gruncie neutralnym z rosyjskimi żandarmami, policyantami itp. ten musi przyznać, iż słyszał ich liberalne wynurzenia! Kto bodaj nogą tknął nadnewańskiej stolicy i nie wczoraj — ale przed laty piętnastu, ten ledwie uszom własnym mógł wierzyć, jak szeroko płynie tam myśl o wszechwyzwoleniu...

Liberalizm rosyjski!?... Ten kwitł zawsze i kwitł tak, że kradł z sarakazmem, bił knutem z westchnieniem, no i denuncyował ze smutnego „obowiązku".

Lud rosyjski?! Wierzmy, iż się ocknie, zbudzi do lepszego życia, wierzmy, iż już się obudził — ale i pamiętajmy, że obudzić się, to nie znaczy wyzbyć śladów narkotyku, którym nas upojono, zatruto.

Lud rosyjski stoi jeszcze na tym stopniu, na którym dręczy człowieka głód ciała. Lud rosyjski chce tylko chleba i ziemi. Nic mu do swobód obywatelskich, nic do dobra ojczyzny, nic do praw człowieka. Byle mu rząd rzucił kawał mięsa — lud zabierze się do spokojnego przeżuwania. I niechże ten rząd wskaże mu kogoś, kogo pomówi o chęć zakłócenia ludowi chwili napawania się zdobyczą!... Lud rosyjski runie bez zastanowienia na rzekomego wroga.

Robotnicy rosyjscy?! Rewolucyoniści?! Socyaliści!? Mrowie!? Obliczmyż różnojęzyczność, różnocelowość, różnożywiołowość tej ciżby,

a przekonamy się, jak dalekimi są nasze cele, nasze żądania, a przekonamy się, iż więcej ma Francya złotników, niż cała Rosya szczerych rewolucyonistów.

Lecz nie skąpmy sobie fantazyi — wyobraźmy sobie, że Rosya posiadła wszystkie i najdalej idące swobody... to cóż z tego dla Polaka!? Bardzo wiele!! Zgoda. Lecz nie skąpmy sobie fantazyi, — wyobraźmy sobie, że zabór rosyjski już zrealizował wszystkie dobrodziejstwa autonomii, że duma rosyjska ani razu nie pomyślała o pruskich prawach wyjątkowych... no — i cóż dalej?! Czy my zkolei, zaprawiwszy się do ciążenia ku Rosyi, nauczywszy się odwracać plecami od Poznańskiego i Galicyi, zdolni będziemy odpowiedzieć na to pytanie?!... Czyż my istotnie mamy prawo kwitować z czegokolwiek, co nie jest własnością naszą inteligentów, naszą mieszczuchów, arystokratów, robotników, proletarjuszów, ale jest własnością ludu?!

Nie mamy prawa — i stąd wszystkie nasze akty są bezwartościowemi szmatami.

My, współcześni inteligenci polscy, jesteśmy pokoleniem widm, jesteśmy pokoleniem skarlałem w niewoli, a więc skazanem na wymarcie, na podeptanie przez zdrowy, zawzięty, męzki lud polski.

My, współcześni inteligenci polscy, ludu tego zdrowego, zawziętego, męzkiego nie poj-

mujemy i pojąć go już nie możemy, bo, choć roztkliwiamy się nad dzielnością Ślązaków pruskich, ale roztkliwiamy się nie szczerze... Bo chłop polski zimny, wyrachowany, trzeźwy, panujący nad swymi porywami, oszczędny, chłop polski „działacz", chłop polski, idący ku nam w pełni poczucia swych praw, jest nam, pogrobowcom pychy, szlachetczyzny i bengalskich ogni, jest nam obcym. Jest nam równie obcym, jak zgoła obcą jest nam siła duchowa Czech współczesnych, jak nam, wychowańcom półmroków, półzapałów, półcelów, półideałów, nieznośnym być musi każdy jasny promień słońca, każdy natrętnie pełny dźwięk, każdy ostro zarysowany kontur.

My, współcześni inteligenci, jesteśmy tem pokoleniem, które dopełniło miary targowickiej, które przelało czarę stuletniego frymarku polską sprawą.

My, współcześni inteligenci, jesteśmy tym konającym procesowiczem, który, sterawszy siły na daremnem prawowaniu, chce jeszcze i dzieci swe pieniactwem zarazić.

My, współcześni inteligenci, nawet ku temu się nie garniemy, aby następcom naszym zostawić w puściźnie bodaj myśl, żeśmy w ostatku przejrzeli, żeśmy własnym naszym dzieciom dorośli!

Finis Poloniae! Dosyć Polski łacińskiej, targowickiej i barskiej.

Finis Poloniae! Runął gmach państwowy, ale trwa, żyje i żyć będzie naród dwudziestomiljonowy.

Finis Poloniae! Żadne państwo nie zdolne jest wytworzyć narodu — ale każdy naród może stworzyć państwo!

Finis Poloniae! Precz ze wskrzeszaniem upiorów.

Jedno jest słońce ziemi polskiej, jedna krew łomocze w jej żyłach, jeden rytm łomotu tej krwi.

Kto tego nie postrzega, niech ustąpi, niech odejdzie ale niech nie probuje grodzić prostej drogi, na którą naród wstępuje.

Kto tego nie rozumie, niech wraz ze swoim konserwatyzmem, tradycyami, postępowością idzie za przykładem czeskiej szlachty!

Naród polski jest siłą potężną, bo młodą, zdrową i niezważoną w swej mocy.

Naród polski nie wyrzeknie się nigdy myśli o swej pełnej niezawisłości politycznej.

Naród polski dlatego nie będzie myślał o odbudowywaniu Polonii, że tak ciasna i krucha konstrukcya uchybiała by jego, narodu polskiego, dzielnym i hartownym pojęciom o tem, czem **Polska młoda,** odrodzona winna być.

Naród polski może chwilowo zgodzić się na modus vivendi i sam nawet go szukać, — ale, za cenę najdalej sięgających

ustępstw, nie straci ani na chwilę swej gwiazdy wyzwolenia!

Finis Poloniae! Więc dość niedołęztwa, łkania, rozmazania, fałszu, obłudy, kłótni, nienawiści, pychy, udanego męczeństwa, pretensjomanii!

Finis Poloniae! Więc z drogi przed dwudziestomiljonowym narodem jednej krwi, jednej tęsknicy, jednego zawołania!

KONIEC.

Paryż w lipcu 1907 roku.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096414721